Wydanie specjalne na święta

DLACZEGO MUSIMY KOLĘDOWAĆ?

KIEDY ZAKOPANE BYŁO STOLICĄ POLSKI

CO CI POWIE W WIGILIĘ PAPUGA?

NAJLEPSI AUTORZY, CIEKAWE HISTORIE, DUŻO DO CZYTANIA!

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

51-52 (681-682) 2025
15–28 grudnia 2025

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

RAPORT GRZEGORZA GÓRNEGO

Bohaterowie Bożego Narodzenia

CO WIEMY O NICH NAPRAWDĘ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

Numer w sprzedaży do 29 XII 2025 r.

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ SIECI

100 książek w prezencie

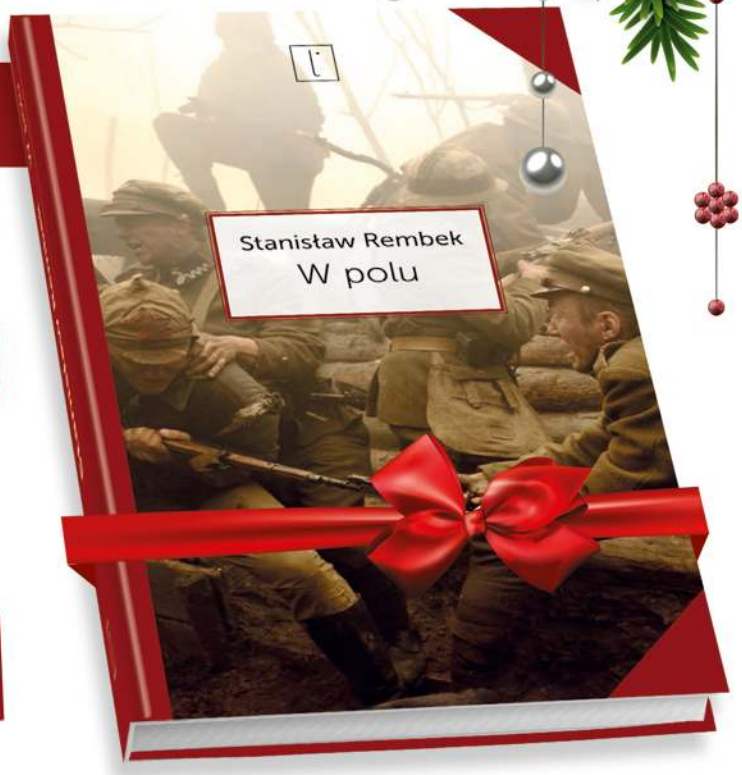

Powieść „W polu" przedstawia dzieje kompanii Wojska Polskiego w czasie wojny polsko-bolszewickiej: prawdziwy obraz Polaków, którzy zaciekle walczyli o zachowanie dopiero co odzyskanej niepodległości. Jednym z nich był Stanisław Rembek, którego książki zekranizowali Andrzej Wajda i Juliusz Machulski.

Książkę **„W polu"** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **375 zł.**

To najlepsza cena, bo płacisz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie, podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

ZAMÓW JUŻ DZIŚ NA: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Jeśli nie korzystasz z internetu, opłać prenumeratę na poczcie, podając nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290 (Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia), a w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 14-16

eprasa.pl af616a2cad

Licencja na niszczenie ludzi

Pięć lat trwało dochodzenie prawdy w ramach polskiego systemu sprawiedliwości. Tyle bowiem ciągnął się proces w sprawie składania fałszywych zeznań przez byłego oficera WSI oskarżonego o wyłudzenia, pranie pieniędzy i wyprowadzenie ze SKOK Wołomin miliardów złotych. Ostateczne sąd potwierdził, że „wrzutki” o łapówkach dla polityków należy uznać za kłamstwo.

Osiem lat temu Piotr Polaszczyk, składając zeznania obrzucił błotem polityków PiS, w tym ministra Jacka Sasina, senatora Grzegorza Biereckiego i senatora Jana Marię Jackowskiego. Tym samym człowiek, na którym ciążyły już zarzuty, a dziś jest skazany w jednym z kilku procesów w tej sprawie, stał się ulubieńcem „antypisowskich” mediów. Chlapał błotem przed kamerą, a media chętnie podejmowały podrzucane przez Polaszczyka wątki. Łapówki dla PiS? Zamieszani politycy i celebryci, którzy byli gośćmi SKOK Wołomin? Nieważne jak, kiedy, gdzie – grunt, że można prowadzić stały atak. Na senatorów, na PiS, na SKOK...

Decyzja sądu o uznaniu Polaszczyka za winnego składania fałszywych zeznań jak w soczewce pokazała istniejące fundamenty „układu” III RP. To zabójczy koktajl służb, mediów i polityków doprawiony fałszywymi oskarżeniami, których odkręcenie przed sądami zajmuje długie lata. Dzięki temu przeciwników można zmieszać z błotem, pisać, mówić i robić filmy o „aferze” – jak widać przez długie lata. Tak się dziś niszczy ludzi. Tak się neutralizuje instytucje. Tak się walczy z konkurencją. Także polityczną.

Gdy senator Bierecki, komentując wyrok Polaszczyka i sprawę SKOK Wołomin, mówi o mechanizmie, który dawał byłym oficerom WSI państwową licencję na kradzież, nie wspomina o wciąż działającej „licencji na niszczenie ludzi”. Ten mechanizm – niczym doktryna Neumanna – doskonale sprawdza się w państwie Tuska. To alians mediów, wymiaru sprawiedliwości, skolonizowanych politycznie instytucji, celebrytów społecznościowych i zwykłych hejterów, wspieranych hojnie przez polityków. Przekonują się o tym właśnie Zbigniew Ziobro, ks. Olszewski, minister Romanowski i wiele innych osób. Obrzuconych błotem, zaocznie skazanych medialnie i czekających na możliwość udowodnienia prawdy.

Na wyjaśnienie największej afery III RP, która – jak mafia lat 90. – wybuchła w Wołominie, będziemy musieli poczekać jeszcze długo. Główny proces dopiero się rozpoczął.

Maciej Wośko

Autopromocja

eprasa.pl af616a2cad

SIECI spis treści

26 Amerykańska strategia i polskie lęki
Piotr Gursztyn

51 My, spady po PRL, i ta dzisiejsza młodzież
Dariusz Matuszak

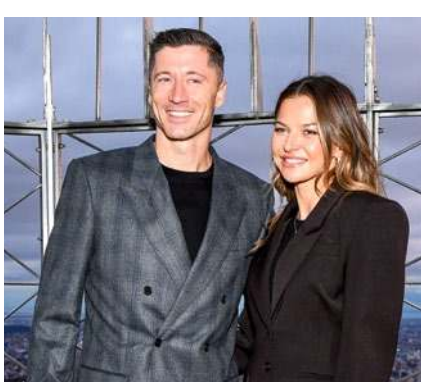

63 W co inwestują polscy sportowcy?
Michał Muzyczuk

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **BLASK CIEMNIEJE**
Krzysztof Feusette

9 **KIEDY ŚWIAT NA CHWILĘ ZWALNIA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WESOŁYCH ŚWIĄT!**
Daniel Obajtek

13 **KONIEC BRETTON WOODS?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA S. JUDYTY PUDEŁKO**
Michał Korsun

16 **ANTY-PiS JAKO NAUKA**
Bronisław Wildstein

18 **NAZI, GO HOME!**
Jan Pietrzak

18 **METODY Z WORONICZA**
Samuel Pereira

19 **GADAJĄ, NIE ROBIĄ**
Arkadiusz Mularczyk

20 **MNIEJ, CZYLI WIĘCEJ**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

22 **BOHATEROWIE EWANGELII DZIECIŃSTWA**
Grzegorz Górny

KRAJ

26 **AMERYKAŃSKA STRATEGIA I POLSKIE LĘKI**
Piotr Gursztyn

29 **ZAANGAŻOWANIE USA W POLSCE BĘDZIE ROSŁO**
Z Thomasem Rose'em rozmawiają Jacek Karnowski i Stanisław Jegliński

32 **WRÓG NUMER JEDEN**
Stanisław Janecki

34 **PODCIĘTE SKRZYDŁA LOT**
Konrad Kołodziejski

POD CHOINKĘ

38 **PAMIĘTAJ, NIGDY NIE JESTEŚ SAM**
Z ks. Andrzejem Ziółkowskim rozmawia Piotr Słabek

41 **KOLĘDUJMY!**
Maciej Walaszczyk

44 **MIŚ 36 I DWIE TRZECIE**
Stanisław Janecki

48 **HOMO SAPIENS NA DRODZE DO SAMOUNICESTWIENIA**
Piotr Gursztyn

51 **MY, SPADY PO PRL, I TA DZISIEJSZA MŁODZIEŻ**
Dariusz Matuszak

54 **W CO WIERZY NASTĘPCA TRUMPA**
Łukasz Wróblewski

57 **WYSTAWA PATRONA ARTYSTÓW**
Jan Rokita

60 **ZAKOPANE. NIEFORMALNA STOLICA POLSKI W CZASIE ZABORÓW**
Stanisław Płużański

63 **SZTUKA PRZETOPIENIA ZŁOTEGO MEDALU W ZŁOTĄ SZTABKĘ**
Michał Muzyczuk

66 **NAD BOSFOREM WŁOSY ROSNĄ SZYBCIEJ**
Grzegorz Szafraniec

70 **HEROLD IDEALNY**
Przemysław Barszcz

73 **ŚWIĄTECZNY KOBIERZEC SMAKÓW**
Anna Monicka

76 **RODZINNIE I JUBILEUSZOWO W GRABINIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

82 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

84 **ZACHÓD, CHINY, INDIE**
Robert Tekieli

NA KONIEC

86 **POLSKIE WIGILIE**
Wojciech Reszczyński

87 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

88 **CZUJĘ SIĘ SZTUCZNIE**
Aleksander Nalaskowski

89 **6:4 Z RUSKIMI, CZYLI KARTKI Z DZIEJÓW POLSKIEGO HOKEJA**
Ryszard Czarnecki

90 **HISTORIA CHOINKĄ PISANA**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 64/1125/F

Następne wydanie tygodnika „Sieci" ukaże się 29 grudnia 2025 r.

cyprasa.pl af616a2cad

„Bóg się rodzi, moc truchleje” – te słowa królowej polskich kolęd przywoływał „Kurier Polski”.

W wigilię Bożego Narodzenia Anno Domini 1938 redakcja tego popularnego dziennika życzyła czytelnikom wesołych świąt. Choć czasy były niespokojne, warszawska gazeta nie miała wątpliwości, że duch chrześcijański przetrwa „i nie zginie. Bo żadna moc ziemska nie jest odeń silniejsza i trwalsza”.

Spotykając się przy wigilijnym stole, zapomnijmy o tym, co nas trapi, a czas odpoczynku wykorzystajmy do nabrania nowych sił. Życzę Państwu błogosławionych świąt Bożego Narodzenia i wszelkiej pomyślności w zbliżającym się roku 2026.

dr hab. Karol Polejowski
zastępca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej

eprasa.pl af616a2cad

Sygnalista nadaje

Ten ***Nawrocki*** to pantoflarz. Było to widać, gdy poszedł na wywiad do tego Stanowskiego (prawdziwi demokraci nie powinni tego oglądać, zwłaszcza że relacje z tych wywiadów będą do przeczytania w „Wyborczej" z wytłumaczeniem, co o nich myśleć). Właśnie wtedy ta jego żona zadzwoniła do Stanowskiego i rozkazała, aby ten Nawrocki poprawił sobie koszulę. I wiecie? On to zrobił! A co by zrobił Rafał? Pogoniłby Małgośkę, gdyby pozwoliła sobie na taką bezczelność. Przecież wszyscy widzieli obrazki z domu Rafała. On siedzi jak panisko, ona – przy garach. I tak powinno być: chłopak, dziewczyna – demokratyczna rodzina.

Czas na wzruszenia. Premier ***Donald Franciszek*** przypomniał nam kultowy serial z młodości „Opowieści z krypty". Ostatnio dużo o tym mówi. To znaczy w nowej wersji o jakichś kryptowalutach. Nic z tego nie rozumiemy, ale to nie szkodzi. Premier też nic nie rozumie. Za to pięknie opowiada rzeczy, które już zresztą wiemy. O tym, że ten Nawrocki jest bardzo zły, PiS to samo zło, Konfa też niedobra, ruscy nas penetrują, że Putin. Miło się tego słucha. Premier mówi w ten sposób już ponad 20 lat, a nam ciągle się nie nudzi. Fajne jest jeszcze to, że z wiekiem premier coraz bardziej przypomina Strażnika Krypty. To znaczy najbardziej z twarzy, bo włosy trochę inne.

Kolejna wiadomość o premierze Donaldzie Franciszku. Nasz ukochany przywódca został zaatakowany przez szczujnię o nazwie Politico (nie mylić z zasłużonym po linii i na bazie tygodnikiem „Polityka"). Za atakiem z pewnością – jak zwykle – stoją Kaczor z Putinem. Otóż ta szczujnia sporządziła ranking rzekomo najbardziej wpływowych osób w Europie. I na pierwszym miejscu, owszem, jest Donald, ale nie nasz demokratyczno-praworządny, lecz ten pomarańczowy z Ameryki. O tym, jak grubymi nićmi jest szyta ta prowokacja i na czyj młyn leje wodę szczujnia Politico świadczy też to, że jedynym człowiekiem z Ten Kraju na wspomnianej liście jest Nawrocki. Osobom zaniepokojonym tym, czy nasz premier nie jest osobą wpływową, odpowiadamy: skoro nie jest, to znaczy, że tak ma być. Bo czy chcielibyście być na jednej liście z Trumpem i tym Nawrockim? Poza tym premier powiedział przecież, że nikt go w Europie nie ogra. W tym celu nie przystąpił do żadnej gry. Prawda, że sprytne?

Oszalałe z nienawiści prawactwo znów zaatakowało wybitnego humanistę, humanitarystę, człowieka wrażliwego i pełnego empatii, czyli ministra drwala ***Żurka Waldka***. Tym razem za jego żartobliwe i dobroduszne słowa o tym, że gdyby chciał, to już dawno by przywiózł w bagażniku tego Ziobrę. I o te słowa pretensje? Przecież widać wyraźnie, że Waldek to ludzki pan – mógł przywieźć w bagażniku, a nie przywiózł. I dobrze, że minister drwal mówi, że nie żałuje tych słów.

PS Na ostatnim wspólnym zebraniu naszego koła Silnych Razem i KOD wszyscy doszli do przekonania, że przywożenie Ziobry w bagażniku jest nadmiarem luksusu wobec tego

eprasa.pl af616a2cad

złoczyńcy. Członkowie naszego koła rekomendują ministrowi Waldkowi ciągnięcie Ziobry na łańcuchu za samochodem. Nie ma praworządności dla wrogów praworządności (tak jak my ją rozumiemy)!

Wielu naiwnych demokratów myślało, że Helsińska Fundacja Praw Człowieka jest po naszej, demokratycznej stronie. Tymczasem okazuje się, że to część pisowskiego deep state, i to szczególnie perfidna, bo przez lata udawała, że jest za demokracją i praworządnością (tak jak my ją rozumiemy). Kryptopisiory z HFPC twierdzą, że ustawa o ostatecznym rozwiązaniu kwestii neosędziowskiej w coś tam uderza i coś tam łamie. Np. jest niezgodna z zasadą, że prawo nie działa wstecz. A jak obecna większość sejmowa wyda uchwałę, że jednak działa wstecz, to co zrobicie? Dodajmy, że owa dziwna fundacja zajmuje się prawami człowieka. Tylko którego człowieka? Czekamy na odpowiedź! Bo warto wiedzieć, czy kogoś ważnego, czy jakiegoś no name. Inaczej nie ma sensu przejmować się tą fundacją.

Łamiący news dotarł z zagranicy. ***Szymek Hołownia*** nie będzie wysokim komisarzem do spraw biednych ludzi szukających swojego miejsca na ziemi. Niskim komisarzem też nie będzie. Taką decyzję podjął jakiś Murzyn z Portugalii (to obok Hiszpanii), który nazywa się Antek Guterres. No i jest problem. Dlaczego Szymek nie mógł zostać tym wysokim komisarzem? Przecież ma 188 cm wzrostu. Jak nie on, to kto? Donald odpada, bo ma tylko 174. Włodek Czarzasty tak samo. Może Władek Kosiniak-Kamysz, bo wyrósł do 190 cm? A jeszcze lepiej ten kumpel Szymka z TVN – Prokop. Ponad 2 m. Chyba się nadaje.

Przykra rzecz dotknęła zasłużonego demokratę ***Szejnfelda Adama***. Natknął się na sklep spożywczy, który sabotuje zapowiedź premiera o tym, że zakupy świąteczne będą tańsze. Trafił tam, gdzie nadal panuje pisowska drożyzna: „Pamiętam, że niedawno makrela wędzona kosztowała jeszcze ok. 26 zł/kg, gdy kupowałem potem za ok. 33 zł/kg, to się nie dziwiłem, wszak wszystko drożeje, ale kiedy kilka dni temu kupiłem za 45 zł/kg, to się zastanowiłem, no ale dzisiaj w sklepie były już za ponad 50 zł...” – napisał wstrząśnięty eurodeputat. To już drugi raz, gdy PiS wykorzystuje ryby morskie do ataku na Polskę Uśmiechniętą. Poprzednio to był dorsz, którego ofiarą padła bezkompromisowa, choć dzisiaj zapomniana polityczka Pitera Julia.

PS Pewnie nie wiecie, kto wymyślił ksywę „Bufetowa” dla Hanki Gronkiewicz-Waltz. Otóż była to Julia. Z pozoru niby taka sztywna, a tu taki błyskotliwy dowcip.

Niestety trzeba przyznać, że PiS też ma szczęście. I to czasem bardzo duże. Trafili jak szóstkę w Totka wtedy, kiedy nie wystawili Tobiasza Bocheńskiego jako kandydata w wyborach prezydenckich. A podobno było już blisko. Ostatnie osoby, które w to nie wierzyły, przekonały się o tym niedawno, gdy Tobiasz oznajmił o swojej decyzji z czasów studenckich. Zerwał wtedy – jak sam opowiada – ze swoją dziewczyną, bo ta trzymała psa na łańcuchu. Dzisiaj wiadomo, że nie tylko PiS, lecz także ta dziewczyna mieli wielkie szczęście, że Tobiasz się im zerwał.

Ważny głos Duchowej Przywódczyni Narodu i Autorytety Moralnej (Autorytetki, Autorytetyni, Osoby Autoryteckiej?) Joanny Szczepkowskiej. Osoba Autorytecka wyraża swe zdziwienie, że wyborcy prawicy nie doceniają wielkości premiera Donalda Franciszka. „Staram się, choć w żaden sposób, tak po ludzku nie pojmuję, jak można nie dostrzegać tych cech Donalda Tuska, które nam dają nadzieję na stabilność w każdej dziedzinie” – napisała czołowa myślicielka strony demokratycznej. A my, pani Joanno, nie pojmujemy, jak można zwracać się do tej prawackiej biomasy i małpoludziej czeredy! Czy naprawdę chce pani, aby tacy ludzie popierali premiera Tuska? My, unijczycy polskiego pochodzenia, nie chcemy mieć nic wspólnego z ludźmi, którzy nie dorośli do demokracji i nigdy nie dorosną. Pani Joanno, popieranie pana Tuska jest dla nas, a dla nich jest popieranie Kaczyńskiego i tego Nawrockiego.

Za to w 200 proc. zgadzamy się ze stwierdzeniem pani Joanny, że widać w sondażach, iż rośnie zaufanie do Koalicji Obywatelskiej. Czas zatem na odrobinę propagandy sukcesu. Już 7 proc. obywateli uważa, że sytuacja pacjentów w przychodniach i szpitalach poprawiła się za rządów obecnej koalicji. I tylko 41 proc. twierdzi, że lepiej było za PiS. Ten sukces – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – zawdzięczamy dwóm genialnym ministrom zdrowia, czyli Izie Leszczynie i tej drugiej, która ma podwójne nazwisko, ale nikt go nie pamięta.

Jeśli zaś chodzi o malkontentów, to ich postawę można wytłumaczyć tym, że zbyt wolno przebiegają rozliczenia pisowców. Bo ludzie przecież oczekują tylko tego. Natomiast doniesienia o szpitalach wstrzymujących przyjęcia dotyczą tylko wschodniej Polski. Tak więc nie ma tematu.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x3, M. Czutko

eprasa.pl af616a2cad

Blask ciemnieje

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Idą święta, idą, i trzeba je jakoś odhaczyć. Jest pomysł, żebyśmy zrobili szopkę.
Siemoniak: A niby co robimy?
Kierwiński: Premierowi chyba chodzi o inscenizację w stodole.
Tusk: Raczej oborze.
Sikorski: Oborę można zrobić, czemu nie.
Tusk: Chodzi o filmik. Nagramy coś, że jesteśmy tacy, no wiecie, bożonarodzeniowi.
Kierwiński: To może zaśpiewam? „W szybie leżeli"? Albo „Fotoshopy, hej pasterze"?
Tusk: Staniesz z tyłu.
Siemoniak: Ale z tyłu będą osiołki.
Tusk: Wiem, co mówię. Potrzebujemy Maryi.
Kidawa-Błońska: To może ja? Jako trzecia osoba w państwie będę reprezentować przewracanie... wróć, obracanie wymiaru niesprawiedliwości, z prawa i lewa...
Tusk: Fajnie! I teraz wjedzie żurek.
Żurek: Ale w Wigilię?
Czarzasty: Wigilia musi być wolna. Zawsze tak dawaliśmy w banię...
Tusk: Żurek wegetariański. Bez jaj.
Żurek: Ale to jest potrawa wielkanocna!
Tusk: Czepiasz się. W prasłowiańskiej gruszy jest ukryty sens naszej nienormalności. Proponuję, na litość Boską, to znaczy na Matkę Boską...
Wcisło: Może ja? Mam warkocz, a z tego, co się orientuję – to znaczy nie orientuję się, ale wydaje mi się...
Tusk: Gajewska Kinga.
Gajewska (Kinga): Ojej! A ja po tych ziemniakach dla MOPS myślałam, że już nigdy...
Myrcha: Na pewno Kinga?
Tusk: Aleksandra.
Kinga: I po co pytałeś, durniu?! Już ci tatuś zrobi z d...y czekoladę.
Tusk: To kto na Józefa?
Kierwiński: Ja tam w drewnie...
Tusk: Ty masz rolę! Naucz się ryczeć! Nawet Jerzy Stuhr grał osła, mając osła za syna...
Domański: Panie premierze, jestem gotowy przyjąć tę rolę. Mogę kiwać głową.
Tusk: Ale na Józefa? Ja bym cię bardziej widział jako siano. W sensie kasy.
Domański: Ale kasy nie ma.
Tusk: Na służbę...
Kierwiński: ...ta jest. Służba i poświęcenie to są rzeszy...
Tusk: ...zdrowia.
Kierwiński: O, to i premier się nie oszczędza? Zdrówko!

Domański: Tu chodzi o dziurę. Zróbmy w tej szopce dziurę. Wbijemy tam tabliczkę z napisem „NFZ" i będziemy – to znaczy nie my, ale postacie z szopki – ją zasypywać.
Tusk: Potrzebujemy Józefa!
Domański: To może jednak? Ja do szopki jak znalazł, nawet głowa chodzi mi tak jak marionetce.
Petru: Premier mi obiecał!
Tusk: Ale nie Józefa!
Giertych: A czy zwierzęta już nie będą potrzebne? Bo jeśli tylko osioł...
Kierwiński: Tylko nie „tylko", dobrze?! Ja symbolizuję całą faunę. Psy na łańcuchu, tuńczyki w puszce, wołowinę bez kości!
Tusk: Każdy się zmieści. Najwyżej zrobi się szopę, nie szopkę. A Józefa nie ma. Czarzasty by się nadawał. Komunista, ale z charakterem.
Siemoniak: Z charakterem komunisty. To się trzyma wiadomo czego. A kto zagra Dzieciątko?
Tusk: Nie wiem. Myślałem o Józiu Bąku, ale mi wyrósł w międzyczasie. Czy jest z nami kolega Szłapka?
Szłapka: Jestem. Notuję.
Tusk: Umie pan ssać smoczek?
Szłapka: No nie wiem, dawno nie ssałem.
Tusk: Dobra, to niech pan siedzi w kołysce. Czy ktoś zamówił kołyskę? Niemieckie są najlepsze.
Siemoniak: A trzech króli przy szopce?
Petru: Trzech razy dwa to jest dwie handlowe w miesiącu, czyli sześciu kandydatów na szefa partii, to będzie razy dwa – nie, podziel przez trzy....
Tusk: Rysiu, uspokój się.
Petru: Jestem spokojny. Wygram te wybory!
Kierwiński: Ale teraz nie ma wyborów...
Tusk: Daj spokój, facet chce mieć partię, niech ma. Przykryjcie Szłapkę, bo nogi mu wystają.
Kierwiński: Do hynmu... himnu... Śród nocnej ciszy, pogłos rozchodzi... Stań się papieżem, Tusk się rozwodzi...
Tusk: ...i dlatego składam państwu najserdeczniejsze życzenia. Do siego! I ten, tego, tamtego! Hej, Jude...

eprasa.pl af616a2cad

Kiedy świat na chwilę zwalnia

Życzę Polakom, aby decyzje podejmowane w sprawach publicznych na każdym poziomie były mądre, przemyślane i bazujące na dobru wspólnym

Z okazji świąt Bożego Narodzenia składam wszystkim serdeczne życzenia pełne ciepła, nadziei i wzajemnej życzliwości. To szczególny moment w roku, kiedy świat na chwilę zwalnia, a my możemy się skupić na tym, co naprawdę ważne: obecności bliskich, budowaniu relacji, odnajdywaniu spokoju i wdzięczności za dobro, które już mamy. Niech ten czas przyniesie nam wszystkim chwilę wytchnienia oraz pogodę ducha, której często brakuje w codziennym zabieganiu.

Niech nadchodzące święta staną się przestrzenią pełną rodzinnej atmosfery, gdzie przy wspólnym stole odnajdujemy zgodę, otwartość i zrozumienie. Życzę, by tradycje pielęgnowane od pokoleń nie tylko budowały poczucie więzi, lecz także dawały siłę do mierzenia się z wyzwaniami, jakie przynosi współczesność. Niech państwa domy wypełnią się ciepłem, zapachem wigilijnych potraw i dźwiękiem rozmów, które zbliżają, inspirują i pozwalają zobaczyć w drugim człowieku to, co najlepsze.

W nadchodzącym roku życzę wszystkim Polakom przede wszystkim zdrowia – zarówno tego fizycznego, jak i psychicznego. Niech każdy z nas będzie mógł korzystać z troskliwej, sprawnie działającej opieki zdrowotnej (która ostatnio tak mocno kuleje). Niech daje ona poczucie bezpieczeństwa i gwarancję, że w potrzebie znajdziemy nie tylko profesjonalną pomoc, lecz także ludzkie podejście. Obyśmy potrafili o siebie dbać na co dzień, odnajdywali równowagę między obowiązkami a odpoczynkiem i pamiętali, jak ogromną wartość mają profilaktyka, serdeczność oraz wzajemne wsparcie.

Życzę również, aby kolejny rok przyniósł więcej stabilności ekonomicznej, poczucia bezpieczeństwa finansowego i możliwości spokojnego planowania przyszłości. Niech wysiłek włożony w pracę przynosi satysfakcję i godziwe owoce, a domowe budżety stają się coraz bardziej przewidywalne. Oby Polacy mogli z nadzieją patrzeć na rozwój zawodowy, realizację pasji, inwestowanie w dom, rodzinę, edukację czy własne marzenia. Niech codzienna praca – niezależnie od tego, czy jest wykonywana w mieście, na wsi, w biurze, w służbie publicznej czy na roli – będzie odpowiednio doceniana i wynagradzana.

Szczególne życzenia kieruję do rolników, przedsiębiorców i wszystkich osób, które swoją pracą tworzą fundamenty stabilności i dobrobytu kraju. Niech ich wysiłek spotyka się ze zrozumieniem, szacunkiem i warunkami, które pozwalają planować przyszłość bez niepewności. Życzę, aby rozwój gospodarczy był zrównoważony, rozsądny i przyjazny zarówno dla ludzi, jak i dla natury, dzięki czemu kolejne pokolenia będą mogły czerpać z owoców tej pracy.

Niech nowy rok przyniesie Polsce więcej spokoju społecznego, dialogu i współpracy. Życzę, aby decyzje podejmowane w sprawach publicznych na każdym poziomie były mądre, przemyślane i bazujące na dobru wspólnym. Oby każdy obywatel czuł, że ma swoje miejsce w kraju, który dba o jego potrzeby, prawa i aspiracje. Niech różnice zdań nie dzielą nas tak mocno, a rozmowy prowadzą do zrozumienia i budowania więzi, które są podstawą silnej wspólnoty.

Życzę również, by Polska była miejscem bezpiecznym – zarówno dziś, jak i w przyszłości, w którym szanowane są wartości ważne dla wszystkich mieszkańców kraju, a sprawy związane z bezpieczeństwem, rozwojem gospodarczym, ochroną granic, rolnictwem czy współpracą międzynarodową są prowadzone z rozwagą, odpowiedzialnością i troską o dobro obywateli. Oby kolejne lata przynosiły poczucie, że żyjemy w państwie stabilnym, przewidywalnym i przyjaznym, w którym możemy z ufnością patrzeć w przyszłość.

W nadchodzącym roku życzę każdemu spełnienia marzeń – tych dużych i tych całkiem codziennych. Niech będzie to czas odkrywania nowych możliwości, wzmacniania relacji, odnajdywania sensu w podejmowanych działaniach oraz stawiania odważnych kroków w kierunku osobistego szczęścia. Niech dobry los sprzyja nam w ważnych decyzjach, a każdy dzień przynosi choć jeden powód do uśmiechu.

Wesołych, pięknych, pełnych blasku świąt Bożego Narodzenia oraz szczęśliwego, spokojnego i pełnego nadziei nowego 2026 r.!

Dorota Łosiewicz

Koniec MTV w Europie

W cieniu ekspansji Netfliksa, który ma przejąć część koncernu Warner Bros. Discovery, odbywa się jeszcze jedna zmiana na światowym rynku mediów. Stacja MTV, która w latach 80. przyczyniła się do wylansowania wielu gwiazd muzyki pop, m.in. Madonny i Michaela Jacksona, kończy działalność w Europie.

Tytaniczne zmagania z konkurencją – przede wszystkim z internetowym streamingiem i mediami społecznościowymi – okazały się dla MTV przeszkodą nie do pokonania. Z końcem tego roku stacja należąca obecnie do amerykańskiego giganta medialnego Paramount Skydance zakończy emisję kanałów MTV Live HD, MTV Hits, MTV 80s, MTV 90s, MTV 00s, a także Club MTV i MTV Music. Dotyczy to Wielkiej Brytanii i innych krajów europejskich, w tym Polski. Zmiany oznaczają m.in. zwolnienie z pracy tysiąca pracowników.

Decyzja o zakończeniu emisji w Europie oznacza koniec ery znaczonej popularnością teledysków, trendów muzycznych, zespołów i uwielbianych prezenterów, których w szczytowym okresie popularności MTV podziwiały miliony młodych telewidzów. Jednak warunki, które uczyniły stację kanałem rządzącym gustami i na swój sposób rewolucyjnym, po prostu już nie istnieją. Jak zauważa Kirsty Fairclough, profesor studiów filmowych na Manchester Metropolitan University, wzrost popularności cyfrowych platform streamingowych, takich jak YouTube i TikTok, całkowicie zmienił sposób, w jaki wchodzimy w interakcje z muzyką i obrazami.

Także James Hyman, który w latach 90. reżyserował i produkował emitowane przez stację programy z muzyką taneczną, jest zdania, że czasy prosperity trwały do momentu pojawienia się internetu. Przedtem jego programy Party Zone były w stanie wylansować kulturę klubową i wiele wschodzących gwiazd muzyki techno, house i trance, wywierając ogromny wpływ na modę, film i muzykę w całej Europie. „To M [w nazwie stacji] oznaczało muzykę, ale jej już nie ma" – ubolewa Hyman.

W ostatnich latach w MTV muzyki było rzeczywiście znacznie mniej i była ona coraz gorsza, a repertuar stacji zdominowały ocierające się o pornografię, ogłupiające reality show. MTV była więc również – w sensie negatywnym – elementem napędzającym amerykanizację europejskiej kultury. A dokładnie jej „macdonaldyzację", czyli wykorzenienie jednostki z jej tożsamości i dziedzictwa. I choć sentyment do stacji pozostał, to świat zmienił się na gorsze, za co część winy ponosi także MTV.

Maciej Walaszczyk

Biskupi w areszcie

W Armenii rozgorzała wojna religijna. Nie chodzi w niej jednak o kwestie związane z kanonem wiary, ale o sprawy polityczne, w tym stosunek Erywania do Moskwy.

Na początku grudnia służba bezpieczeństwa zatrzymała abp. Arszaka Chaczatrjana, biskupa pomocniczego ze stolicy kościoła ormiańskiego w Eczmiadzynie. Postawione mu zarzuty dotyczą sprawy sprzed siedmiu lat, kiedy miał przekazać narkotyki jednemu ze swoich współpracowników, aby ten z kolei podrzucił je protestującym przeciwko rządom katolikosa – głowy Kościoła ormiańskiego.

Aresztowanie Chaczatrjana ma związek z opublikowanym nagraniem wideo przedstawiającym arcybiskupa w intymnej relacji z żoną jego wuja. Po ujawnieniu tego „kompromatu" Pasziniana wezwał duchownego do złożenia funkcji, ale ten odmówił, zaprzeczył autentyczności nagrania (mimo ekspertyzy sądowej potwierdzającej, że jest ono oryginalne) i odwołał się do katolikosa Karekina II, który poparł jego stanowisko. W odpowiedzi premier Armenii zażądał dymisji Karekina II. Zwołał także spotkanie, w którym wzięło udział sześciu arcybiskupów i czterech biskupów. Zebrani wezwali Chaczatrjana do ustąpienia.

Sprawa ma tak naprawdę wymiar polityczny, bo w ostatnich miesiącach część duchowieństwa ostro atakowała Pasziniana za jego politykę zmierzającą do zawarcia pokoju z Azerbejdżanem, a także normalizację stosunków z Turcją i zbliżenie z Zachodem, domagając się utrzymania tradycyjnego kursu Erywania na Moskwę. Z kolei duchowni sympatyzujący z rządem zwrócili się z prośbą do ormiańskiego patriarchy Konstantynopola, aby pomógł przywrócić jedność w politycznie podzielonym Kościele.

Nie będzie o to łatwo, bo Karekina II poparło 27 biskupów i arcybiskupów, co raczej zapowiada dalszą polaryzację i zaognienie relacji. Latem br. policja aresztowała dwóch biskupów diecezjalnych, którym zarzuca się przygotowania do zamachu stanu i „aktów terrorystycznych". Obóz rządzący jest przekonany, że niweczy w ten sposób plany Moskwy, zmierzającej do zmiany władzy w Armenii. Kościół stał się w tej sprawie narzędziem w rękach polityków, co zapowiada narastający kryzys i podział w społeczności wiernych.

Marek Budzisz

eprasa.pl af616a2cad

Rosja

Kryzysowa gospodarka

Według oficjalnych statystyk rosyjskich kolei przewóz towarów w mijającym roku jest bliski osiągnięcia historycznego dna. Stoi to w sprzeczności z zapewnieniami Kremla, że gospodarka Rosji mimo wojny oraz sankcji radzi sobie świetnie i nie ma dziś żadnych oznak recesji.

W październiku stojąca na czele banku centralnego Elwira Nabiullina oświadczyła w Dumie, że rosyjska gospodarka wychodzi ze „stanu silnego przegrzania". Zwróciła uwagę, że nie może być mowy o recesji, skoro bezrobocie jest rekordowo niskie, a pensje stale rosną. Przy czym właśnie te parametry – zdaniem ekspertów – świadczą o tym, że gospodarka ciągle jest przegrzana, a Nabiullina robi dobrą minę do złej gry.

Złe wskaźniki można odczytać również z innych danych. Statystyki rosyjskich kolei świadczą o załamaniu przewozów towarowych. Dotyczy to w szczególności rynku wewnętrznego. Do końca września 2025 r. masa przewożonych ładunków spadła o 7 proc. w stosunku do tego samego okresu roku poprzedniego (który również był pod tym względem kryzysowy). Można to przeliczyć na 60 mln t lub 600 tys. wagonów. Gdyby taką liczbę pustych wagonów ustawić na torach, długość pociągu sięgałaby od Moskwy do Władywostoku nad Oceanem Spokojnym. Jeżeli dotychczasowe tempo spadku przewozów utrzyma się do końca tego roku, będzie on najgorszym od 2003 r., gdy zaczęto prowadzić takie statystyki.

W Rosji ponad 75 proc. ładunków przewożonych kolejami stanowi sześć rodzajów towarów: węgiel, produkty naftowe, nawozy, rudy metali, materiały budowlane oraz stal i produkty metalowe. Jedynie w jednej z tych kategorii – nawozach – wystąpił niewielki wzrost przewozów. W pozostałych odnotowano spadki, przy czym w dwóch z nich – w materiałach budowlanych oraz stali i produktach metalowych – doszło do kompletnej zapaści. Wyraźnie widać, które branże rosyjskiej gospodarki przeżywają kryzys. Dotyczy to przede wszystkim budownictwa, a także przemysłu stalowego, które wyjątkowo mocno zostały uderzone sankcjami, a także naftowego – zarówno z powodu niskich cen ropy naftowej, jak i ukraińskich ataków na rafinerie.

Zmieniła się także struktura rosyjskich przewozów kolejowych. Bo o ile przewozy wewnętrzne gwałtownie spadły, o tyle ruch międzynarodowy – głównie do Chin – wzrasta. Do końca września 2025 r. z Rosji wyekspediowano do Chin 28,6 mln t ładunków kolejowych, w przeciwną stronę – jedynie 1,8 mln t. Pokazuje to gwałtownie rosnącą zależność rosyjskiej gospodarki od chińskich zamówień.

Dane rosyjskiego urzędu statystycznego (Rosstat) potwierdzają pogarszającą się kondycję gospodarki. Dobre wyniki notują jedynie przemysł zbrojeniowy, tytoniowy i tekstylny. Wojna kosztuje Rosję coraz więcej.

Konrad Kołodziejski

Chińska enklawa w Toskanii

Włochy

Niedawno w toskańskim mieście Prato grupa obywateli Chin zaatakowała funkcjonariuszy jednostki DIGOS, czyli agencji policyjnej zajmującej się operacjami specjalnymi. Prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie napaści dokonanej przez członków chińskiego gangu, jednak państwo pozostaje bezradne w obliczu aktywności mafii z Dalekiego Wschodu.

Incydent w Prato zwrócił uwagę opinii publicznej na miasto, które niegdyś było centrum włoskiego przemysłu tekstylnego. Pod koniec lat 80. rodzime zakłady włókiennicze zaczęły jednak upadać, a na ich miejscu jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać szwalnie zarządzane i obsługiwane przez przybyszów z chińskiej prowincji Zhejiang. Z czasem zdominowali oni miasto. Dziś szyldów w języku chińskim jest tam więcej niż we włoskim. Najpopularniejszymi nazwiskami są Chen, Hu i Lin. Dla porównania – najczęściej spotykane włoskie nazwisko (Gori) znalazło się dopiero na 12. miejscu. W sumie nic w tym dziwnego, skoro w 200-tys. Prato mieszka obecnie ok. 30 tys. Chińczyków. Prowadzą oni 7 tys. firm, w których jest zatrudnionych 43 tys. pracowników.

Dziś to nie tylko jedno z największych skupisk obywateli Państwa Środka w Europie, lecz także ważny ośrodek przestępczości zorganizowanej. W ostatnich latach miasto stało się areną wojen między chińskimi klanami, dochodziło do podpaleń fabryk, pobić i morderstw. Stoją za tym olbrzymie pieniądze z gigantyczną szarą strefą i niekontrolowanymi przepływami gotówki na dużą skalę.

Służbom specjalnym trudno jest walczyć z tymi grupami, gdyż są one niezwykle hermetyczne i trudne do zinfiltrowania. Nie działa instytucja świadka koronnego, ponieważ zmiana tożsamości zeznających i objęcie ich programem ochrony są niemożliwe bez zgody kraju pochodzenia, a to jest blokowane przez Pekin. W efekcie chińska mafia stała się w Prato zjawiskiem strukturalnym i może wpływać nawet na wyniki lokalnych wyborów. Napad na policję to wyraźny sygnał dla władz, że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl af616a2cad

Wesołych Świąt!

Święta Bożego Narodzenia to czas magii. Choinka migocze, kolędy brzmią, a śnieg – jeśli dopisze – maluje świat na biało. Polskie tradycje, z opłatkiem i 12 potrawami, niosą ciepło, wiarę i prostotę. Europejskie? Często rozmyte w komercji, z Mikołajem w supermarkecie zamiast Dzieciątka Jezus w szopce. Nasze wigilie pachną miłością, barszczem i makowcem, ich – kalkulacjami emisji. Magia tkwi w różnicach. My wierzymy w Pana Boga, oni – w regulacje

Daniel Obajtek

Pamiętam z dziecięcych lat, jak w mojej rodzinnej miejscowości na pasterce o północy kościół pękał w szwach. Ksiądz mówił o nadziei w trudnych czasach, a my, dzieci, marzliśmy w ławkach, ale czuliśmy jedność. Nagle wyłączono prąd – PRL-owska rzeczywistość. Ludzie zapalili świeczki, kolędy brzmiały głośniej. „To znak – szepnął ktoś – że wiara przetrwa bez obcych świateł".

Dziś, w erze brukselskich dyrektyw, ta pasterka daje znak, że tradycje uczą oporu wobec narzuconych blackoutów. W tej aurze, gdy gwiazda betlejemska przypomina o nadziei, składam życzenia. Nie grzeczne i zwyczajowe, bo w polityce niewiele jest ostatnio dobrych obyczajów, ale szczere.

Aktualnej koalicji rządowej w Polsce życzę opamiętania wobec Brukseli. Przestańcie być marionetkami eurokratów, którzy traktują nas jak kolonię. Więcej rozsądku? Ha, marzenie! Zamiast troski o obywateli – tych, którzy marzną przez wasze szalone „reformy" energetyczne – fundujecie im podwyżki i chaos. Niech magia świąt zamieni wasze kłótnie o stołki w realną pracę – drogi bez dziur, szkoły bez ideologicznego prania mózgów, granice bez przemytników, szpitale bez długów i długich kolejek po życie. Życzę wam kreatywności – własnych pomysłów na energetykę, a nie ślepego kopiowania brukselskich bzdur. Węgiel, atom, gaz – nie wiatraki, które stoją bezczynnie. A jeśli nie jesteście w stanie tego zmienić – to przynajmniej spokojnych dla wszystkich świąt, bez kolejnych skandali i zdrady narodowych interesów.

Urzędnikom w Brukseli i Komisji Europejskiej – wycofania z zielonej agendy, która blokuje kontynent jak trucizna. Zielony Ład? Katastrofa – fabryki bankrutują, energia drożeje, przemysł ucieka. Przypomnijcie sobie o europejskim przemyśle – tym, który budował potęgę, odrzućcie ekofantazje. Cudem niech będzie powrót do rozsądku – mniej zakazów na diesle, więcej atomu. Zdrowia, bo wasze biurowce toną w hipokryzji, i realizmu – śmiechu nad absurdem, takim jak kolejne zakazy plastikowych słomek zamiast ograniczenia dzikiego importu z Azji.

Opozycji w Polsce, której jestem częścią – jedności jak podczas rodzinnej kolacji! Współpracy, mądrości, strategii, która powali przeciwników. Niech święta scalą nas jak opłatek. Sił do walki o Polskę tradycyjną, suwerenną, z energią z własnych źródeł. Bez rozłamów, z ripostami ostrymi jak igły. W jedności siła!

Czytelnikom „Sieci" – wytrzymałości na burze. Spokoju przy bliskich, pokoju w sercach, zdrowia. Niech magia świąt otuli was ciepłem, a kolędy zagłuszą politykę. Bądźcie dumni z siebie i z Polski! Nadzieja nadchodzi z Betlejem, a nie z unijnych dyrektyw. Życzę wam energii wewnętrznej i jak najniższych rachunków.

Sobie – zdobycia nowych, wspaniałych czytelników, siły do pisania, wytrwałości w walce z europejskimi nonsensami i o lepszą Polskę.

Zdrowych, pięknych świąt!

W dniu 28 listopada 2025 r. zmarł w wieku 90 lat

ŚP.

PIOTR WIERZBICKI

Pisarz, opozycjonista, publicysta, walczący piórem z zagrożeniami stojącymi przed Polską.
Założyciel „Gazety Polskiej" i jej wieloletni redaktor naczelny.

Autor esejów, wierszy, rozpraw filozoficznych oraz książek, felietonów i audycji muzycznych.

Odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

Msza Święta pogrzebowa odbędzie się we wtorek, 16 grudnia 2025 r., o godzinie 11.00 w kościele pod wezwaniem św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach w Warszawie, po czym nastąpi odprowadzenie do grobu rodzinnego (kwatera I, rząd 3).

Syn z żoną i dziećmi oraz siostra i brat z rodzinami

12/1225/F

eprasa.pl af616a2cad

Koniec Bretton Woods?

Marta Kaczyńska-Zielińska

W ostatniej dekadzie jesteśmy świadkami nowego zjawiska w sferze finansów i inwestycji. Są nimi kryptowaluty bazujące na technologii blockchain.

W trakcie zwycięskiej kampanii wyborczej Donald Trump zapowiedział, że sprawi, iż USA staną się światowym centrum kryptowalut. W ramach realizacji swoich obietnic wyborczych wprowadził na rynek amerykański regulacje, tzw. stable coins, których wartość jest powiązana z kursami tradycyjnych walut, co z pewnością ośmieli wielu inwestorów do zaangażowania kapitału w sferę krypto, która zdaje się stabilniejsza od funkcjonujących w obrocie instrumentów opartych na technologii informatycznej. Zdaje się więc, że przywódca państwa z największą gospodarką na świecie jest entuzjastycznie nastawiony do cyfrowego pieniądza.

Mechanizm działania kryptowalut stał się jednak atrakcyjny także dla zdominowanych przez Chiny reżimów autorytarnych, skupionych w mającej stanowić przeciwwagę dla G7 grupie BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, RPA, Egipt, Etiopia, Iran, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Indonezja). Śledząc poczynania tej międzynarodowej organizacji, warto odnosić je do sytuacji geopolitycznej, a w szczególności do aktywności wojennej Federacji Rosyjskiej. Można bowiem odnieść wrażenie, że te działania są ze sobą skoordynowane i mają na celu realizację rozpisanego na dekady planu przejęcia dominacji przez reżimy autorytarne.

8 grudnia br. BRICS uruchomiło inicjatywę The Unit (Jednostka), której celem jest uderzenie w jądro zachodniej hegemonii monetarnej. Koncepcja bazuje na cyfrowym instrumencie, którego podstawą jest złoto, mającym za zadanie przekierować transakcje handlowe z dala od dolara amerykańskiego. Debata na temat geopolitycznych implikacji The Unit staje się pretekstem do dywagacji na temat potencjalnej dedolaryzacji, globalnych zmian układu sił i wykorzystania systemów blockchain. Jednostka to pilotażowy projekt cyfrowej waluty handlowej, stworzony do rozliczeń między gospodarkami BRICS. Jej wartość ma być utrzymywana poprzez koszyk walut lokalnych i fizyczne złoto. Nie zastępuje ona walut krajowych. Ma pełnić funkcję neutralnego narzędzia rozliczeniowego, zmniejszając zależność od dolara amerykańskiego w handlu między gospodarkami BRICS. Do kierowania projektem wyznaczono dyrektora generalnego opartego na sztucznej inteligencji, co według twórców waluty ma ją uchronić przed wpływem emocji i presją polityczną, zapewniając jednocześnie spójną pamięć, precyzję analityczną i ciągłość.

System, który pozwoli dużym gospodarkom na rozliczanie handlu bez użycia dolara amerykańskiego, zmniejszy globalny popyt na tę walutę. Niższy popyt może z czasem osłabić siłę nabywczą dolara, podsycając obawy o stopniową dewaluację, a długoterminowo – erozję roli dolara jako domyślnego środka płatniczego w handlu międzynarodowym i rezerwach.

Mechanizm Jednostki bazuje na koszyku rezerwowym, który stanowi podstawę jej wyceny. Składa się on w 40 proc. ze złota oraz w 60 proc. z walut podzielonych na pięć równych wag po 12 proc. (real, juan, rupia, rubel, rand). Złoto ma stabilizować wycenę w okresach zmienności walut. Wszystkie depozyty i codzienne aktualizacje cen mają działać na blockchainie, obsługiwanym przez IRIAS – instytut skupiający naukowców z Rosji, Mongolii, Kuby, Węgier i Bułgarii. W założeniach The Unit ma sprawić, że złoto stanie się częścią codziennych rozliczeń, zmieniając rolę z pasywnej rezerwy na aktywny składnik transakcji handlowych i wzmacniając pozycję kruszcu w globalnych finansach.

Podważenie dolara amerykańskiego jako globalnej waluty rezerwowej zdestabilizowałoby międzynarodowy system finansowy, który funkcjonuje od konferencji w Bretton Woods w 1944 r. Nowa jednostka mogłaby stworzyć pierwszą na dużą skalę linię rozliczeniową powiązaną ze złotem w erze cyfrowej, co miałoby długofalowe konsekwencje dla globalnej płynności, rezerw walutowych i struktury handlu międzynarodowego.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci nowo narodzonej córeczki naszych kolegów

KATARZYNY MICHAŁKIEWICZ-KUSZ

ORAZ KRZYSZTOFA KUSZA

Składamy wyrazy najgłębszego współczucia
oraz szczerego żalu wobec tej niezwykle bolesnej straty.

Łączymy się z Wami w bólu i modlitwie, życząc siły i otuchy w tych trudnych chwilach.

w imieniu grupy EKR
Sekretarz Generalny
Tomasz Szatkowski

14/1225/F

eprasa.pl af616a2cad

Walizka s. Judyty Pudełko

Uczennicy Boskiego Mistrza w Rodzinie Świętego Pawła, wykładowcy Pisma Świętego na Akademii Katolickiej w Warszawie

Bycie siostrą, Uczennicą Boskiego Mistrza w Rodzinie Świętego Pawła, jest moją tożsamością i podróżą przez życie. Jestem kobietą, która wzrastała w normalnej rodzinie, od dziecka pasjonowała mnie nauka. Ale moją największą radością jest to, że jestem ochrzczona, jestem katoliczką i siostrą zakonną – osobą konsekrowaną, żyjącą w konkretnej wspólnocie. To powołanie wzrastało we mnie już od wczesnego dzieciństwa, w którym pociągało mnie poznawanie Boga i wchodzenie w tajemnicę wiary. Z czasem okazało się, że bardzo bliskie jest mi Pismo Święte, Eucharystia, uczestnictwo w liturgii świętej i w adoracji Najświętszego Sakramentu. W wieku 14 lat miałam takie doświadczenie – gdy pierwszy raz weszłam do naszej kaplicy w Częstochowie, odkryłam w sobie myśl: „Ja tutaj będę, będę w tym miejscu". Wtedy to był mój sekret, ale po maturze nie myślałam już o niczym innym i nie byłam w stanie zatrzymać w sobie pragnienia „życia bardzo blisko Jezusa". Choć moje życie w zakonie wyobrażałam sobie jako głównie kontemplacyjne, ukryte, z dużą ilością modlitwy, ku mojemu zaskoczeniu potoczyło się ono inaczej, bo już rok po pierwszych ślubach rozpoczęłam studia teologiczne na UKSW w Warszawie, które ukończyłam doktoratem z teologii biblijnej. Następnie jeszcze trzy lata studiowałam nauki biblijne i archeologię w Jerozolimie, a potem zostałam zatrudniona w ówczesnym Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie, przemianowanym na Akademię Katolicką. Obecnie już prawie 15 lat pracuję na tej uczelni, gdzie się habilitowałam i jestem profesorem uczelnianym.

KAPLICA

Podczas podróży związanych z głoszeniem Słowa Bożego, pielgrzymkami do ziem biblijnych, różnymi rekolekcjami czy wykładami najbardziej brakuje mi kaplicy z Najświętszym Sakramentem naszego domu zakonnego. Zawsze więc zabieram ją w sercu – tam, gdzie obecny jest Jezus w Najświętszym Sakramencie.

Fot. Michał Korsun, mapka z „The Sacred Bridge" – Anson F. Rainey, R. Steven Notley, Shutterstock

eprasa.pl af616a2cad

JĘZYKI ORYGINALNE

Dla mnie bardzo istotne są teksty w językach oryginalnych – hebrajskim, aramejskim czy greckim, które służą badaniom biblijnym, głębszemu poznaniu Słowa Bożego, żeby później nauczać Pisma Świętego, a także dzielić się nim podczas posługi duszpasterskiej.

KRZYŻ I REGUŁA ŻYCIA

To dwa elementy związane z powołaniem Uczennicy Boskiego Mistrza, które otrzymuje siostra naszego zgromadzenia na całym świecie. Jest to wyznacznik naszej charyzmatycznej i duchowej tożsamości.

BREWIARZ

Księga liturgii godzin, którą celebrujemy. Wspólnotowe modlitwy codziennie nieustannie jednoczą nas z misterium Chrystusa przeżywanym w Kościele.

PROGRAMY

Bardzo dużą pomocą są aplikacje komputerowe służące poznawaniu i studiowaniu Pisma Świętego. Polecam profesjonalne programy biblijne, takie jak Accordance, Logos czy Bible Works, pozwalające np. na zestawianie fragmentów świętych tekstów w trzech językach jednocześnie – hebrajskim, greckim i polskim – oraz badanie tekstów na różnych poziomach.

TYSIĄCLATKA

Biblia Tysiąclecia, czyli tłumaczenie Pisma Świętego z języków oryginalnych przygotowane przez polskich biblistów z inicjatywy benedyktynów tynieckich na 1000-lecie Chrztu Polski (1966 r.). Obecnie w tekstach liturgii posługujemy się jej piątym wydaniem, a obecnie jest przygotowywane szóste, bo język ewoluuje i staramy się wprowadzać poprawki, żeby jeszcze lepiej oddać tekst biblijny.

MAPY

Od czasu do czasu wyruszam na wyprawy do krajów związanych z wydarzeniami biblijnymi – Ziemi Świętej (Izrael, Palestyna), Grecji czy Turcji. Takie wyjazdy ułatwiają nam zrozumienie i wejście w osobisty kontakt z realiami związanymi z Pismem Świętym, a mapy pozwalają lepiej poznać geografię i topografię tych miejsc.

TEOLOGIA

Szeroko rozumiana teologia katolicka pomaga nam szerzej spojrzeć na Słowo Boże i interpretować je we właściwy sposób. Wspieramy się wtedy autorytetami i Ojcami Kościoła takiego formatu jak św. Tomasz z Akwinu, najwybitniejszy teolog średniowieczny i twórca ponadczasowej filozofii oraz teologii. Oczywiście bardziej współcześni teologowie i dokumenty późniejszych papieży też dostosowują chrześcijańskie orędzie do dzisiejszych czasów, czego przykładem są dokumenty soboru watykańskiego II.

BIBLIA PAULISTÓW

Współczesne tłumaczenie dokonane na przełomie XX i XXI w. Jest tutaj bardzo dużo innowacji wprowadzonych do tego języka. Ciekawe są krótkie komentarze pod każdą perykopą, wyjaśniające, o czym jest dany fragment.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl af616a2cad

BRONISŁAW WILDSTEIN

Anty-PiS jako nauka

Skazany przez pewien czas na audiobooki trafiłem na książkę Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego „Społeczeństwo populistów". W bibliotece, z której korzystam, prezentowana jest jako bestseller. Szybko zorientowałem się, że sposób jej anonsowania to wyłącznie strategia promocyjna. Demokracja liberalna musi być zachwalana na wszelkie możliwe sposoby.

„Społeczeństwo populistów" to przykład sprowadzenia nauk humanistycznych do agitacji nie tylko ideologicznej, lecz także politycznej oraz ich zaangażowania w doraźną walkę partyjną.

Propaganda liberalna uwiarygadnia się poprzez krytykę stronnictwa, które reprezentuje, po to, aby ostatecznie wskazać, o ile jest ono lepsze niż populistyczne demony. Przede wszystkim jednak, tak jak w komunizmie, prezentuje się jako nauka.

„Stosowaliśmy niemal wszystkie znane w socjologii metodologie badawcze (sondaże, wywiady grupowe, wywiady pogłębione indywidualne, dwutygodniowy tzw. tracking, czyli codzienne badanie sondażowe w trakcie jednej z kampanii wyborczych, wywiady eksperckie oraz seminarium eksperckie). W badaniach sondażowych wzięło udział łącznie prawie 18 tysięcy Polek i Polaków, a w wywiadach grupowych ponad 200 osób. Przepytaliśmy ponad 40 ekspertów z różnych dziedzin". Ogłaszają nam: twórca „Krytyki Politycznej" Sierakowski i prof. socjologii UW Sadura.

Czy możemy nie ugiąć się przed autorytetem tak gruntownie zweryfikowanej nauki? Autorzy przyznają wprawdzie, że jednym z ich ekspertów był Bartłomiej Sienkiewicz, ale zaznaczają, że brali pod uwagę jego oceny wyłącznie jako profesjonalisty. Organizator bojówek, które pacyfikują niewygodne władzy instytucje, tak rygorystycznie potrafiący rozdzielić swoją polityczną rolę od stanowiska w naukach społecznych, musi budzić podziw. Tak jak i ci, którzy potrafią odsiać jedne od drugich. Czy naprawdę jednak autorytet Sienkiewicza jest niezbędny do badania polityki w Polsce? I czy reszta ekspertów prezentuje równie wysokie standardy?

Wstęp do „Społeczeństwa populistów" zaczyna się jak manifest czarnej propagandy wymierzonej w PiS. Nie miejsce tu i sens przytaczać jego tezy, bo składają się one nieomal wyłącznie z kłamstw, insynuacji lub manipulacji. Oto przykłady.

„[PiS] Na lata zamroził stosunki z Ukrainą, żeby 24 lutego 2022 roku objawić się jako największy orędownik Ukrainy na świecie". Sformułowane jest to w tonie ironicznym, gdy powinno być to jednym z większych tytułów do chwały partii Kaczyńskiego, choć naturalnie „zamrożenie stosunków" mija się z prawdą.

„Na premiera [PiS] wybrało bankiera, żeby poprawił relację z Unią Europejską. Bankier poprawił swoją sytuację finansową, ale z Brukselą potrafił załatwić jedynie blokadę środków europejskich na lata". Mateusz Morawiecki, bo o nim mowa, materialnie niezwykle stracił na przejściu do polityki i nikt nigdy nie oskarżył go o korupcję. Środki z KPO dla Polski zostały zablokowane ze względów politycznych, co było skandalem, gdyż KE nie miała do tego prawa. Stało się to na interwencję opozycji, co PO z dumą deklarowała, a było kolejnym skandalem.

„Po tylu ujawnianych skandalach [...] Po tak ostentacyjnej korupcji i nepotyzmie jedyną odpowiedzią społeczeństwa mogła być kara". Pomówienia te powtarzane bez końca przez całą książkę zilustrowane zostały dwoma (!) przykładami: „aferą dwóch wież" oraz wewnętrznymi tarciami PiS w Wałbrzychu. Pierwszy sprowadzał się do pomysłu, aby wybudować wieżowiec na gruntach należących do związanej z PiS spółki Srebrna, pomysłu, który został zablokowany przez Jarosława Kaczyńskiego. Drugi to upublicznienie podsłuchów, na których, wykorzystując zmianę premiera, jedni działacze PiS starali się usunąć innych z władz lokalnych.

Analitycy demokratycznej polityki, Sadura i Sierakowski, zapałali świętym oburzeniem wobec faktu, że politycy rywalizują o władzę także wewnątrz własnego ugrupowania. Czy jest sens to komentować?

Tak jak kolejne odkrycie autorów, że Polacy w wyborach kierują się swoim interesem. Zgorszenie autorów nie zna granic. Ma to być świadectwem „mentalności folwarcznej". Przecież społeczeństwa Europy Zachodniej, które powinny być dla nas wzorem, orientują się wyłącznie na cele strukturalne, czyli realnie na dobro wspólne. Dowody, na które powołują się Sierakowski i Sadura, są tak naukowe jak obiektywizm Sienkiewicza. Nie zauważają, że piętnując takie zachowania, zaprzeczają sobie, albowiem w innymi miejscu dyskredytują polską tradycję wolności republikańskiej na rzecz zachodniego narcystycznego indywidualizmu. Kto by się przejmował logiką – ważne, aby skompromitować polską wspólnotę i jej fundament.

W rzeczywistości „Społeczeństwo populistów" jest kompromitacją autorów i oklaskującego ich środowiska.

Oto pointa wstępu do „Społeczeństwa populistów": „Lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy sprzeciwiają się coraz większej polaryzacji polskiego społeczeństwa". Mają autorzy poczucie humoru.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl af616a2cad

Jak w stanie wojennym łamano zasadę, że prawo nie działa wstecz

Jak dziś wiadomo, Dziennik Ustaw z prawodawstwem stanu wojennego wydrukowano 17–18 grudnia 1981 r. (czwartek–piątek). Tego drugiego dnia został – w liczbie 300 egzemplarzy – dostarczony na konferencję prezesów sądów wojewódzkich. Oznaczałoby to, że do sądów dotarł najwcześniej dzień później, a z dużym prawdopodobieństwem (przynajmniej w przypadku części z nich) – dopiero 21 grudnia. Tymczasem pierwsze rozprawy na jego podstawie rozpoczęły się już 17 grudnia 1981 r. Zdaniem prof. Andrzeja Paczkowskiego „prawdopodobnie najszybszy był Sąd Rejonowy w Lubinie". Oznacza to, że sądzono i skazywano na podstawie prawa, którego *de facto* jeszcze nie było, gdyż nie zostało ono prawidłowo opublikowane. Od tej niechlubnej reguły zdarzały się – nieliczne niestety – wyjątki, np. na początku 1982 r. sąd w Olsztynie uniewinnił działacza Solidarności, motywując tym faktem uzasadnienie wyroku. O czym była mowa, powszechna praktyka była jednak zupełnie inna.

Nie zmienił tego fakt, że kwestię tę – szczególnie w odniesieniu do działań oskarżonych z 13 i 14 grudnia 1981 r. – podnosili obrońcy w procesach politycznych. Problem z punktu widzenia władz PRL był zresztą na tyle duży, że został nawet omówiony w „Informacji Biura Orzecznictwa Sądu Najwyższego o orzecznictwie w sprawach o przestępstwa objęte ustawodawstwem stanu wojennego rozpoznanych w Izbie Karnej oraz w Izbie wojskowej Sądu Najwyższego w okresie od 13.XII.1981 do 30.IX.1982 r.". W dokumencie tym konkludowano, że „wyrażane są w niektórych środowiskach poglądy, że za czyny popełnione w dniu 13 grudnia sprawcy nie powinni ponosić odpowiedzialności karnej [...], że dekrety z dnia 12 grudnia o stanie wojennym oraz postępowaniach szczególnych (postępowaniu doraźnym) nie obowiązywały w dniu 13 grudnia 1981 r., ponieważ: Dziennik Ustaw, w którym dekrety te zamieszczono, nosi datę 14 grudnia 1981 r., prawo może dopiero obowiązywać od chwili jego ogłoszenia tj. w tym wypadku od 14 grudnia 1981 r., prawo karne nie działa wstecz (art. 1 K[odeksu] K[arnego]), wsteczne działania prawa jest zakazane przez Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych (art. 15), także w wypadku zawieszenia niektórych praw (art. 4), co PRL zobowiązała się stosować". I dodawano, że „Inni zwolennicy poglądów zmierzających do pozbawienia prawa wojennego niektórych istotnych treści twierdzą, że gdyby nawet dekrety obowiązywały w dniu 13 grudnia 1981 r., to mimo tego z uwagi na art. 24 KK, nie ponosi się odpowiedzialności za popełnione w tym dniu czyny »okresu stanu wojennego«, ponieważ sprawcy tych czynów, podobnie jak ogół społeczeństwa, nie byli poinformowani o treści dekretów (dostępnych dopiero ok. 18 grudnia 1981 r.), a więc działali pod wpływem błędu".

Argumentacja ta skutkowała, ale represjami wobec obrońców, którzy śmieli jej użyć. A Sąd Najwyższy uchwałą z 20 grudnia 2007 r. po raz kolejny odrzucił ich argumenty i uniemożliwił ściganie tych, którzy łamali fundamentalną zasadę, że prawo nie działa wstecz...

Dr Grzegorz Majchrzak
Biuro Badań Historycznych IPN

Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej
Artykuł sponsorowany | 07/1225/F

eprasa.pl af616a2cad

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nazi, go home!

Jan Pietrzak

Pewna agentka, będąca chwilowo ministerką edukacji w Polsce, wygłosiła kłamliwe zdanie, że obozy śmierci w czasie wojny zbudowali „polscy naziści". Pisałem o tym niedawno. Wiem, że się powtarzam, ale trudno tolerować takie świństwo, codziennie powielane w szkołach. Po prostu nie daje mi to spokoju.

Otóż ja, niżej podpisany, oświadczam, że w trakcie II wojny światowej nie istniała żadna polska partia polityczna, formacja wojskowa, środowisko społeczne, które by określano w ten sposób. Nigdzie nigdy nie było polskich nazistów. Natomiast tuż po morderczej agresji we wrześniu 1939 r. i sześcioletniej potwornej okupacji niemieccy bandyci i złodzieje rozpoczęli akcję dezinformacyjną, że wojnę z nami prowadził Hitler i nieokreśleni naziści. Niemców przy tym nie było. Panowie Polacy, musimy coś z tym fantem zrobić. Nie możemy potulnie wysłuchiwać nikczemnych kłamstw na nasz temat. Zwłaszcza że nie był to jednostkowy przypadek, no i rządy w Polsce sprawuje obecnie wyjątkowo proniemiecka partia, która prawdy za nas nie ogłosi.

Kiedy ok. 20 lat temu zapisywaliśmy się do Unii Europejskiej, nie było mowy o tym, że docelowo mamy zostać kolonią, protektoratem czy gubernią niemiecką. Nie pamiętam dokładnie, w którym roku na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego stulecia sowieckim władzom przyszło do głowy usunięcie amerykańskich baz z Europy. Na użytek niemieckich „obrońców pokoju" wylansowano pieśń „Go home, Ami, Ami go home!". Wszystkie „demoludy" rozbrzmiewały tym refrenem. To jest dla nas historyczna inspiracja, by teraz zaśpiewać Niemcom „Go home, Nazi, go home!".

Nie ulega wątpliwości, że w obecnej rzeczywistości najbardziej ideowo i funkcjonalnie zbliżona do ideologii nazistowskiej jest partia obywatelska. Emanujący wściekłością przywódcy, bezceremonialne traktowanie społeczeństwa, natrętne kłamstwa propagandowe, buta, pogarda, zarządzanie codziennym strachem... Może jakiś specjalista lepiej sformułuje te podobieństwa, by uświadomić wyborcom, z kim naprawdę mamy do czynienia.

Niewykluczone, że przed nami przyspieszone wybory. Są bardzo potrzebne ze względu na szybkość demolowania kraju. Jeszcze rok tej demolki i nie będzie co zbierać. Napaleni są przede wszystkim na Narodowy Bank Polski i prezesa Glapińskiego. To ma być popisowy numer! Jednym kliknięciem klawisza na klawiaturze kompa 520 t złota zostanie przerzucone na adres Deutsche Banku! Oczywiście dla dobra Europy! I całej postępowej ludzkości! Kopalnie zapadną się ze wstydu pod ziemię, szpitale umrą z rozpaczy, zaorane zostanie rolnictwo, wycięte lasy, zatrute rzeki... Musimy temu zaradzić. Nie możemy być bezradni – bezradność jest w takiej sytuacji kompromitacją.

„Dla Boga! Pułkowniku Wołodyjowski! Larum grają! Nieprzyjaciel w granicach. A ty się nie zrywasz? Szabli nie chwytasz?".

Metody z Woronicza

Samuel Pereira

Emocje po starciu Justyny Dobrosz-Oracz z senatorem PiS Wojciechem Skurkiewiczem i jego „zamachu" na mikroport pokazują jedną rzecz: w ich wersji debaty nie chodzi o żadną rozmowę, tylko o polowanie. Pocięte materiały telewizji rządowej, pokrojone na sekundy „owoce" prowokacji mają zastąpić wiedzę, kontekst i proporcje. A przecież mówimy o człowieku, który od 18 lat pracuje w parlamencie, kierował komisją obrony, a jako wiceminister odpowiadał za bezpieczeństwo państwa w najtrudniejszych latach – pandemii, ataku hybrydowego Mińska i pełnoskalowej agresji Rosji.

Tymczasem w telewizji rządowej w likwidacji widzieliśmy karykaturę: polityka przedstawionego jak „ostatni dzikus", bo dał się sprowokować. Dał – i to jego błąd. Ale prowokacja była celem, a nie skutkiem ubocznym.

Warto spojrzeć na liczby. W przywoływanym fragmencie 60 proc. czasu antenowego zajęły kwestie prowadzącej. To nie była rozmowa, lecz działanie mające na celu storpedowanie każdej próby opowiedzenia o polityce Tuska wobec Rosji. A ta – i to jest sedno – pozostaje niewygodna. Bo to Tusk w ramach „resetu" dystansował się od „antyrosyjskiej awangardy", gdy Kreml zajmował Gruzję, gdy dokonał zamachu w Smoleńsku i anektował Krym, to jego rząd realizował kurs zgodny z interesami Berlina, lekceważąc tarczę antyrakietową czy postulaty wzmocnienia regionu. Gdy Skurkiewicz chciał o tym mówić – został zakrzyczany.

Tymczasem świat idzie dalej. Donald Trump przypomina Niemcom, że ich energetyczna zależność od Rosji to nie wpadka, lecz wybór. A Berlin – jak pokazują dane o kontraktach SEFE z rosyjskim Novatekiem – nadal przedkłada biznes ponad bezpieczeństwo. I w tym wszystkim polskie media rządowe próbują przykrywać sedno sprawy kolejną medialną burzą.

Nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego USA rysuje inną mapę: słabszy Berlin, silniejsza Europa Środkowa. To realna szansa dla Polski. Ale trudno ją wykorzystać, jeśli debatę publiczną zastępują prowokacje, a fakty przegrywają z rozedrganiem.

Fot. TVP

eprasa.pl af616a2cad

Gadają, nie robią

Rok dyplomacji Tuska i Sikorskiego to katalog porażek, kompromitacji i utraty wpływów, jakiej Polska nie doświadczyła od lat. Państwo, które miało siedzieć przy „europejskim stole", wróciło jedynie do roli widza, a nie uczestnika rozmów. Zamiast strategicznej polityki widzimy desperacką potrzebę zdobycia poklasku w mediach społecznościowych. Platforma X stała się gabinetem, a PR – substytutem dyplomacji. Jeśli dyplomacja miała być pokazem rządowego hasła „robimy, nie gadamy", to w praktyce wyszło odwrotnie: dużo gadania, mało robienia.

Najbardziej wymowny obraz upadku polskiej pozycji to podróż do Kijowa, podczas której Tusk został odseparowany od europejskich liderów i jechał w osobnym wagonie. Nie jest to anegdota – to symbol miejsca, jakie Polska zajmuje dziś w europejskiej hierarchii. Kiedyś, za naszych rządów, państwo kluczowe dla bezpieczeństwa regionu, dziś – państwo, które dopina się do cudzej inicjatywy, zamiast je tworzyć.

Tak samo szkodliwe są słowa Tuska dotyczące reparacji wojennych, w których zarysował wizję odwrócenia odpowiedzialności historycznej, oraz jego narracja o pakcie migracyjnym przedstawiana Polakom jako zwolnienie z obowiązków, choć zapisy unijne tego nie potwierdzają. To nie są wpadki – to celowa polityka komunikacyjna polegająca na dezinformacji własnego społeczeństwa w imię doraźnych korzyści politycznych.

Efekty tej linii widać również na Zachodzie. Kamień pamiątkowy w Berlinie, który miał być manifestacją skuteczności, w rzeczywistości jest dowodem dyplomatycznej bezradności. A antypolskie publikacje powstające za niemieckie pieniądze utwierdzają w przekonaniu, że Sikorski nie kontroluje ani narracji, ani narzędzi, które powinny służyć obronie dobrego imienia państwa.

Dopełnieniem obrazu jest ranking Politico. Jedynym Polakiem w gronie najbardziej wpływowych osób w Europie jest prezydent Karol Nawrocki, już po zaledwie kilku miesiącach na urzędzie. Nie ma tam Tuska – człowieka, który publicznie głosił, że „w Europie nikt go nie ogra". Europa zweryfikowała go błyskawicznie.

Rząd Tuska nie prowadzi polityki zagranicznej – on prowadzi kampanię. Zamiast siły państwa mamy siłę tweetów. Zamiast powagi – teatralne gesty. Zamiast dyplomacji – PR-owe konfetti. 2025 r. był rokiem straconym. I dopóki dyplomacja pozostanie narzędziem autopromocji, Polska będzie płacić za to najwyższą cenę: utratą realnego wpływu na własną przyszłość.

Arkadiusz Mularczyk

Nie wyobrażam sobie bez niego Wigilii

Z aktorem Bogdanem Kalusem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Mam wrażenie, że dla wielu widzów pozostaje pan Tadeuszem Hadziukiem. Nawet w stroju św. Mikołaja.

Bogdan Kalus: Owszem, jestem kojarzony z serialem „Ranczo", ale powoli wyskakuję z tej szuflady, co pokazuje choćby film „Piernikowe serce" czy role w teatrze, gdzie gram zupełnie inne postacie.

Chciałby pan wrócić kiedyś do Wilkowyj?

Są scenariusze pięciu czy sześciu niezrealizowanych odcinków autorstwa Andrzeja Grembowicza (Roberta Bruttera) i Jerzego Niemczuka – jesteśmy pewni, że to jest dobrze napisane. Chociaż... odgrzewanie kotleta po 10 latach mnie – jako kucharza – nie bawi. Ale jeżeli będzie taka potrzeba i te kropki gdzieś się połączą, to czemu nie.

Wspomniał pan o kulinarnej pasji. Co przygotuje pan na Wigilię?

Nie będzie karpia, bo jesteśmy z żoną uczuleni na tę rybę, więc od lat stawiamy na łososia albo ryby, które jadało się na święta, zanim komuna zaczęła nam wmawiać, że najlepszy jest karp. To np. miętus królewski. Będzie też barszcz z uszkami i śledź, ale w czerwonym winie. Skosztowałem go kiedyś w Muzeum Lwowa i Kresów pod Radziejowicami i od tamtej pory nie wyobrażam sobie bez niego Wigilii. Solonego śledzia najpierw moczymy w mleku, potem kroimy, w międzyczasie gotując czerwone wytrawne wino z goździkami, ziarnami jałowca, liśćmi laurowymi, zielem angielskim, kolorowym pieprzem, laską cynamonu i łyżką miodu. Pachnie nieziemsko, a jak ostygnie, trafia na ułożonego warstwami śledzia i surową cebulę. Cebula musi być też na spodzie i wierzchu. Całość zalewa się winem, zakrywa folią, żeby nie było dostępu powietrza i maceruje przez trzy dni. Trzeba tylko wyliczyć, żeby czwartym dniem była Wigilia.

eprasa.pl af616a2cad

TRENDY I OWĘDY

Mniej, czyli więcej

Jest dobrze. Związek Banków Polskich zakomunikował, że na Boże Narodzenie wydamy 150 zł mniej niż w 2024 r. Jak się nie cieszyć? Dzięki tej informacji życzenia wesołych świąt brzmią szczerze i pogodnie. I nie chodzi o to, że wydamy mniej, bo nam nie wystarczy, tylko wydamy mniej, chociaż wydamy więcej.

Ryszard Makowski

Według tych samych naukowych wyliczeń średnie wydatki na osobę to 1787 zł. To o 13 proc. więcej niż w roku ubiegłym, a w przeliczeniu na gotówkę – ponad 200 zł więcej. Czyli tak się poprawiło, że choć wydamy więcej o 200 zł, to jednak wydamy mniej o 150 zł. Żeby się jeszcze bardziej utwierdzić w rzetelności tych wyliczeń: „Konsumenci są przekonani, że za żywność zapłacą więcej niż w 2024 roku”.

Ludzie nie potrafią docenić dobrobytu, który zapewnia obecny rząd. Tłumaczy się im, że wydadzą mniej, a ci – na przekór – wydają więcej. Senatora byłej Platformy ledwo już stać na makrelę. Pożalił się na platformie X: „Pamiętam, że niedawno makrela wędzona kosztowała jeszcze ok. 26 zł/kg, gdy kupowałem potem za ok. 33 zł/kg, to się nie dziwiłem, wszak wszystko drożeje, ale kiedy kilka dni temu kupiłem za 45 zł/kg, to się zastanowiłem, no ale dzisiaj w sklepie były już za ponad 50 zł”.

W PRL wzrost cen żywności rekompensowano obniżeniem cen lokomotyw. Wnioskując po obsadzeniu funkcji marszałka Sejmu, nie odeszliśmy od komuny tak daleko.

Czego sobie życzyć pod choinkę? Żebyśmy mieli tyle samo złota, ile mamy w tym roku. Tego złota, które zgromadził prezes Narodowego Banku Polskiego. Żeby za rok ta władza nam nie tłumaczyła, że tego złota tak szybko przybyło, że już go nie ma.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO: TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00) PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

FOT.: ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, SHUTTERSTOCK/LENA SI, BAESCANIEL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Autopromocja

eprasa.pl af616a2cad

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia
Redakcja wPolsce24 składa Państwu
życzenia ciepła, harmonii i rodzinnej radości.

Dziękujemy, że są Państwo z nami przez cały rok
- to dla nas zaszczyt i motywacja
do tworzenia telewizji zaangażowanej i bliskiej widzom.

Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku
życzą Redakcja oraz Dziennikarze wPolsce24

Zapraszamy na świąteczne
i sylwestrowe wydania wPolsce24

W programie:
- Koncert kolęd
- Specjalne wydania Państwa ulubionych programów
- Wyjątkowi goście

Bohaterowie ewangelii dzieciństwa

Każdego roku pojawiają się jako bohaterowie jasełek lub figury w bożonarodzeniowych szopkach. Nie byli jednak postaciami mitycznymi, lecz realnymi ludźmi z krwi i kości. Co wiemy o nich naprawdę?

W okresie Bożego Narodzenia uwaga wiernych na całym świecie koncentruje się na dwóch osobach będących głównymi bohaterami wydarzeń, które dały początek najbardziej radosnemu świętu chrześcijaństwa. Mowa o Maryi oraz jej synu Jezusie, którego urodziła w Betlejem. W Ewangeliach św. Mateusza i św. Łukasza, którzy jako jedyni opisali epizody z dzieciństwa Chrystusa, pojawiają się także inne postacie. Spróbujmy przyjrzeć im się bliżej.

ŚW. JÓZEF – MĄŻ SPRAWIEDLIWY

Z całej Świętej Rodziny o nim wiadomo najmniej. Ewangelie wspominają, że był z zawodu cieślą. Greckie słowo „tekton”,

eprasa.pl af616a2cad

używane na określenie tej profesji, oznacza jednak rzemieślnika zajmującego się nie tylko obróbką drewna, lecz także kamienia. Tacy ludzie wykonywali wiele rozmaitych czynności, np. budowali domy, sporządzali drzwi, naprawiali przedmioty domowego użytku. Byli mistrzami w swoim fachu, niekiedy nawet przedsiębiorcami budowlanymi, kierującymi robotami większych zespołów. Jest wielce prawdopodobne, że Józef pracował jako budowniczy w Seforis – stolicy Galilei, oddalonej 4 km od Nazaretu.

GRZEGORZ GÓRNY

Św. Mateusz, który ze wszystkich ewangelistów pisał o św. Józefie najwięcej, nazywa go sprawiedliwym, a jest to tytuł zarezerwowany w Biblii dla mężów szczególnie bogobojnych, nie tylko zgłębiających Prawo, lecz także żyjących nim. Nic dziwnego, że nauczył małego Jezusa pisać, czytać i studiować Torę. Chodził też razem z nim modlić się do synagogi. Zgodnie z panującym obyczajem nauczył go również swojego zawodu.

Św. Józef nauczył małego Jezusa pisać, czytać i studiować Torę

Józef najprawdopodobniej zmarł dość wcześnie, ponieważ ostatnie związane z nim zdarzenie, o którym wspomina Ewangelia, to pielgrzymka do Jerozolimy, gdy Jezus miał 12 lat. To mogłoby potwierdzać tezę, że w momencie ślubu z Maryją był od niej dużo starszy. W apokryficznej Protoewangelii Jakuba z II w. znajdujemy zapis, że Józef, zanim poślubił Maryję, był wcześniej żonaty, owdowiał i miał dzieci z poprzedniego małżeństwa. W tym świetle bardziej zrozumiały staje się fragment Ewangelii św. Mateusza, w którym czytamy, że gdy Jezus nauczał w synagodze w Nazarecie, tamtejsi mieszkańcy zdumieni pytali samych siebie: „Czyż nie jest On synem cieśli? Czy Jego Matce nie jest na imię Miriam, a Jego braciom Jakub, Józef, Szymon i Juda? Także Jego siostry czy nie żyją wszystkie u nas?”.

Na kartach Nowego Testamentu św. Józef nie mówi ani słowa. Autor Protoewangelii Jakuba włożył jednak w jego usta zdania, które miał wypowiedzieć w chwili, gdy Maryja urodziła syna. To niezwykły zapis uchwycenia „momentu wieczności”, gdy nagle cała przyroda zamiera w bezruchu: „Ja, Józef, szedłem i nie szedłem. I podniosłem oczy na firmament, i zobaczyłem, że stanął, i [spojrzałem] w powietrze, i ujrzałem, że jest pełne zdumienia, i ptactwo niebios zakrzepło w locie. I skierowałem oczy na ziemię, i ujrzałem misę leżącą i robotników spoczywających przy posiłku, i ręce ich były w misie. I ci, którzy gryźli [pokarm], nie gryźli go, i ci, którzy go nabierali, nie podnosili [rąk], i ci, którzy nieśli do ust, nie donieśli, ale wszyscy mieli oblicza wzniesione i patrzyli w górę. I ujrzałem, jak pędzono owce, i stanęły owce, i podniósł pasterz rękę, aby je uderzyć, i zamarła ręka podniesiona do góry. I zwróciłem oczy na prąd rzeki, i ujrzałem kozły, które przytknęły pyski do wody i nie piły. I wszystko pobudzone nagle podjęło znowu swój bieg”.

PASTERZE – NIEWIARYGODNI ŚWIADKOWIE

Jezus urodził się w grocie, która służyła jako stajnia dla pasących się owiec. Jedynymi postronnymi obserwatorami tego wydarzenia byli – według św. Łukasza – pasterze pilnujący nieopodal swych stad. Nie wiemy, czy znajdowały się tam jeszcze inne osoby. W Protoewangelii Jakuba możemy przeczytać, że Józef wezwał z Betlejem dwie położne, jednak przybyły one za późno, już po porodzie.

Hiszpański teolog ks. Juan Bastero de Eleizalde tak pisze o głównych świadkach narodzin Jezusa: „Pasterze należeli do niskiej warstwy społecznej i byli lekceważeni przez uczonych w Piśmie i faryzeuszy. Uważano, że tylko w niewielkim stopniu praktykują Prawo, ponieważ nie stosowali tradycji oczyszczenia, jako że mieszkając na obszarze stepowym, ubogim w wodę, byli zawsze brudni, brzydko pachnieli i nie znali praw dotyczących obmywania rąk i czystości naczyń. Poza tym uchodzili za złodziei i doradzano, żeby nie kupować u nich mleka ani wełny. Dlatego pasterze byli wykluczeni z sądów i ich świadectwo nie było w sądach przyjmowane. W związku z tym reprezentują oni osoby wykluczone z Izraela, które będą umiłowanymi przez Pana i pierwszymi zaproszonymi do poznania tajemnicy nowo narodzonego Mesjasza”.

Według opisu pozostawionego przez św. Łukasza pasterze byli pod wielkim wrażeniem tego, co usłyszeli i zobaczyli w Betlejem. Nie wiemy jednak o tym, że ich świadectwo dotarło do kogokolwiek. Z powodu swego statusu społecznego byli uważani za ludzi niewiarygodnych, trudno więc przypuszczać, by ich pełne cudownych motywów opowieści o Mesjaszu narodzonym w nędznej jaskini mogły zostać przyjęte na serio. Najprawdopodobniej ich relacje zostały zatem uznane za wytwór fantazji.

SYMEON I ANNA – ŻYDOWSCY PROROCY

40 dni po narodzinach syna Maryja i Józef udali się z małym Jezusem do Jerozolimy, by wziąć udział w dwóch ceremoniach: oczyszczeniu matki po porodzie i ofiarowaniu dziecka w świątyni. Świadkami drugiego rytuału były dwie osoby: Symeon i Anna. Poza Ewangelią św. Łukasza nie mamy żadnych źródeł historycznych potwierdzających ich istnienie, ale też żadnych powodów, by uważać te postacie za fikcyjne. Brak wzmianek o nich w innych pismach nie jest niczym zaskakującym, ponieważ byli osobami prywatnymi, niepełniącymi żadnych oficjalnych urzędów i niebędącymi elitą kapłańską. Takich ludzi starożytni autorzy zazwyczaj nie rejestrowali.

Opisując Symeona i Annę, św. Łukasz nie czyni z nich postaci symbolicznych lub alegorycznych, lecz osadza ich w realiach ówczesnego judaizmu. Mają oni konkretne cechy identyfikacyjne i działają w ściśle określonym kontekście historycznym, wpleceni w rytuał żydowski.

Fot. Shutterstock, Museum of Fine Arts

eprasa.pl af616a2cad

Anna opisana jest jako prorok, często przebywająca w świątyni i nieustająca w modlitwach i postach. Starzec Symeon przedstawiony jest jako „człowiek prawy i pobożny", oczekujący „pociechy Izraela" i działający pod wpływem Ducha Świętego

Starzec Symeon jest przedstawiony jako „człowiek prawy i pobożny", oczekujący „pociechy Izraela" i działający pod wpływem Ducha Świętego. On też rozpoznaje w dziecku przyniesionym do świątyni jerozolimskiej Mesjasza zapowiadanego przez proroków. Zdaniem niektórych biblistów Symeon mógł być członkiem religijnego stronnictwa esseńczyków, którzy z największym wytęsknieniem wyglądali nadejścia Zbawiciela.

Z kolei Anna to córka Fanuela z pokolenia Asera, będąca już wdową w podeszłym wieku. Jest opisana jako prorokini, często przebywająca w świątyni i nieustająca w modlitwach i postach. Ona również sławi nowonarodzone Dziecię jako przyszłego wyzwoliciela Jerozolimy.

Podczas ofiarowania Symeon wypowiada do Maryi niezwykłe słowa: „Oto Ten przeznaczony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, i na znak, któremu sprzeciwiać się będą. A Twoją duszę miecz przeniknie, aby na jaw wyszły zamysły serc wielu". Znając późniejsze wydarzenia, wiemy, że wspomniane proroctwo dotyczyło boleści, które Maryja będzie przeżywać pod krzyżem, widząc swego ukrzyżowanego syna.

Później ten fragment Ewangelii posłuży wielu artystom do przedstawiania wizerunku Matki Bożej Bolesnej z siedmioma sztyletami lub szpadami wbitymi w serce. Do tego fragmentu będzie się również odwoływać cała rzesza świętych, którzy z tego powodu używali wobec Maryi tytułu współodkupicielki – od św. Bernarda z Clairvaux przez św. Johna Henry'ego Newmana aż do św. Jana Pawła II.

MĘDRCY ZE WSCHODU – TAJEMNICZY PRZYBYSZE

Na wielu obrazach przedstawiających narodziny Jezusa w stajence lub grocie możemy zobaczyć także trzech króli. W rzeczywistości przybyli oni do Betlejem znacznie później. Św. Mateusz pisze, że zastali malca w domu, a nie w jaskini lub stajni. Na określenie chłopca ewangelista używa greckiego słowa „paidon", które oznacza już całkiem spore dziecko, a nie noworodka. To tłumaczy, dlaczego Herod, chcąc zgładzić Jezusa, kazał wymordować nie niemowlęta, lecz „wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym się dowiedział od Mędrców".

Kim byli tajemniczy przybysze, którzy zjawili się w Betlejem? Św. Mateusz nie nazywa ich królami, lecz „mędrcami ze wschodu": „magoi apo ton anatolon". Greckie słowo „magos" miało kilka znaczeń. Tak określano znawców nauk tajemnych, czarowników, astrologów, tłumaczy snów, oszustów i uwodzicieli, a także mędrców i członków perskiej kasty kapłańskiej. Pochodzili oni ze Wschodu: „apo ton anatolon". Dla ówczesnych Izraelitów wschód był miejscem, gdzie wschodziło słońce, a więc oznaczał takie krainy jak Mezopotomia, Arabia czy Persja.

Zdaniem większości biblistów niespodziewani goście byli najprawdopodobniej kapłanami wtajemniczonymi w arkana astrologii. W świecie antycznym rozpowszechnione były kulty astralne, których wyznawcy wierzyli, że ciała niebieskie są manifestacją mocy nadprzyrodzonych i w związku z tym mają wpływ na rozwój sytuacji na ziemi. Dlatego uważnie obserwowali mapę nieba, by na podstawie ruchów gwiazd przewidzieć lub zinterpretować mające miejsce wydarzenia.

Przybysze pochodzili zapewne z Persji, słynącej z renomowanych szkół astronomicznych, w których uczono sztuki odczytywania znaków na niebie. Zdaniem współczesnych uczonych zjawiskiem, które dostrzegli mędrcy, była zapewne koniunkcja Jowisza i Saturna w konstelacji Ryb. Sprawia ona wrażenie jednej dużej gwiazdy, która nagle rozbłyska, a następnie znika. Koniunkcja tych planet we wspomnianym gwiazdozbiorze jest zjawiskiem niezwykle rzadkim – wystę-

Na wielu obrazach przedstawiających narodziny Jezusa w stajence lub grocie możemy zobaczyć także trzech króli. W rzeczywistości przybyli oni do Betlejem znacznie później

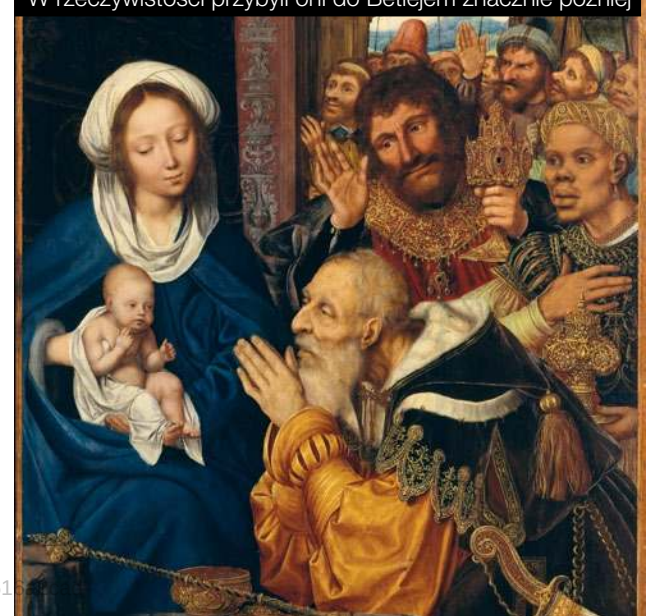

eprasa.pl af61

puje raz na 794 lata. W 7 r. przed Chrystusem (na który datowane są narodziny Jezusa) wspomniany fenomen powtórzył się aż trzy razy (29 maja, 1 października i 5 grudnia).

Za takim wyjaśnieniem przemawia również interpretacja, jaką przybysze ze Wschodu nadali zaobserwowanemu przez siebie zjawisku. Jowisz był bowiem symbolem królowania i władzy, Saturna identyfikowano z Izraelem, a konstelacja Ryb uchodziła za znak końca czasów i początku nowej ery. Nic zatem dziwnego, że aż trzykrotnie pojawienie się tego zjawiska na niebie mogło zostać odczytane przez astrologów jako wyraźny komunikat z innego świata: zwiastun narodzin żydowskiego króla, który zapoczątkuje nowy okres w dziejach.

Za takim wytłumaczeniem przemawia również to, że mędrcy udali się najpierw do Jerozolimy. Logicznie rzecz biorąc, właśnie tam powinien się narodzić żydowski król. Ich wizyta wywołała na dworze Heroda popłoch i zaskoczenie, ponieważ w religii judaistycznej istniał wyraźny zakaz parania się astrologią, nikt zatem nie obserwował gwiazd, aby z ich ruchów wypatrzyć znaki nadejścia Mesjasza. Dopiero w stolicy Judei podróżnicy dowiedzieli się od kapłanów i uczonych w Piśmie, że dziecię – zgodnie z proroctwem z Księgi Micheasza – powinno przyjść na świat w Betlejem.

Nie wiadomo, ilu dokładnie wędrowców przybyło do Ziemi Świętej. Nie znamy także ich imion. Od Orygenesa, żyjącego na przełomie II i III stulecia, bierze się tradycja, że było ich trzech, ponieważ przywieźli ze sobą trzy dary: złoto, kadzidło i mirrę. Dopiero w VI w. rozpowszechniła się wersja, że nosili konkretne imiona: Kacper, Melchior i Baltazar. Biblia nic o tym jednak nie wspomina.

W Betlejem mędrcy oddali pokłon Jezusowi. Potem wrócili do swego kraju, ale inną drogą, niż przybyli, nie informując Heroda o odnalezieniu królewskiego dziecka. Ich dalsze losy pozostają nieznane.

HEROD – PSYCHOPATA NA TRONIE

Jedną z najbardziej złowrogich postaci w Nowym Testamencie jest król Herod Wielki. Żydowski historyk Józef Flawiusz pozostawił o nim jak najgorsze świadectwo: „Nie był to król, ale najsroższy tyran, jaki kiedykolwiek doszedł do władzy. Pomordował on wielu ludzi, a los tych, których zostawił przy życiu, był tak smutny, że pomordowanych można było uważać za szczęśliwych. Katował nie tylko pojedynczych poddanych, ale dręczył całą społeczność. Aby upiększać miasta zagraniczne, ograbiał swoje własne i obcym narodom ofiarowywał je, okupione krwią żydowską. Wskutek tego w miejsce poprzedniego dobrobytu i starych, czcigodnych zwyczajów nastąpiło zubożenie i demoralizacja narodu. W ogóle w ciągu tych niewielu lat Żydzi doznali od Heroda większego ucisku niż ich przodkowie w długim okresie od wyjścia z Babilonu i powrotu za Kserksesa".

Herod, choć został władcą żydowskim, nie był Żydem. Urodził się w 73 r. przed Chrystusem w zamożnej rodzinie w Judei. Jego ojciec Antypater był Idumejczykiem, a matka Kypros – Arabką z Nabatei. On sam nie miał wynikających z zasady dziedziczności praw do tytułu królewskiego. Z tego powodu był uznawany przez większość Izraelitów za uzurpatora, a także kolaboranta, gdyż wysługiwał się rzymskim najeźdźcom. Nic dziwnego, że czuł się na żydowskim tronie niezbyt pewnie, wszędzie tropiąc spiski, węsząc zamachy i podejrzewając o zdradę nawet najbliższych.

Okrutny król Herod nakazał zabić w okolicach Betlejem wszystkich chłopców, którzy nie ukończyli 2. roku życia

Herod nigdy nie zostałby monarchą, gdyby nie talenty dyplomatyczne jego ojca, który zyskał przychylność Juliusza Cezara. Jego syn także umiał zaskarbić sobie życzliwość rzymskich elit, dzięki czemu został namiestnikiem Galilei, a potem królem Judei, sprawując rządy przez 33 lata.

Kronikarze piszą, że był opętany żądzą władzy. W walce o tron nie cofnął się przed żadną zbrodnią. Najpierw rozkazał utopić w basenie brata swojej małżonki, potem uśmiercił wuja i teściową, później zgładził ukochaną żonę razem z zięciem, a w końcu polecił udusić swoich dwóch synów, a wraz z nimi zabić 300 żołnierzy. Już leżąc na łożu śmierci, kazał jeszcze zamordować najstarszego syna. Oktawian August mawiał, że „lepiej być świnią Heroda niż synem Heroda". Aluzja cesarza pozostawała czytelna: świnie jako zwierzęta nieczyste miały większe szanse przeżycia niż najbliżsi członkowie rodziny królewskiej.

Gdy umierał, zaczęła go dręczyć myśl, iż Żydzi po jego zgonie będą się cieszyć, zamiast lamentować. Postanowił więc, by dzień jego odejścia z tego świata stał się dniem żałoby dla całego narodu. Rozkazał zatem przedstawicielom najznamienitszych rodów izraelskich, by stawili się w jego pałacu w Jerychu. Gdy to zrobili, zostali aresztowani i zamknięci w hipodromie. Tam otoczyli ich galijscy oraz germańscy najemnicy, którzy mieli wymordować wszystkich więźniów strzałami z łuków w momencie, gdy król wyda ostatnie tchnienie. Na szczęście dzięki siostrze Heroda Salome krwawy plan został udaremniony.

Z Ewangelii św. Mateusza dowiadujemy się, że w okolicach Betlejem monarcha nakazał zabić wszystkich chłopców, którzy nie ukończyli 2. roku życia. O „rzezi niewiniątek" nie wspomina żaden ówczesny historyk, nie dowodzi to jednak, że do wydarzenia nie doszło. Zgładzonych w Betlejem dzieci mogło być 10–40, co stanowiło niewielką liczbę w porównaniu z innymi ofiarami władcy. W tym samym czasie mesjańskie przepowiednie faryzeuszy tak wstrząsnęły Herodem, iż w 7 r. przed Chrystusem kazał wymordować 6 tys. osób. W porównaniu z tą hekatombą zamordowanie garstki dzieci w Betlejem jawi się jako mało znaczący epizod w krwawej biografii tyrana, jednak dokładnie odpowiada jego portretowi psychologicznemu.

Fot. Shutterstock, Domena publiczna x2

eprasa.pl af616a2cad

Amerykańska strategia i polskie lęki

PIOTR GURSZTYN

80-latek Donald Trump odczytuje przyszłość lepiej niż młodsi od niego przywódcy europejscy. Prezydent USA mówi gorzkie słowa prawdy w nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego (NSS), a liderzy czołowych krajów UE wolą opowiadać słodkie kłamstwa. Przekaz Trumpa może zgrzytać w uszach Europejczyków przywykłych do obłej propagandy. Jednak to, co amerykański prezydent i jego ludzie przedstawili w NSS, jest diagnozą stanu świata. Przykrą dla wielu konstatacją faktów. Można się na tę diagnozę obrazić – tak reagują na nią liberałowie. Ale dla Polski to szansa i wyzwanie

Zacznijmy od zmiany percepcji. Obecność Polski w NATO i Unii Europejskiej została potraktowana przez wielu obywateli naszego kraju jako szczęśliwy dla nas koniec historii. Ostateczne uwolnienie od trapiących nas nieszczęść. Ten błogostan podtrzymywali – i nadal to robią – liczni politycy. Nie tłumaczyli uczciwie, z czym wiąże się obecność w Pakcie Północnoatlantyckim i członkostwo w UE. W przypadku Unii nadal słyszymy, że jest ona gwarantką naszego bezpieczeństwa. Jeszcze niedawno było słychać, że staniemy się odporni na jakiekolwiek zagrożenia, rezygnując ze złotówki i przyjmując euro. Bo przecież nikt nie zaatakuje członka strefy euro! Tymczasem nasi północni sąsiedzi – trzy republiki bałtyckie – wprowadzili wspólną walutę, lecz nikt przytomny nie powie, że dzięki temu nie będą ofiarą agresji putinowskiej Rosji.

Podobnie jest z NATO. Oficjalny przekaz wpoił wielu ludziom frazę, że „NATO nas obroni". W domyśle – że walczyć będą amerykańscy żołnierze, a prawie cała populacja Polski bezpiecznie przeczeka konflikt w swoich domach. Nasz kraj został rozbrojony nie tylko przez likwidacyjne działania ministra obrony Bogdana Klicha. Został rozbrojony psychicznie. Wojna jest traktowana jako zjawisko abstrakcyjne – mimo konfliktu na Ukrainie. Wszystkie siły polityczne zgodnie milczą na temat przywrócenia obowiązkowej zasadniczej służby wojskowej. A jeśli chodzi o tzw. obronę totalną, obecny rząd koncentruje się na propagowaniu plecaków ewakuacyjnych i kilkugodzinnym szkoleniu, które *de facto* jest tylko zapoznaniem z podstawami bushcraftu.

Nawet gdyby amerykańska Strategia Bezpieczeństwa Narodowego brzmiała

Fot. Mikołaj Bujak/KPRP

eprasa.pl af616a2cad

dla Polski tragicznie, to i tak lepiej z Trumpem zgubić, niż z obecną Europą znaleźć. USA to supermocarstwo. Nie mamy stuprocentowej gwarancji, że pomoże nam w razie najgorszego. Ale możemy być pewni, że wsparcie ze strony państw europejskich będzie żadne lub znikome. Pamiętamy 5 tys. niemieckich hełmów dla Ukrainy. Od tamtej pory zdolności bojowe Bundeswehry wzrosły w minimalnym stopniu. O francuskich siłach zbrojnych, silniejszych od niemieckich, sami Francuzi mówią, że to armia bonsai. Czyli jest jak japońskie zminiaturyzowane drzewko. Francuzi mają wszystko, czego potrzebuje armia – broń nuklearną, jeden lotniskowiec, lotnictwo, wojska lądowe – ale w niewielkiej liczbie.

DIAGNOZA TRUMPA

Na szczęście NSS brzmi dla Polski dobrze. Ten dokument trzeba potraktować jako zaproszenie do współpracy, ale o tym za chwilę. Najpierw o amerykańskich priorytetach, bo wielu komentatorów zapomina, że Trump jest prezydentem USA, a nie opiekunem całego świata z Polską na czele.

„America First" – ogłaszając nową strategię, Trump zaczął od tłumaczenia swym rodakom, dlaczego to robi. Nazwał dokument „mapą drogową" do zapewnienia Ameryce tego, by była bardziej bezpieczna, bogata, wolna i potężna „niż kiedykolwiek wcześniej". Punkt wyjścia stanowi ocena, że po zakończeniu zimnej wojny polityka zagraniczna USA była źle prowadzona: „Nasze elity błędnie oceniły gotowość Ameryki do wiecznego dźwigania globalnych ciężarów, których Amerykanie nie widzieli w żadnym związku z interesem narodowym. Przeceniły zdolność Ameryki do jednoczesnego finansowania ogromnego państwa opiekuńczo-regulacyjno-administracyjnego, a także ogromnego kompleksu wojskowego, dyplomatycznego, wywiadowczego i pomocy zagranicznej".

Administracja Trumpa chce odbudowy i zabezpieczenia potęgi USA pod względem militarnym, gospodarczym, energetycznym, technologicznym, a także pod względem amerykańskiej „soft power". „Wreszcie chcemy przywrócenia i ożywienia amerykańskiego zdrowia duchowego i kulturowego, bez którego długoterminowe bezpieczeństwo jest niemożliwe" – co jest kluczową deklaracją ideologiczną, wskazującą na to, z kim najłatwiej będzie utrzymywać przyjazne kontakty trumpowskiej Ameryce.

Najważniejsza dla USA jest zachodnia hemisfera, czyli obie Ameryki. Waszyngton chce, aby była „w miarę stabilna" i żeby zgodnie z doktryną Monroego nikt obcy tam się nie pchał (czyli Chiny i Rosja). Drugi priorytet to Indo-Pacyfik – strefa, w której wpływy amerykańskie konkurują z chińskimi. Europa jest na trzecim miejscu, ale poświęcone jej zdanie nie świadczy bynajmniej o tym, że stała się nieważna dla USA: „Chcemy wspierać naszych sojuszników w zachowaniu wolności i bezpieczeństwa Europy, przywracając jej jednocześnie cywilizacyjną pewność siebie i zachodnią tożsamość". Trump bardziej odpuszcza Bliski Wschód. Wprawdzie deklaruje, że nie chce, aby „obce mocarstwo" zdominowało tamtejsze zasoby węglowodorów, ale jednocześnie zapowiedział, że nie chce, aby Ameryka wpakowała się tam w „wieczne wojny".

KATALOG ZASAD

NSS określa wiele zasad. Wśród ważniejszych należy wymienić „pokój przez siłę", co można rozumieć jako powtórzenie starożytnej zasady *si vis pacem, para bellum*. „Elastyczny realizm" – czyli nienarzucanie demokracji wbrew lokalnym tradycjom politycznym. „Prymat narodów" – to dla nas szczególnie ważne, bo oznacza, że Trump rzuca wyzwanie globalistycznym elitom, a zwłaszcza eurokratycznemu establishmentowi. „Podstawową jednostką polityczną świata jest i pozostanie państwo narodowe" – czytamy w Strategii. „Równowaga sił" – to hasło, które dla nas brzmi optymistycznie, ale nieprzyjemnie dla Rosji: „Będziemy współpracować z sojusznikami i partnerami, aby utrzymać globalną i regionalną równowagę sił i zapobiec pojawieniu się dominujących przeciwników". „Sprawiedliwość" to z kolei hasło, które zaniepokoiło liberalne elity europejskie: „Nie będziemy dłużej tolerować i nie możemy sobie dłużej pozwolić na jazdę na gapę, nierównowagę handlową, drapieżne praktyki gospodarcze i inne formy ograniczania historycznej dobrej woli naszego narodu, które szkodzą naszym interesom". Dla Polski brzmi dobrze, gdyż nie dotyczy nas sformułowany tam zarzut: „W szczególności oczekujemy, że nasi sojusznicy będą przeznaczać znacznie większą część swojego produktu krajowego brutto na własną obronę, aby zacząć nadrabiać ogromną nierównowagę, która narosła przez dekady znacznie większych wydatków Stanów Zjednoczonych".

W dokumencie co rusz pojawiają się frazy, które brzmią jak herezja w uszach lewicy i liberałów: „W krajach na całym świecie masowa migracja nadwerężyła zasoby krajowe, nasiliła przemoc i przestępczość, osłabiła spójność społeczną, zdestabilizowała rynki pracy i podważyła bezpieczeństwo narodowe. Era masowych migracji musi się skończyć".

Albo taka deklaracja, w której czuć echa słynnego monachijskiego wystąpienia wiceprezydenta J.D. Vance'a: „Będziemy się sprzeciwiać wprowadzanym przez elity antydemokratycznym ograniczeniom podstawowych wolności w Europie, anglosferze i reszcie demokratycznego świata, zwłaszcza wśród naszych sojuszników". Autorzy dokumentu podkreślili znaczenie taniej energii, wymieniając jej źródła: ropa naftowa, gaz, węgiel i atom. Tu też mamy zerwanie z dotychczasowymi dogmatami: „Odrzucamy katastrofalne ideologie »zmiany klimatu« i »zerowej emisji netto«, które tak bardzo zaszkodziły Europie, zagrażają Stanom Zjednoczonym i subsydiują naszych przeciwników".

EUROPO, OPAMIĘTAJ SIĘ

Przejdźmy do naszych spraw. Faktem jest, że autorzy NSS zaczęli wyliczanie regionów naszego globu od zachodniej hemisfery, czyli obu Ameryk. Bo to bezpośrednie sąsiedztwo USA. Na drugim miejscu jest Indo-Pacyfik, a to ze względu na dynamiczny rozwój Chin, co jest faktem nie do zakwestionowania. Nie jest jednak prawdą, że Stany Zjednoczone porzucą całą resztę świata, aby zająć się Chinami. „Indo-Pacyfik jest i będzie jednym z kluczowych pól

eprasa.pl af616a2cad

ekonomicznych i geopolitycznych następnego stulecia" – czytamy i widzimy słowa „jednym z kluczowych". Czyli są też inne kluczowe. W każdym razie Chiny pozostają głównym konkurentem gospodarczym, a Amerykanie postrzegają swoje relacje gospodarcze z nimi jako nierówne i niesprawiedliwe. W związku z tym oczekują od swoich sojuszników – w tym nas – aby nie uczestniczyli w budowie chińskiej potęgi. Co ciekawe, wezwanie do zwiększenia wydatków wojennych dotyczy też sojuszników wschodnioazjatyckich – Japonii i Korei Południowej.

Europie został poświęcony rozdział o znaczącym tytule „Promowanie europejskiej wielkości". Zaczyna się od opisu europejskiego upadku – stwierdzenia, że globalny udział gospodarki naszego kontynentu spadł z 25 proc. w 1990 r. do obecnych 14 proc., a to za sprawą błędnej polityki elit europejskich. Amerykanów to niepokoi: „Jeśli obecne trendy się utrzymają, kontynent będzie nie do poznania za 20 lat lub krócej. W związku z tym nie jest oczywiste, czy niektóre kraje europejskie będą miały wystarczająco silne gospodarki i siły zbrojne, by pozostać wiarygodnymi sojusznikami. Obecnie wiele z tych państw podwaja swoje wysiłki na obecnej drodze". Autorzy strategii piszą, że chcą, aby „Europa pozostała europejska". W tym kontekście należy odczytywać postulat przywrócenia „strategicznej stabilności" w relacjach z Rosją, w tym szybkie zakończenie wojny na Ukrainie, „aby ustabilizować gospodarki europejskie, zapobiec niezamierzonej eskalacji lub ekspansji wojny, […] a także umożliwić odbudowę Ukrainy po zakończeniu działań wojennych, aby zapewnić jej przetrwanie jako sprawnego państwa".

W tym rozdziale padają deklaracje, które rozwścieczyły liberałów i lewicę. Autorzy otwarcie piszą, że administracja Trumpa pozostaje w konflikcie z „europejskimi urzędnikami". Podkreślają niewielkie poparcie ze strony wyborców dla polityków rządzących dzisiaj krajami europejskimi. Zaznaczają jednak, że porzucenie Europy byłoby dla USA samobójcze. Ekipa Trumpa wzywa Europejczyków do korekty kursu: „Ameryka zachęca swoich politycznych sojuszników w Europie do promowania tego odrodzenia ducha, a rosnący wpływ patriotycznych partii europejskich rzeczywiście napawa optymizmem". Zwraca też uwagę na to, że z powodu zmian demograficznych (za sprawą imigracji) niektórzy członkowie NATO przestaną być państwami europejskimi. Oburzyło to wielu, ale to tylko stwierdzenie trendu od dawna omawianego w kręgach wojskowych świata Zachodu. Ostrzeżenia przed wojną domową w ich kraju ogłaszali emerytowani generałowie francuscy. W wielu oddziałach francuskiej armii udział żołnierzy pochodzenia nieeuropejskiego dochodzi do połowy stanu osobowego. A w 2013 r. armia szwajcarska przeprowadziła manewry, podstawą których był scenariusz rozpadu Francji z powodu zmiany jej struktury etnicznej. Zresztą wojsko szwajcarskie już wielokrotnie ćwiczyło reakcję na wypadek rozpadu Unii i spowodowanego tym napływu milionów uchodźców.

> Nawet gdyby Strategia Bezpieczeństwa Narodowego USA brzmiała dla Polski tragicznie, to i tak lepiej z Trumpem zgubić, niż z obecną Europą znaleźć. USA to supermocarstwo. Nie mamy stuprocentowej gwarancji, że pomoże nam w razie najgorszego. Ale możemy być pewni, że wsparcie ze strony państw UE będzie żadne lub znikome

W dokumencie nie pada nazwa „Polska", tak jak nie padają nazwy większości innych państw. Dotyczy nas za to wiele sformułowań ogólnych, w tym te przytaczane wyżej. Szczególnie ważne jest dla nas następujące zdanie: „Budowanie zdrowych państw Europy Środkowej, Wschodniej i Południowej poprzez powiązania handlowe, sprzedaż broni, współpracę polityczną oraz wymianę kulturalną i edukacyjną". Dla nas brzmi to dobrze. Oczywiście Ameryka jest daleko, nie tak samo jak my patrzy na Rosję. Zawsze istnieje ryzyko jej zbyt naiwnego podejścia do tego kraju. To samo grozi nam jednak ze strony Niemiec i Francji. Na szczęście żadne zdanie z nowej Strategii nie wskazuje na to, że USA chcą zostawić nas i naszych sąsiadów na pastwę Kremla.

NSS to bardzo ważny dokument. Przestawiony został wektor ideowy. Strategie poprzednich prezydentów także zawierały mocne akcenty aksjologiczne. Strategia z czasów prezydenta Joe Bidena zakładała współpracę z państwami „podobnie myślącymi". Pamiętamy, jakie organizacje np. w Polsce były wówczas finansowane. Wielu analityków wskazuje, że NSS to nie chwilowa ekspresja poglądów Donalda Trumpa, lecz wskazanie drogi, którą pójdzie cała partia republikańska, także następcy obecnego prezydenta USA.

Na zapisy NSS trzeba patrzeć w szerszym kontekście. Innych deklaracji, a przede wszystkim czynów. „Wzorowi sojusznicy, którzy podejmują działania, tacy jak Izrael, Korea Południowa, Polska, coraz częściej Niemcy, państwa bałtyckie i inne, otrzymają nasze szczególne wsparcie" – mówił niedawno sekretarz wojny Pete Hegseth. Takich wypowiedzi ze strony zarówno samego prezydenta Trumpa, jak i jego współpracowników słyszymy teraz bardzo dużo. Ważne są też czyny. Nasza współpraca wojskowa z USA jest bardzo intensywna. Tu istotny szczegół: w tym roku nasze lotnictwo otrzyma pierwsze samoloty F-35. To zdarzenie można potraktować jako papierek lakmusowy. Ameryka ostrożnie dzieli się z innymi państwami tą supernowoczesną maszyną, zwaną „latającym komputerem". Jeśli ktoś posiada F-35, to znaczy, że należy do klubu bliskich przyjaciół Wuja Sama.

eprasa.pl af616a2cad

Zaangażowanie USA w Polsce będzie rosło

Jesteście wzorowym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Prezydent Trump chce sojuszników silnych, zdolnych do obrony samych siebie i swoich interesów

Fragment rozmowy z Thomasem Rose'em, ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Polsce, którą dla telewizji wPolsce24 przeprowadzili Jacek Karnowski i Stanisław Jegliński

Fot. wPolsce24

Jak doszło do tego, że zaczął pan myśleć o tym, by zostać ambasadorem w Polsce?

Thomas Rose: Pracowałem w pierwszej administracji prezydenta Donalda Trumpa dla wiceprezydenta Mike'a Pence'a i zaangażowałem się w sprawy polskie w trakcie wykonywania moich codziennych obowiązków. Ale moje zainteresowanie Polską sięga moich wcześniejszych lat, także jako dziennikarza. Kiedy patrzymy na współczesność, to nie wiem, jak to możliwe, by ktoś nie był pod wrażeniem Polski, Polaków, waszej ciężkiej pracy, pracowitości, produktywności, przywiązania do suwerenności narodu, niepodległości, wiary, rodziny, wolności. Dlatego kocham Polskę. Dlatego prezydent Trump kocha Polskę. Mamy więcej niż 10 mln Amerykanów, których przodkowie, rodziny pochodzą z Polski.

Jak postrzega pan swoją rolę jako ambasadora w Polsce? Pytamy, ponieważ mieliśmy różnych ambasadorów – bardziej technicznych, bardziej ekscentrycznych. Jakie będzie najważniejsze zadanie, które widzi pan przed sobą, w jakich obszarach chce pan być bardziej aktywny?

Pierwszym i podstawowym celem każdego ambasadora pod rządami prezydenta Trumpa jest stawianie na pierwszym miejscu interesów i bezpieczeństwa narodu amerykańskiego. W Polsce hasło „America first" oznacza stawianie Polski na pierwszym miejscu. Oznacza pracę nad wzmocnieniem waszych zdolności obronnych, które już są niezwykłe. A co ważne – być może nawet ważniejsze – to wzmocnienie naszych relacji handlowych, wzmocnienie amerykańskich powiązań biznesowych z Polską, zapewnienie polskim producentom i wytwórcom lepszych możliwości sprzedaży swoich produktów w USA. Niezwykły wzrost gospodarczy Polski jest absolutnie kluczowy do utrzymania waszej pozycji lidera, najważniejszego i najbardziej wpływowego kraju w Europie. Wierzę w to. Widzę, że wielu Polakom trudno uwierzyć, trudno im słuchać, kiedy wy i wasz kraj jesteście opisywani jako najważniejsze i najbardziej wpływowe państwo w Europie, ale nim jesteście. I jeśli istnieje jedna rada, której mógłbym udzielić, to taka, żeby Polacy wszystkich opcji politycznych zaczęli zachowywać się tak, jakbyście byli najważniejszym i najpotężniejszym krajem w Europie.

Poczucie pewności siebie jest ważne. Myślimy, że pańska obecność w Warszawie pomoże nam wzmocnić to poczucie, ponieważ nigdy nie słyszeliśmy, by ambasador mówił w ten sposób o polskiej historii, z taką pewnością siebie i bez pewnego – może nie cynizmu, ale, powiedzmy, biurokratycznego sposobu ujmowania spraw. A pan wydaje się naprawdę wierzyć w dobre relacje między Polską a Ameryką.

eprasa.pl af616a2cad

Podobnie jak prezydent Trump. Ja tylko wykonuję jego rozkazy, jego dyrektywy i jego wizję. A prezydent Trump chce, aby wszyscy nasi sojusznicy i partnerzy byli choć ułamkiem tego, czym jest Polska pod względem zaangażowania w obronę samych siebie przy naszej asyście i pomocy. Jesteście wzorowym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Prezydent chce sojuszników silnych, sojuszników zdolnych do obrony samych siebie i swoich interesów, dumnego, suwerennego narodu i ludzi. To właśnie lubi prezydent Trump i dlatego jest tak mocno przywiązany – jak sądzę – i żywi tak dużą sympatię do Polski. I to jest też powód, dla którego ja ją wyrażam i myślę, że miliony Amerykanów również. Ponieważ to, co widzimy w was, pod wieloma względami jest tym, co chcielibyśmy widzieć w nas samych: silny, dumny, wolny, suwerenny naród i kraj zaangażowany w obronę samych siebie, we wzrost swojego dobrobytu. Wielu mówi o „polskim cudzie", ale nie sądzę, żeby to był cud. To nie jest cud. Nikt w niebie nie zarządził, że Polska ma się stać najszybciej rozwijającym się krajem na świecie poza Chinami przez ostatnie 35 lat. To zostało zrobione dzięki ciężkiej pracy Polaków, innowacyjności, zaangażowaniu, produktywności, niezwykle dobrze wykształconej sile roboczej. To nie jest przypadek, że Polska rozwija się skokowo, znacznie szybciej niż jakikolwiek kraj na kontynencie. Europa jest w okresie stagnacji gospodarczej, niepewności kulturowej. Desperacko potrzebuje przywództwa. Polska jest tu po to, by je zapewnić i gorąco zachęcam was, byście to zrobili.

To bardzo ważne słowa, ale przybywa pan do Polski w historycznym momencie. Tuż za naszą granicą trwa wojna, a prezydent Trump jest pierwszym politykiem na świecie, który poważnie próbuje doprowadzić do zawarcia pokoju. I mamy rozmowy pokojowe. Ale jednocześnie jest nowa amerykańska Strategia Bezpieczeństwa Narodowego. Jak wpłynie na sytuację Polski? Niektórzy mówią, że Stany Zjednoczone chcą się wycofać z pewnych części świata, w tym z Europy. Czy to prawda?

Nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego wzmocni Polskę, wzmocni Europę. Wiele komentarzy, które czytałem, jest albo źle ukierunkowanych, albo całkowicie błędnych. Żyjemy w nowej erze. Główne wyzwanie geostrategiczne dla Stanów Zjednoczonych stanowi region Indo-Pacyfiku. Nie jest to już Europa. Mamy partnerów w NATO i Unii Europejskiej z połączoną gospodarką na poziomie parytetu siły nabywczej prawie równym naszemu, czyli 30 bln dol. To 10–15 razy więcej niż Rosja. Europa musi podążać za przykładem Polski, która podejmuje zobowiązanie wobec własnej obrony, jakiego żaden inny kraj w NATO – wliczając w to Stany Zjednoczone – nie podjął i nie podejmuje. Sojusz nie przetrwa, jeśli od USA będzie się wymagać robienia wszystkiego i wszędzie. Nie mamy zasobów. Nie mamy ludzi. Nie mamy zdolności, by nadal być „policjantem świata". Wojna skończyła się 80 lat temu. Polska jest wolnym krajem przez połowę czasu, przez który wolni są wasi zachodnioeuropejscy sojusznicy, nasi sojusznicy. Mimo to Polska pokazała, że podział obciążeń [burden sharing – przyp. red.] nie jest uciążliwą karą. Jest obowiązkiem.

> Europa desperacko potrzebuje przywództwa. Polska jest tu po to, by je zapewnić i gorąco zachęcam was, byście to zrobili

Nasza Strategia Bezpieczeństwa Narodowego jest kluczowa dla przyszłości NATO. Nie możemy być wszędzie przez cały czas. Nie możemy zapewniać bezpieczeństwa na poziomie, na jakim robiliśmy to w przeszłości, szczególnie z partnerami, którzy są tak bogaci i zdolni jak my. To niespra-wiedliwe. Naród amerykański tego nie chce. Nie stać nas na to. I mamy – jak to się mówi – ważniejsze sprawy na głowie [bigger fish to fry – przyp. red.]. Europa jest zdolna do obrony samej siebie. Polska to udowadnia. Polska wskazuje drogę.

Czy oznacza to, że Polska stanie się swego rodzaju kluczowym sojusznikiem USA, aby utrzymać pewien porządek w Europie – jeśli mogę to ująć tak bezpośrednio? I czy obecny poziom amerykańskiej obecności wojskowej w Polsce będzie kontynuowany?

Podobnie jak ja słyszeliście prezydenta, który wielokrotnie mówił publicznie, że nasze zobowiązanie wobec Polski – tak jak wobec wszystkich naszych partnerów z NATO – jest żelazne i solidne jak skała. Że w ramach przeglądu rozmieszczenia sił [force posture review – przyp. red.] prowadzonego obecnie przez Departament Obrony – prezydent wyraził się bardzo jasno – jeśli cokolwiek się zmieni, to zaangażowanie Ameryki w Polsce wzrośnie, a nie zmaleje. Ponieważ Polska jest dla prezydenta Trumpa i dla narodu amerykańskiego idealnym sojusznikiem, dokładnie tym, czego chcemy w partnerstwie, które, pomagając Polsce, pomaga Ameryce.

Trwają negocjacje w sprawie przyszłości Ukrainy, w sprawie procesu pokojowego. W Polsce istnieją obawy, że być może niektórzy przedstawiciele administracji prezydenta Trumpa są zbyt optymistyczni co do postawy Rosji, zdolności tego kraju do dotrzymywania obietnic i rzeczywistego zaangażowania się w trwały proces pokojowy. Jak pan to skomentuje?

Nie będę tego komentował, ponieważ jest to przedmiot negocjacji na bardzo wysokim szczeblu między trzema stronami: Ukrainą, Stanami Zjednoczonymi – prezydentem i jego zespołem negocjacyjnym – a Rosjanami. Oni są bezpośrednio zaangażowani w negocjacje. Ja nie. Ale mamy coś takiego jak doświadczenie historyczne i wiemy, że Rosja bardzo często obiecuje pokój

eprasa.pl af616a2cad

tylko po to, by odtworzyć zdolności i ponownie uderzyć za kilka lat. Dlatego Polska musi być przygotowana. Dlatego Stany Zjednoczone tak ściśle współpracują z waszym krajem, aby zwiększyć amerykańską sprzedaż wojskową do Polski, by wstępnie rozmieścić zasoby, których potrzebujecie, by skutecznie sprostać każdej ewentualności.

Ale czy pan osobiście uważa Rosję jako realne zagrożenie dla naszej części Europy?

Myślę, że to dość oczywiste, nie tylko przez pryzmat historii, lecz także niedawne działania w ramach wojny hybrydowej, w szarej strefie, które się nasilają, co moim zdaniem tylko wzmacnia potrzebę zrobienia czegoś – nawet zawarcia rozejmu – jako pierwszego kroku w kierunku zawieszenia broni. W Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, o której wspominaliście, jest bardzo jasno powiedziane, że rezultatem ukraińskich negocjacji musi być zdolna do życia, niepodległa i suwerenna Ukraina.

Zbliżamy się do 250. rocznicy powstania Ameryki, której Polska dała kilku narodowych bohaterów. Widzieliśmy popiersie gen. Kazimierza Pułaskiego w korytarzu rezydencji. Czy to znaczy, że są jakieś wspólne obchody tego święta i czy może idea Fortu Trump majaczy na horyzoncie z okazji tej rocznicy?

Nie chcę otwierać naszych prezentów świątecznych zbyt wcześnie, ale są zapakowane i gotowe, będziecie musieli po prostu poczekać. Zaplanowaliśmy wiele ekscytujących rzeczy i zachowamy je jako niespodziankę, ale to niezwykła rocznica dla Stanów Zjednoczonych i przypomnienie niezwykłego partnerstwa między Polską a USA, która dosłownie sięga naszych dni założycielskich.

Wspomniał pan o bardzo dobrych relacjach między prezydentami Donaldem Trumpem i Karolem Nawrockim. Czy uważa pan, że jest między nimi coś więcej niż polityczne zrozumienie? Czy między tymi dwoma mężczyznami – politykami jest prawdziwa sympatia?

Fot. wPolsce24

Oczywiście, jest bardzo dobra, bliska relacja. Myślę, że od razu przypadli sobie do gustu. Lubią się. Mają podobne charaktery. Ale nasza relacja wykracza daleko poza osobiste porozumienie między prezydentami – obejmuje całe kraje. Polska jest jednym z niewielu państw na świecie, w którym, gdyby poproszono nas o znalezienie czegoś, na co można by narzekać w naszych relacjach, mielibyśmy z tym trudność. Mamy bardzo dobre relacje z rządem. Mamy bardzo dobre relacje z prezydentem. Współpracujemy z gabinetem na co dzień. Spotykam się z każdym, kto chce się ze mną zobaczyć – z rządu, z Kancelarii Prezydenta RP. Ale jeśli chodzi o polską politykę, nie zbliżam się do niej. Macie tego pod dostatkiem, możecie się o to kłócić sami. My mamy aż nadto na głowie, by pomóc Polsce stać się silniejszą, zasobniejszą i bardziej wolną.

Czy jest możliwość, że prezydent Trump przyjedzie do Polski, np. wiosną przyszłego roku?

Mam taką nadzieję.

Słyszeliśmy plotki na ten temat. Kwiecień?

Naciskamy na to. Oczywiście nie mogę wypowiadać się na temat harmonogramu prezydenta. Jest dość zajętym człowiekiem.

Zauważyliśmy.

Chcielibyśmy, żeby wrócił do Polski. Jak wiecie, był tutaj w 2017 r. I moim zdaniem – to moja osobista opinia – największe przemówienie podczas jego pierwszej kadencji miało miejsce tutaj, w Warszawie, właśnie w 2017 r.

Przed Pomnikiem Powstania Warszawskiego.

Zgadza się. Bardzo potężne, tak samo pasujące dzisiaj, jak i wtedy, o tym, co znaczy wolność, co Polacy poświęcili, by ją osiągnąć, co z nią zrobili, jak jest cenna, jak ważne jest, by ją chronić i bronić w każdym pokoleniu i o każdej godzinie.

Może to by było świetne miejsce, by przedstawić nową strategię dla Europy w jego kolejnym najlepszym przemówieniu w Warszawie?

Zgadza się. Polska powinna przejąć inicjatywę w przekierowaniu Europy na ponowne odnalezienie jej celu, jej wizji...

Niektórzy mówią, że mamy wielką szansę, ale jednocześnie w Polsce trwa coś, co nazywamy „zimną wojną domową". Poziom konfliktu jest zbyt wysoki. Jaka jest pańska opinia na ten temat?

Nie mam opinii [śmiech]. Nie wchodzę w waszą politykę. Powiem to, co mówiłem przy wielu okazjach: kochamy wszystkich Polaków. Co prawda są u was obywatelska niezgoda i spory, ale w podstawowych, fundamentalnych, egzystencjalnych kwestiach, przed którymi stoi Polska, nikt się nie kłóci. Rząd ma to samo zdanie, prezydent ma to samo zdanie na temat tego, czego potrzebujecie, by utrzymać dynamiczną i rozwijającą się gospodarkę, co musicie robić wobec waszych partnerów z UE i NATO, co musicie robić w kwestiach obronności, energetyki. Nie widzę żadnych fundamentalnych różnic między dwoma blokami politycznymi, które by były uzasadnieniem dla niezgody politycznej, z którą boryka się kraj. Ale jestem po prostu outsiderem. To nie moja sprawa. To nie sprawa Ameryki. Mamy pełne zaufanie i wiarę w Polaków, w polską demokrację. Mamy wystarczająco dużo niezgody politycznej u siebie. Nie będziemy się mieszać w waszą. Jesteście wolnym, silnym, dumnym narodem. Sami poradzicie sobie z własnymi problemami.

eprasa.pl af616a2cad

Wróg numer jeden

Premier Tusk bardziej nienawidzi i zwalcza prezydenta Nawrockiego niż Putina

STANISŁAW JANECKI

Nie ma nikogo bardziej znienawidzonego przez Donalda Tuska niż Karol Nawrocki. Wynika to choćby z tego, że prezydent ma pewność rządzenia do 6 sierpnia 2030 r., a premier nie ma żadnej gwarancji, że dotrwa u władzy nawet do jesieni 2027 r., kiedy powinny się odbyć wybory parlamentarne.

Jeszcze większą nienawiść do głowy państwa wywołuje fakt, że Tusk realnie liczy się z możliwością prezydentury Karola Nawrockiego w drugiej kadencji, czyli do 2035 r. Tusk będzie miał wtedy 73–78 lat i politycznie może być dawno skończony, a Karol Nawrocki w 2030 r. będzie miał „zaledwie" 47 lat (gdy Tusk pierwszy raz został premierem, miał 50 lat). Nawet dla Tuska jest jasne, że on to przeszłość, a Nawrocki – przyszłość.

Donald Tusk obsesyjnie nienawidzi Karola Nawrockiego od czasu, gdy oficjalnie stał się on kandydatem na prezydenta (24 listopada 2024 r.). Wcześniej nienawidził go za „nieprawomyślne" kierowanie Muzeum II Wojny Światowej i Instytutem Pamięci Narodowej, ale nie było w tym jeszcze „wariactwa".

Ostro zaatakował Karola Nawrockiego już 4 stycznia 2025 r. na platformie X: „Kiedy wspólnie z prezydentem Trzaskowskim i marszałkiem Hołownią otwieraliśmy polską prezydencję [w UE], K[arol] Nawrocki demonstrował z grupą działaczy pod hasłem Polexit. Pytanie jest proste i śmiertelnie poważne: czy chcecie prezydenta budującego bezpieczną i silną Europę, czy takiego, który wspólnie z Putinem i jego sojusznikami będzie ją rozwalał?". Karol Nawrocki odpowiedział tego samego dnia: „Co do Putina – nie znam, ale wnioskuję po zdjęciach, że to pański znajomy, zatem proszę mu przekazać, że jego listów gończych także się nie boję". Ta wymiana zdań pokazała, że to, co jest największym obciążeniem Tuska – czyli reset z Rosją i nie tylko polityczne „mizianie się" z Putinem, lecz także skrajna uległość – stanowi kompletne przeciwieństwo Karola Nawrockiego, jednego z największych wrogów Putina w Europie.

Tusk chce koniecznie oskarżyć i ukarać prezydenta, ale nawet on zna ograniczenia konstytucyjne. Szarżuje „na wariata" tylko z Trybunałem Stanu. Ale postawienie głowy państwa w stan oskarżenia przed TS wymaga 374 głosów w Zgromadzeniu Narodowym, a Tusk ma ich najwyżej 306. W dodatku w czasie największych ataków Karol Nawrocki jest liderem zaufania, co Tuska wścieka, a także wykoleja, bo chorobliwie nie potrafi z tym żyć.

CEL: ZNISZCZYĆ!

Tusk wytęża wszystkie siły, gdyż za dużo zainwestował w zniszczenie prezydenta. I praktycznie bardziej go nienawidzi oraz zwalcza niż Putina. Podczas kampanii prezydenckiej z upodobaniem powtarzał najbardziej obrzydliwe insynuacje na temat przeszłości Nawrockiego, mimo że bardzo się na tym „przejechał", gdy autorytetem ogłosił Jacka Murańskiego.

Nic więc dziwnego, że „jak pijany płotu" uczepił się weta prezydenta wobec ustawy dotyczącej kryptowalut, choć udowodnił, że nie ma o tym rynku zielonego pojęcia, a nawet nie zna rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2023/1114, znanego jako MiCA.

Fot. Wojciech Olkusnik/East News

eprasa.pl af616a2cad

Premier przedstawił kryptowaluty wyłącznie w negatywnym kontekście, żeby przykleiło się to do prezydenta Nawrockiego. 2 grudnia 2025 r. na posiedzeniu Rady Ministrów Tusk powiedział: „Dlaczego jesteśmy tak zaniepokojeni dziwnym związkiem pana prezydenta z kryptoaferą? [...] Sprawa nabiera wyjątkowo paskudnego charakteru, ponieważ w tle jest duża firma, procesy sądowe, śledztwa, podejrzenie zabójstwa, zniknięcie prezesa jednej z kluczowych firm na rynku kryptowalut, kampania polityczna, zaangażowanie prawicowych przywódców, prawicowych mediów w promowanie jednej z tych firm". Wyszedł na nakręconego ignoranta.

Poza nienawiścią do prezydenta rzekomą kryptoaferą Tusk chciał przykryć to, co wypominają mu i sam Karol Nawrocki, i ministrowie z jego kancelarii, czyli „deklarację berlińską" oraz przesuwanie terminów leczenia pacjentów onkologicznych. Są to sprawy tak szkodliwe dla Tuska, że musi odwracać od nich uwagę za wszelką cenę. 5 grudnia 2025 r. szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki powiedział w Sejmie: „Po co to wszystko? Nieudolny rząd Tuska próbuje przykryć swoje porażki".

„Jeżeli nasz kraj nie uzyska szybkiej i jednoznacznej deklaracji Niemiec w sprawie wypłat zadośćuczynień dla żyjących polskich ofiar II wojny światowej, to rozważę decyzję o wypełnieniu tej potrzeby przez Polskę z własnych środków" – powiedział Tusk w Berlinie po zakończeniu „konsultacji międzyrządowych". Prezydent Nawrocki zareagował: „Mam nadzieję, że pan premier Donald Tusk przeprosi Polaków za te słowa. [...] Nie znam takiego rozwiązania problemu historycznego ani politycznego, ani w zakresie przyzwoitości, ani prawdy historycznej, w którym ofiary same płacą za poniesione zło od okupanta i od najeźdźcy".

NO ALE NIE MASZ, CHŁOPIE!

Chcąc przykryć berlińską kapitulację i kompromitację w ochronie zdrowia, Tusk zaatakował prezydenta: „Powiedzieć, że weto prezydenta w sprawie kryptowalut jest dwuznaczne, to nic nie powiedzieć. W tle wielkie pieniądze, afery i śledztwa, tajemnicze zaginięcie »króla kryptowalut«, wspieranie kampanii radykalnej prawicy z udziałem prezydentów Dudy i Nawrockiego [konferencja CPAC w Jasionce koło Rzeszowa]. Źle to wygląda".

W ślad za Tuskiem prezydenta zaatakowali jego żołnierze. „Dziś Nawrocki, PiS i Konfederacja solidarnie uderzyli w bezpieczeństwo Polski i Polaków. Zwyciężył kryptowalutowy lobbing oraz szemrane interesy. Napisać wstyd i hańba to jak nic nie napisać" – wzmógł się minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński. „Weto w obcym interesie" – ocenił głosowanie rzecznik rządu Adam Szłapka. W kolejnym wpisie dodał: „Duże pieniądze, obce interesy, polityczne wpływy. Blokowania ustawy o kryptowalutach nie da się obronić". „Weto w interesie Rosjan. #KryptoAferaPiS" – napisał na platformie X Roman Giertych. „W sejmie tryumfują obrońcy oszustów i kremlowskich biznesów. To jest uderzenie w bezpieczeństwo Polski. I wiecie co? Oni nawet z tym się nie kryją. Są z tego dumni. Targowica XXI" – stwierdził poseł i przewodniczący klubu KO Zbigniew Konwiński. „Rosyjskie pieniądze i służby zwyciężyły w polskim Sejmie" – napisała posłanka KO Maria Janyska.

> Mimo nieustannych ataków Karol Nawrocki jest liderem zaufania opinii publicznej, co Donalda Tuska wścieka, a także wykoleja, bo chorobliwie nie potrafi z tym żyć

5 grudnia 2025 r. hejterom i samemu premierowi odpowiedział w Sejmie Zbigniew Bogucki: „Jestem przekonany, że polscy patrioci bez względu na to, z której strony sceny politycznej się wywodzą, będą głosować w interesie Polski, w interesie Polaków. Że weto pana prezydenta się utrzyma, a ten wniosek przepadnie i będzie to kolejna porażka przede wszystkim Donalda Tuska, który tę całą rozgrywkę przygotowywał". „Donald Tusk przegrał debatę, a przed chwilą przegrał też głosowanie. [...] Prezydent Nawrocki wraz ze swoim zespołem wyprzedza Donalda Tuska pracowitością, wiedzą, determinacją i polityczną sprawnością o kilka długości" – dodał poseł PiS Szymon Szynkowski vel Sęk, były szef MSZ.

Donald Tusk nigdy nie zamierzał dogadać się z prezydentem Nawrockim, choć sam apelował o „rok zawieszenia broni". Od początku prezydentury (6 sierpnia 2025 r.) zamierzał z nim walczyć. „Donald Tusk uruchomił »przemysł pogardy 2.0«. Atakuje prezydenta RP Karola Nawrockiego tak samo jak kilkanaście lat temu śp. prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego" – powiedział 25 sierpnia 2025 r. podczas konferencji w Sejmie poseł PiS Janusz Kowalski.

O wojnie Tuska z prezydentem Nawrockim świadczą jego kolejne wpisy na platformie X: „Zła wola albo koszmarna niekompetencja prezydenta Nawrockiego. Niewykluczone, że jedno i drugie. Jego weto oznacza droższy prąd dla wszystkich Polaków – dziś i w przyszłości. Pierwsze egzaminy: z dyplomacji i energetyki oblane. Zapłacą wszyscy" (21 sierpnia). „»Żeby nie było niczego« – czyli doktryna Kononowicza w Pałacu Prezydenckim" – napisał Tusk 12 listopada 2025 r. „I co ci psy zawiniły?" – zaczepiał 2 grudnia 2025 r. w kontekście weta wobec tzw. ustawy łańcuchowej.

6 grudnia 2025 r. Agata Kondzińska i Iwona Szpala napisały w „Gazecie Wyborczej": „Premier Donald Tusk chce wykorzystać sytuację, w której prezydent Karol Nawrocki zdecydował się na dwa ryzykowne weta. [...] Chodzi o to, by polityczną odpowiedzialność za zaniechania poniósł prezydent Karol Nawrocki. I aby sygnał wyszedł z Sejmu, który pod rządami marszałka Włodzimierza Czarzastego staje się areną starcia rządzących z Pałacem".

Do końca kadencji obecnego rządu wojna z prezydentem się nie skończy. Dlaczego Tusk robi to wszystko? Gdy prezydencki minister Zbigniew Bogucki stwierdził, że chciałby mieć prawdziwie odpowiedzialnego, polskiego premiera, Tusk z rządowego „tramwaju" odpowiedział: „No ale nie masz, chłopie!". Polacy też nie mają.

eprasa.pl af616a2cad

Podcięte skrzydła LOT

Do tej pory wydawało się, że Donald Tusk świadomie blokuje różne inwestycje. Teraz okazuje się jednak, że on również niewiele potrafi. W tej sytuacji porażka LOT w staraniach o przejęcie Smartwings nie powinna nikogo zaskakiwać. Dziwne by było raczej to, gdyby tę umowę udało się dopiąć

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Fot. Shutterstock

Przywykliśmy już chyba do tego – choć z dużym bólem – że dwuletnie rządy Tuska są niekończącym się pasmem porażek i upokorzeń Polski. Jednak tym razem porażka była dość widowiskowa.

8 grudnia LOT miał się pochwalić zakupem czeskich linii lotniczych Smartwings. Mieliśmy wreszcie usłyszeć tak wyczekiwaną opowieść o polskich ambicjach, skoku naprzód i wielkiej ekspansji. W biurowcu LOT przygotowano nawet stosowną ściankę z logotypami obu przewoźników, na tle której mieli wystąpić szefowie linii oraz oficjele z rządu. W ostatniej chwili konferencja została jednak odwołana.

Okazało się, że żadnej ekspansji i żadnego skoku naprzód nie będzie. Naszą ofertę przebili bowiem Turcy i to oni kupią czeskie linie lotnicze. Cóż – kolejna okazja, która przeleciała nam koło nosa. Podobnie było z estońskim bankiem Luminor, który mógł się stać własnością Pekao, ze stacjami benzynowymi Jet, którymi miał wzgardzić ORLEN, i z hiszpańskim producentem pociągów Talgo, którego mimo starań nie kupiła Pesa. Obecny rząd nie ma dobrej ręki do tego rodzaju transakcji.

Owszem, umie sprzedać to i owo, zwłaszcza po okazyjnych cenach, ale kupić czegokolwiek już nie potrafi. I chyba nie jest to kwestia pieniędzy, ale braku woli, kompetencji oraz – przede wszystkim – wizji rozwoju kraju.

CO STRACILIŚMY?

„Turcy muszą się w Europie rozwijać, aby zdobywać nowe rynki. Są w stanie przepłacać" – tłumaczył porażkę LOT anonimowy przedstawiciel przewoźnika w rozmowie z portalem WNP. „Widzicie, głuptaski? Turcy zapłacili, bo Turcy muszą się rozwijać. No, ciekawe, kto w takim razie nie musi się rozwijać? Jak rozumiem LOT?" – szydził Szymon Janus, szef firmy technologicznej Intermarum i komentator na portalu X.

Zdaniem prezesa Stowarzyszenia TakDlaCPK Macieja Wilka kupno czeskich linii przez LOT wprowadziłoby naszego przewoźnika do wyższej ligi. Smartwings mają bowiem kilka atutów. Przede wszystkim sporą flotę powietrzną, na którą składa się 45 samolotów, z czego 17 to nowe maszyny: 13 typu Boeing 737 MAX oraz 4 typu Airbus A220. Reszta to znacznie starsze, kilkunastoletnie Boeingi 737-800. Co jednak istotne, jest to flota w całości kompatybilna z tą, którą operuje lub zamierza operować LOT, a to oznacza niższe koszty serwisu, logistyki i szkoleń personelu. Gdyby Polacy przejęli Smartwings, to LOT miałby do dyspozycji aż 132 maszyny – porównywalnie z holenderskimi liniami KLM.

Kolejną kwestią jest komplementarna siatka obu linii. Czesi specjalizują się w kierunkach wakacyjnych i czarterach (ok. 50 proc. przychodów), z kolei Polacy są mocniejsi na trasach regularnych i biznesowych.

eprasa.pl af616a2cad

Smartwings lata głównie do kurortów śródziemnomorskich, a LOT obsługuje całą Europę oraz kilkanaście połączeń dalekodystansowych. Połączenie obu tych siatek pod jednym szyldem dałoby bardzo szeroką ofertę dla pasażerów zarówno z Polski, jak i z Czech.

LOT już kilka lat temu chciał się wzmocnić na kierunkach wakacyjnych, przejmując niemieckie linie Condor. Do tamtej transakcji ostatecznie nie doszło ze względu na wybuch pandemii i gwałtowny spadek przewozów lotniczych. Z podobnych powodów zakończono współpracę z estońskimi liniami Nordica, z którymi LOT obsługiwał niektóre kierunki skandynawskie.

Jeszcze jednym atutem linii Smartwings miał być segment ACMI (ang. aircraft, crew, maintenance, insurance), czyli forma krótkoterminowego wynajmu samolotów wraz z załogami. Czesi zdobyli już miejsce na tym rynku, co mogło być dodatkowym źródłem dochodów dla LOT. Przede wszystkim jednak wraz z przejęciem Smartwings nasz przewoźnik przejąłby cały czeski rynek, zabezpieczając się w ten sposób przed ewentualną konkurencją z południa. To się niestety nie udało.

CHODZIŁO O CAŁY REGION

Założone w 1997 r. linie Smartwings (pierwotnie pod nazwą Travel Airlines) po przejęciu upadłych linii CSA mają dziś dominujący udział w czeskim rynku przewozów lotniczych. W 2024 r. na pokładach ich samolotów przewieziono 8,3 mln pasażerów (dla porównania – w tym samym roku LOT przewiózł 10,7 mln osób). Kupno czeskich linii zapewniłoby więc naszemu przewoźnikowi dominującą pozycję w całej Europie Środkowo-Wschodniej. W dalszym etapie ekspansji powiększony LOT mógłby mocniej wejść na rynek węgierski, słowacki i kilku mniejszych państw. Bez czeskich linii będzie to znacznie trudniejsze, a istniejącą próżnię szybko wypełnią inni.

W rzeczywistości nie chodziło o kupno kilkudziesięciu samolotów, ale o kontrolę nad rynkiem w całym regionie. Daliśmy się z niego wypchnąć stosunkowo łatwo i tanio, bo za równowartość 10 mln euro. O tyle bowiem miała być wyższa oferta tureckich linii Pegasus, które ostatecznie przebiły propozycję LOT, kupując Smartwings za 154 mln euro. Skąd mieli na to pieniądze? Głównie z przewożenia rosyjskich turystów do Turcji. Każdego dnia nad Polską przelatuje tranzytem wiele samolotów Pegasusa obładowanych Rosjanami.

Czesi szukali kupca już od kilku lat. Właściciele linii Jiří Šimáně i Roman Vik najwyraźniej nie mieli ochoty dalej inwestować w rozwój Smartwings, zwłaszcza że trzeba było odmłodzić flotę i coraz więcej płacić za serwisowanie maszyn (w tym roku zaczęła się m.in. akcja wymiany silników w samolotach B737 MAX). Niedawno z interesu wycofali się Chińczycy, którzy posiadali 49 proc. udziałów w Smartwings. Swoje akcje sprzedali tanio, bo tylko za 12 mln euro, ale do tej pory nie zostali w całości spłaceni.

> Obecny rząd nie ma dobrej ręki do ważnych transakcji. Owszem, umie sprzedać to i owo, zwłaszcza po okazyjnych cenach, ale kupić czegokolwiek już nie potrafi

Początkowo Šimáně chciał sprzedać linie izraelskiemu przewoźnikowi Israir, ale w lipcu niedoszli kupcy wycofali się z transakcji. Negocjowano jeszcze z innymi zainteresowanymi, aż w końcu przy stole pozostali tylko Polacy. Ich oferta wydawała się najlepsza. Okazało się jednak, że rozmowy przeciągały się niemiłosiernie, co otworzyło furtkę dla Turków. I tak LOT został z pustymi rękami.

GRA POZORÓW

Trudno nie zauważyć, że LOT nie ma szczęścia do Tuska. Gdy on stoi na czele gabinetu, wszystko idzie źle i nic się nie udaje. Za jego poprzednich rządów polskie linie lotnicze znalazły się na krawędzi upadku. Tusk postawił wówczas krzyżyk na naszym narodowym przewoźniku. „Najwyższy czas zerwać z doktryną, że LOT to firma, którą należy ratować za wszelką cenę, niezależnie od realiów. Tylko dlatego, że nazywa się LOT i że ma piękną tradycję" – powiedział w 2013 r. Ostatecznie firmę odratowano, bo po aferze Amber Gold posypał się plan przejęcia naszego rynku przez Lufthansę i niesławnej pamięci linie OLT. Jednak wypowiedziane wtedy słowa ciągną się za Tuskiem do dzisiaj, przypominając o tym, że polskie srebra rodowe nigdy nie miały dla niego większej wartości.

Teraz – na fali zaciekłej rywalizacji o głosy Polaków – Tusk próbuje się wcielać w rolę obrońcy naszego interesu narodowego. Nagle stał się przeciwnikiem imigracji, nieoczekiwanie przypomniał sobie o energetyce jądrowej i pokochał płot na granicy z Białorusią. Wszystko to jednak tylko pozy, które mają odciągnąć wyborców od prawicy.

Podobnie jest z polityką rozwojową. Obecny reżim udaje, że buduje CPK, choć nie wbito tam nawet pierwszej łopaty, a wielkie plany rozbudowy sieci kolejowej okrojono do małego ogryzka między Warszawą a Poznaniem i Wrocławiem. Twierdzi też, że nie zrezygnował z terminala kontenerowego w Świnoujściu, choć zerwał dotychczasowe umowy i budowa – o ile w ogóle do niej dojdzie – będzie opóźniona o wiele lat, co osłabi naszą pozycję rynkową. Tworzymy pozory, aby zamydlić ludziom oczy – taka jest strategia rządu.

W przypadku LOT sprawa wygląda podobnie. Przejęcie czeskich linii Smartwings miało zamknąć usta niedowiarkom, pokazać, iż rząd na poważnie myśli o zagranicznej ekspansji i przede wszystkim zatrzeć niedobre wrażenie sprzed lat, gdy Tusk drwił sobie z blisko 100-letniej tradycji polskiego przewoźnika.

WALKI PARTYJNYCH BULDOGÓW

Czy jednak rzeczywiście ktokolwiek z decydentów poważnie myślał o rozwoju polskich linii lotniczych? Tu mnożą się

eprasa.pl af616a2cad

wątpliwości. Jak twierdzi Maciej Wilk, pomysł przejęcia linii Smartwings był blokowany przez Polską Grupę Lotniczą – spółkę Skarbu Państwa będącą mniejszościowym udziałowcem LOT. „Słyszymy też o jakichś tarciach w kwestii przejęcia Smartwingsa na linii Ministerstwo Infrastruktury – Ministerstwo Aktywów Państwowych" – napisał w serwisie X Wilk.

Podobnie było pod koniec 2024 r., gdy konflikty wśród partyjnej nomenklatury pousadzanej we wspomnianych resortach doprowadziły do krótkotrwałego odwołania ze stanowiska prezesa LOT Michała Fijoła. Wskutek tych działań powstał ogromny bałagan decyzyjny. Zarządzanie spółką zostało wówczas zakłócone, co mogło mieć negatywny wpływ na pozycję negocjacyjną LOT w rozmowach z kontrahentami. Warto zauważyć, że bezpośrednio przed odwołaniem Fijoła miał on jeździć do Pragi, aby rozmawiać tam o przejęciu Smartwings. Nie ma pewności, czy późniejsze przepychanki w LOT miały bezpośredni wpływ na zahamowanie tych rozmów, ale absolutnie nie da się tego wykluczyć.

„Nad Smartwingsem, w wąskim gronie osób, siedzieliśmy od naprawdę długiego czasu. Niestety nie mieliśmy przez długi okres żadnego wsparcia dla tej transakcji. Ciężko było działać wbrew naszemu bezpośredniemu zapleczu" – przyznaje negocjator ze strony LOT w rozmowie z portalem WNP.

„Czy nie jest przypadkiem tak, że właśnie przez tego typu żałosne gierki, przez partyjną walkę o stołki, uciekła nam okazja do przejęcia Smartwingsa już w 2024 r., gdy przewoźnik ten był do wzięcia praktycznie od ręki?" – pyta retorycznie Maciej Wilk i cytuje list od anonimowego informatora (prawdopodobnie członka władz LOT), który potwierdza, że w 2024 r. harmonogram przejęcia czeskich linii był zapięty na ostatni guzik. „Smartwings był wtedy do kupienia poniżej 100 mln euro. Ale potem wzięli się za łby, a Polska Grupa Lotnicza topiła temat, jak mogła" – czytamy.

„Gdyby dyskusje o przejęciu Smartwings nie trwały 1,5 roku, gdyby strona polska wykazała się większą determinacją i pochwyciła zdobycz wtedy, kiedy była dostępna, mielibyśmy dziś wielki sukces. A tak skończyło się jak zwykle" – komentuje Wilk. „Jeżeli ministerialno-polityczna szarpanina uniemożliwiła nam dopięcie tej transakcji na czas, to doprawdy – biada nam wszystkim. Partyjniactwo i brak wyobraźni – nie tylko biznesowej – powodują, że wciąż uciekają nam kolejne szanse rozwojowe" – przestrzega.

Jeśli rzeczywiście jest tak, jak pisze Wilk – a wydaje się to bardzo prawdopodobne – to mieliśmy do czynienia nawet nie tyle z grą pozorów wokół LOT, co z sabotażem jego planów rozwojowych. I choć intencje samego Tuska mogły być tutaj inne – chociażby ze względu na wspomnianą wcześniej próbę poprawy własnego wizerunku – to za finalny efekt tego zamieszania premier ponosi pełną odpowiedzialność polityczną. To on bowiem dobrał sobie takich, a nie innych współpracowników i koalicjantów. Porażka LOT idzie więc na jego rachunek.

> W rzeczywistości nie chodziło o kupno czeskich linii lotniczych, ale o kontrolę nad rynkiem w całym regionie. Daliśmy się z niego wypchnąć stosunkowo łatwo i tanio

ZMARNOWANE OKAZJE

Historia niedoszłego przejęcia Smartwings przypomina inne okazje, które zostały zmarnowane w ciągu ostatnich dwóch lat. Przyczyny zawsze były podobne. To z powodu chaosu wywołanego rozliczeniami i zmianami personalnymi nie doszło – jak podają media – do przejęcia przez Pekao estońskiego banku Luminor, choć w tej sprawie interweniowali u Tuska politycy z państw bałtyckich. Ostatecznie Pekao – jak wynika z jego aktualnej strategii ogłoszonej już pod rządami nowego prezesa Cezarego Stypułkowskiego – w ogóle nie zamierza zajmować się zagranicznymi akwizycjami i jakąkolwiek ekspansją na zewnątrz. Ma być skromniej i tylko na polskim podwórku. Wielkie interesy odstąpiono innym.

Również ORLEN miał się wycofać z kupna sieci stacji benzynowych należących do amerykańskiego koncernu Phillips 66. Stacje działające w Austrii i Niemczech pod marką Jet zostały wystawione na sprzedaż, ale ORLEN nie skorzystał z wysłanego mu zaproszenia do rozmów i tym samym – jak pisał w październiku ub.r. były prezes koncernu Daniel Obajtek – „pozbawił się szansy na zbudowanie pozycji kluczowego gracza na rynkach austriackim i niemieckim". A było o co walczyć, bo gdyby transakcja doszła do skutku, to Grupa ORLEN stałaby się największym operatorem stacji paliw w Austrii i trzecim w Niemczech. Obecne władze koncernu nie były tym jednak zainteresowane, skupiając się – jak wynika z przesłanego oświadczenia w tej sprawie – na rozliczaniu poprzedniego zarządu.

Spektakularną klapą skończyła się też próba przejęcia przez polską Pesę hiszpańskiego producenta kolejowego Talgo. W to przedsięwzięcie osobiście zaangażował się Tusk, który chciał, aby Talgo – już pod polską kontrolą – wyprodukowało szybkie pociągi dla Kolei Dużych Prędkości mających połączyć Warszawę z Poznaniem i Wrocławiem. Zakup Talgo miał zapewne osłodzić gorycz po zahamowaniu budowy CPK i rezygnacji z rozbudowy sieci kolejowej w Polsce. Nic z tego jednak nie wyszło, bo hiszpański premier Sánchez pouśmiechał się ładnie do Tuska i – jak to już stało się zwyczajem w europejskich stolicach – zwyczajnie go zignorował. Ostatecznie wszystko wskazuje więc na to, że kupimy niemieckie pociągi.

Przy tej okazji wyszła na jaw dość przerażająca prawda. Do tej pory wydawało się, że Tusk świadomie blokuje różne inwestycje. Teraz jednak widać, że on również niewiele umie.

eprasa.pl af616a2cad

SIECI
Pod choinkę
O politykach na wesoło
44
Samozagłada Homo sapiens
48
Kiedy Zakopane było stolicą Polski
60
Polacy pięknieją nad Bosforem
66
Co ci powie w Wigilię papuga
70
Świąteczny kobierzec smaków
73

Pamiętaj, nigdy nie

Bogactwo zwyczajów jest naszym polskim dziedzictwem, jakąś formą łączności z wcześniejszymi pokoleniami. To coś pociąga nas od najmłodszych lat, a później pragniemy do tego wracać, na nowo przeżywać ten błogosławiony czas. Świąteczny czas z rodziną i najbliższymi

Z ks. Andrzejem Ziółkowskim, misjonarzem, rozmawia Piotr Słabek

Bez rodziny nie ma świąt. Pewnie dlatego przypomniała mi się stara piosenka z Kabaretu Starszych Panów, a właściwie jej refren: „Rodzina, rodzina, rodzina, ach rodzina. / Rodzina nie cieszy, nie cieszy, gdy jest / Lecz kiedy jej ni ma / Samotnyś jak pies". Co zrobić, by bardziej się cieszyć rodziną i doceniać ją nie tylko wtedy, gdy jej zabraknie?

Ks. Andrzej Ziółkowski CM: Pamiętam melodię tej piosenki, ale gorzej ze słowami. Wiele Świąt Narodzenia Pańskiego przeżyłem w różnych wspólnotach, ale te rodzinne spotkania – a więc z mamą, tatą i siostrami – pamiętam najlepiej. Może dlatego, że te rodzinne spotkania przy wigilijnym i świątecznym stole są powrotem do dzieciństwa, wczesnej młodości. Przypominają się chwile, gdy ubierałem choinkę, szykowaliśmy wszystko do wieczerzy wigilijnej.

Wydaje mi się, że sekret tkwi w umiejętnym pielęgnowaniu tradycji, ale nie tylko tej odnoszącej się do 12 dań, lecz także do tajemnicy, która dojrzewa w każdym z nas – tajemnicy wcielenia. Zapewne jest to trudne zadanie. Cóż, jak Maryja z Józefem szukali 12-letniego Jezusa wśród pątników, tak i my szukamy go wśród swoich bliskich i dalszych krewnych, przyjaciół, znajomych, szukamy w tajemnicy znaków, sakramentów, tradycji, Biblii...

Które ze świątecznych zwyczajów uważasz za najcenniejsze dla ich rodzinnego przeżywania, które warto kultywować, zadbać o ich należytą oprawę?

jesteś sam

Fot. Shutterstock

Szczere i dobre spotkanie z człowiekiem jest prostą drogą do spotkania z Bogiem, który jest w człowieku. Myślę, że najcenniejsze są te zwyczaje, które są najprostsze i pozwalają spotkać drugiego człowieka, ugościć go, uradować się jego obecnością. Boże Narodzenie to niewątpliwie najbardziej rodzinny czas. Wtedy wpatrujemy się w Świętą Rodzinę oraz poświęcamy dużo czasu i uwagi własnej rodzinie.

Dlaczego przeżywanie świąt z najbliższymi jest takie ważne?

Powiem tak: gdzie czas twój, tam serce twoje. Tam, gdzie widzisz uśmiech i odczuwasz szczerość, tam czujesz się dobrze. W nas chyba coś się zepsuło. Na szczęście nie we wszystkich i nie do końca. Bo w sumie co jest naszym największym skarbem? Przyjaźnie, bliskie relacje, życzliwi, wspierający i przebaczający ludzie, na których możemy liczyć. Oni chyba najlepiej ukazują prawdziwe oblicze Boga.

Ale prawda jest taka, że coraz mniej ludzi chodzi do Kościoła. Na mszach czasami są pustki. Nawet wierzący zapominają o poście czy adwencie. Kiedyś Kościół był wielką wspólnotą, a po mszy ludzie garnęli się do siebie. To były radosne spotkania. Teraz szybko wsiadają do samochodów i odjeżdżają do swoich spraw. To nie buduje żadnej więzi. Dlaczego tak się dzieje?

To, że coraz mniej ludzi chodzi do kościoła, wcale nie oznacza, że są niewierzący. Jest wiele powodów, dla których tak się dzieje. Jednym z najważniejszych jest to, że wierzący stracili zaufanie do tych, którzy głosząc ewangelię, powinni świecić przykładem, a nie kopcić. Mass media wychwytują wszelkie grzechy i błędy hierarchii. Często zniekształcają, uwypuklają, wyśmiewają, a często zakłamują rzeczywistość. Następstwem jest brak zaufania i dystans. W takich przypadkach wierzący odczuwa w sercu smutek, a jego pochodną jest „wewnętrzna emigracja" z takiego Kościoła. Nic więc dziwnego, że wielu ludzi nadal szuka prawdziwej wspólnoty. Z tego wynika zjawisko częstego zmieniania kościołów przez wiernych zamiast regularnego uczestnictwa w nabożeństwach we własnej parafii. Wierni robią to, ponieważ w innych kościołach poszukują lepszych możliwości duchowych. Szukają odpowiedniego spowiednika, piękniejszej liturgii lub większego zaangażowania duchownych, co nie zawsze jest obecne w ich macierzystej parafii. Z jednej strony to przejaw niezadowolenia z lokalnej parafii, z drugiej – chęć poszukiwania głębszych przeżyć religijnych w innych miejscach, np. podczas świąt.

Poza tym, jeśli w jakimś mieście są parafie, w których jest bardzo tłoczno, a obok stoją puste kościoły, to powinno dać księżom do myślenia – może warto coś zmienić w działalności duszpasterskiej, wykazać większą inicjatywę, by zachęcić wiernych?

Dziś rodzina przypomina czasami pole bitwy. Albo pustynię, na której nikt z nikim nie rozmawia. Nie ma wspólnego obiadu czy kolacji. Zmęczeni po pracy rodzice zapadają w fotele, a dzieci nawet ich nie widzą, bo przez cały czas gapią się w swoje smartfony. Czy na tej pustyni są jeszcze miejsca dla Boga?

Tak, to prawda – rodzina często jest takim polem zmagań. Każdy chce przeciągnąć krewnych na swoją stronę. Najsmutniejsze jest to, że używamy takich argumentów, które aż „kapią nienawiścią" do drugiej strony. Rzymska zasada *divide et impera* (dziel i rządź) weszła w rodzinny krwiobieg. Niestety podsycają ją wszystkie strony polskiej polityki. Zacietrzewienie jest tak zapiekłe, jak zardzewiałe śruby i nakrętki w urządzeniach, do których dostaje się woda i powietrze.

Poza tym pośpiech życia, gonitwa za tym, by mieć więcej, brak dystansu. W tym kontekście świąteczny czas może być szansą na pojednanie, wyciszenie, refleksje. Oby spełniły się słowa znanej pastorałki: „Jest taki dzień, bardzo ciepły, choć grudniowy.

/ Dzień, zwykły dzień, w którym gasną wszelkie spory. / Jest taki dzień, gdy jesteśmy wszyscy razem".

Ale najciekawsze jest coś innego. Nagle wszyscy się budzą. Idą święta – trzeba kupić choinkę, przygotować wigilijną wieczerzę, wybrać prezenty, zaprosić bliskich. Nagle zaczynają się rozmowy, dzieci odkładają telefony, by ubrać świąteczne drzewko. Nawet rzucają pomysł, by iść na pasterkę. Chyba za czymś tęsknimy, choć zapominamy o tym na co dzień.

Dziwisz się, że tak jest? Każdy z nas chce przeżyć coś takiego, co pozwala zakosztować czegoś innego, być w innej atmosferze, odsunąć na bok szarą rzeczywistość. Telefon komórkowy i dostęp do internetu sprawiają, że jesteśmy tak mocno przebodźcowani, iż nagle pragniemy zupełnie czegoś odmiennego. Chcemy mieć piękno na wyciągnięcie ręki, bliski kontakt z naturą, odczuwać *sacrum*. Święta dają nam namiastkę tych pragnień.

Pasterka, skrzypiący śnieg pod nogami, niezwykły czas, wejście w atmosferę misterium Bożego Narodzenia i wiele pięknych obrzędów, które temu towarzyszą, to coś bardzo istotnego dla wielu ludzi. Śpiewanie wzruszających kolęd stanowi doświadczenie wspólnej więzi. To bogactwo zwyczajów jest naszym polskim dziedzictwem, jakąś formą łączności z wcześniejszymi pokoleniami. To coś pociąga nas od najmłodszych lat, a później pragniemy do tego wracać, na nowo przeżywać ten błogosławiony czas.

Ale jak to robić? Co czynić, aby nie narzucać swej woli całej rodzinie?

To jest sztuka, której każda rodzina musi się nauczyć. Tak myślę, gdy sięgam pamięcią do moich pierwszych wigilii. Miałem wtedy pięć, sześć, siedem lat. Wspominam moją babcię Michalinę, Wołyniankę spod Sokala, która z opłatkiem w ręku i łamiącym się głosem prosiła nas wszystkich siedzących przy stole – a było nas wtedy sporo, prawie cała rodzina – abyśmy pamiętali o Bogu i modlitwie. Miała łzy w oczach. Wtedy nie rozumiałem, o co jej chodziło, ale kilkanaście lat później już to pojąłem. Tamte wigilijne obrazy wciąż we mnie żyją i przemawia do mnie jej życiowe doświadczenie. Nie wszyscy uszanowali prośbę babci, ale nie mnie oceniać moich krewnych. Wyobraź sobie, że bardzo rzadko robiliśmy sobie zdjęcia podczas Wigilii. Mówię o latach 60. i 70. ub.w.

Sporo młodych ludzi zarzuca dorosłym, że narzucają im swoją wizję świata, etykę postępowania, kody moralności. Kiedyś wydawało mi się, że napięcia pokoleniowe z czasem przeminą. Ale doświadczenie nauczyło mnie, że one istnieją i nie trzeba być młodym człowiekiem, aby doświadczyć presji ze strony starszych. Wciąż uczę się tego, aby wysłuchać do końca moich studentów, ich sposobu wartościowania, ujmowania zagadnień, prób rozwiązywania konfliktów. W tym względzie mam trochę problemów, bo niejednokrotnie się z nimi nie zgadzam. Ale przecież nie powiem im: „Młodzi jesteście – życia nie znacie", bo wtedy zachowam się tak samo, jak ci, którzy kiedyś w ten sposób mówili do mnie.

> Oby spełniły się słowa znanej pastorałki: „Jest taki dzień, bardzo ciepły, choć grudniowy. / Dzień, zwykły dzień, w którym gasną wszelkie spory. / Jest taki dzień, gdy jesteśmy wszyscy razem"

Odejdźmy na chwilę od świąt, ale nie od bliskich. Kiedy wsparcie rodziny jest najbardziej potrzebne?

W sytuacjach granicznych – rozwód, rodzinne sprawy sądowe, podział majątku, poważna choroba, oczekiwanie na operację, a już najbardziej wtedy, gdy żegnamy kogoś z rodziny, czyli w sytuacji śmierci. Bardzo, ale to bardzo zaniedbujemy osoby, które cierpią z powodu śmierci mamy, taty, dziecka. Nie wystarczy poklepać po ramieniu i powiedzieć: „Trzymaj się", „Takie jest życie", „Dasz sobie radę". Przypominam sobie pogrzeb pewnego starszego pana – to było 13 lat temu, akurat w Wigilię, ok. południa. W kościele choinki, wszystko odświętnie ubrane, a przed ołtarzem trumna. Początkowo odczuwałem to wszystko jako swego rodzaju „zgrzyt", ale dotarło do mnie, że przecież oni kochają dziadka. O tym też mówiłem podczas homilii. Poprosiłem ich, aby dla świętej pamięci dziadka postawili talerz przy wigilijnym stole i sercem zaprosili go do wieczerzy.

Pamiętam, że zanim Rosja zaatakowała Ukrainę, często jeździłeś do naszych rodaków na Białorusi. Jak wspominasz te podróże?

Tym, co mnie uderzało wśród Polaków mieszkających na Białorusi, była szczerość, prostota, otwartość, chęć spotkania. Wciąż powracam myślą do wizyty duszpasterskiej – czyli kolędy – niedaleko Szereszewa. To było w miejscowości Waśki. Gdy podchodziliśmy z ministrantami pod furtkę, była już otwarta, a do samych drzwi leżał rozścielony chodnik, ręcznie pleciony. Odruchowo chciałem zdjąć buty, żeby go nie pobrudzić. A oni mówili: „Nie, nie zzuwajcie butów! To dla Chrystusa, który w was do nas dziś przychodzi". Miałem wtedy wilgotne powieki. Z takimi wiernymi zostałbym do końca.

Przekaż proszę wszystkim twoim bliskim moje pozdrowienia. Bo my już złożyliśmy sobie życzenia. I oczywiście czytelnikom tygodnika „Sieci". Śpiewam z wami kolędy!

***Ks. Andrzej Ziółkowski CM**, misjonarz św. Wincentego à Paulo, wykładowca teologii pastoralnej w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy. Rekolekcjonista. Autor wielu pozycji homiletycznych. Specjalizuje się w przepowiadaniu do najmłodszych.*

Kolędujmy!

Kolędy nie są zwykłymi piosenkami, którymi od lat męczą nas media i macherzy od handlowego marketingu. To chorały, polonezy, mazurki, marsze i kołysanki będące wyrazem naszej wiary i tożsamości kulturowej. Kolędujmy więc jak należy w naszych okopach Świętej Trójcy

MACIEJ WALASZCZYK

W dzisiejszych czasach bardzo niewiele rzeczy robimy wspólnie, nawet w rodzinach. Dlatego śpiewanie kolęd daje możliwość połączenia wszystkich żyjących w danej chwili pokoleń w znanym wszystkim sposobie spędzania czasu, bez telewizji, smartfonów oraz innych złodziei uwagi i czasu. Do tego już od dzieciństwa kolędy są przecież znane każdemu z nas. Wciąż też wyrażają radość związaną ze świętowaniem Bożego Narodzenia i stanowią żywy dowód staropolskiej tradycji kultywowanej w wielu rodzinach. Znajdujemy w nich też genialny konglomerat obrazów i motywów, będących dla wielu z nas dziecięcym etapem katechizacji, a także sposobem na umocnienie wiary dorosłych. Wspólne śpiewanie kolęd jest ważne szczególnie teraz, w czasach komercjalizacji świąt, gdy wypiera je kicz „Last Christmas" czy „All I Want For Christmas Is You" i niezliczonych mutacji tych utworów. Coś, co trzy dekady temu dla nowych klientów z Europy Wschodniej mogło być powitalnym cukiereczkiem kultury kapitalizmu, dziś po prostu mdli. Podobnie jak Santa Claus podszywający się pod św. Mikołaja, który przepadł gdzieś w prezentowym szale. Ostatecznie stawką jest przecież nie tyle tradycja czy obyczaje, ile świadomość tego, co właściwie świętujemy.

ŚPIEWNY PODARUNEK I ŻYCZENIA

A skąd kolędowanie, prezenty, życzenia? W starożytnym Rzymie celebrowano kalendy styczniowe (*calendae*), wzajemnie się odwiedzając, obdarowując, składając życzenia. Owidiusz wspomina, że najczęściej dawano sobie

Fot. Shutterstock

słodkie daktyle, figi i miód, czasem pieniądze. A wszystko po to, by zapewnić sobie pomyślną przyszłość.

Zwyczaj ten przywędrował do Polski przez Bałkany. A dokładnie przyjęli go Słowianie już w VI–VIII w. – najpierw ci południowi, a potem w Polsce i na Rusi. I tak łacińskie *calendae* przekształciło się w „kolędę" w języku staro-cerkiewno-słowiańskim.

Dzisiaj kolędowanie to ilustracja żywej kultury narodowej. To wigilijny, bożonarodzeniowy podarunek i odwiedzanie parafian przez księdza. Chodzenie z kolędą to składanie życzeń, śpiewanie pieśni winszujących powodzenie. Dzisiejsza kolęda jest jednak przede wszystkim wspólnie śpiewaną pieśnią bożonarodzeniową.

„BÓG SIĘ RODZI, MOC TRUCHLEJE"

To może banał, ale „Bóg się rodzi" oświeceniowego poety Franciszka Karpińskiego, opublikowana z zbiorze z 1792 r., to zdecydowanie najważniejsza i najpiękniejsza polska kolęda, która nie bez powodu kojarzy się po prostu z hymnem narodowym. Zawiera wszak wspólnotowe przesłanie poruszające nasz patriotyzm.

Tekst pieśni powstał w Dubiecku nad Sanem na zamówienie księżnej Izabeli z Czartoryskich Lubomirskiej. Po raz pierwszy zabrzmiała tuż przed upadkiem polskiej państwowości w starym kościele farnym w Białymstoku. Tekst w genialny sposób, łącząc prostotę z niezwykłym kunsztem poetyckim, przeciwstawia liczne antynomie w łańcuch poetyckich oksymoronów. „W tych słowach poeta ujął tajemnicę wcielenia Syna Bożego" – mówił Jan Paweł II, zwracając się do Polaków w 1996 r. i określając Karpińskiego mianem znakomitego poety, potrafiącego m.in. we frazie „ma granice Nieskończony" zręcznie posłużyć się kontrastami. Karpiński wyraził bowiem teologiczną prawdę o pokorze Boga, który przyjął ludzką naturę z wszystkimi jej słabościami.

Autorstwo obecnej melodii, utrzymanej w rytmie poloneza, bywa przypisywane kompozytorowi Karolowi Kurpińskiemu, choć według innych źródeł jest to polonez koronacyjny królów polskich jeszcze z czasów Stefana Batorego (XVI w.). Nie wyklucza się też jej ludowego pochodzenia, gdyż była powszechnie znana w całej Polsce i śpiewana w różnych wariantach – w zależności od regionu.

CHORAŁY, POLONEZY I MAZURKI

Pierwszymi zachowanymi polskimi zabytkami kolędowymi są XIV-wieczne łacińskie utwory Bartłomieja z Jasła, w tym m.in. licząca 14 zwrotek „Grajmy w tym dniu". Ta pieśń to jeden z najważniejszych zabytków polskiej kultury. W epoce renesansu nastąpił rozwój kolęd w języku polskim – to z tego okresu pochodzi utwór „Anioł pasterzom mówił". Wzrost popularności gatunku nastąpił na przełomie XVII i XVIII w. To wtedy ustalił się termin „kolęda", który zaczął oznaczać mniej więcej to, co rozumiemy przezeń dzisiaj, a więc pieśń bożonarodzeniową. To wtedy powstała jedna z najważniejszych, a więc „W żłobie leży", przypisywana nadwornemu kaznodziei króla Zygmunta III Wazy Piotrowi Skardze, której melodia została zaczerpnięta z poloneza koronacyjnego króla Władysława IV. Pod koniec XVII w. pojawia się słynne „Wśród nocnej ciszy", a już na początku XIX w. – „Dzisiaj w Betlejem". Muzycznie utwory są więc odbiciem trendów swojego czasu i dominującej w tym okresie stylistyki.

Polskie kolędy były przede wszystkim polonezami i mazurami, a także utworami wykonywanymi bez akompaniamentu lub z akompaniamentem liry korbowej, pozwalającej utrzymywać jedną tonację. Kolęda „Pójdźmy wszyscy do stajenki", choć była znana 100 lat wcześniej, zyskała tempo marsza dopiero w XIX w. To wtedy upowszechniły się kolędowe śpiewy i nastąpił wysyp nowych utworów, które tworzyło liczne grono poetów i kompozytorów. Wśród nich pojawiła się m.in. niezwykle popularna do dziś „Mizerna cicha", do której tekst ułożył Teofil Lenartowicz. Jak przypomina pieśniarz i zarazem historyk muzyki dawnej Adam Strug, ten kanoniczny i kompletny zbiór kolęd i pastorałek stworzony w połowie XIX w. liczy aż 600 pozycji. Fakt ten odnotowała również Zofia Kossak-Szczucka w książce „Rok polski". A zwyczaj śpiewania wszystkich 600 kolęd od Bożego Narodzenia do Matki Bożej Gromnicznej (2 lutego) był najdłużej kultywowany wśród szlachty północno-wschodniego Mazowsza.

Kolędy rozwijały się też w XX w., komponowali je m.in. Feliks Nowowiejski, Witold Lutosławski czy Andrzej Nikodemowicz, który stworzył ok. 350 kolęd. W czasie wojny bardzo popularna stała się nostalgiczna i pełna bólu kolęda „Nie było miejsca dla Ciebie" z 1938 r. Kilka lat wcześniej jej słowa napisał ks. Mateusz Jeż, kapelan zasłużonej mecenas polskiej kultury księżnej Marceliny z Radziwiłłów Czartoryskiej, pianistki i uczennicy Fryderyka Chopina. Nie bez przyczyny śpiewano ją w łagrach i obozach koncentracyjnych.

„LULAJŻE, JEZUNIU, MOJA PEREŁKO"

Ta kolęda pochodzi z XVII w., ale najstarszą wersję tekstu, która zachowała się do naszych czasów, datuje się na 1705 r. Jest przechowywana w Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu. Według hipotezy ks. Kamila Kantaka jej autorem był bernardyn Innocenty z Kościana, który pozostawił po sobie bogatą spuściznę piśmienniczą, a kolęda wpisuje się w tradycję pieśni bernardyńskiej. Po raz pierwszy wydrukowano ją w lwowskiej oficynie Szlichtynów w 1767 r., a zapis nutowy ukazał się drukiem w 1843 r. w kanonicznej antologii ks. Michała Marcina Mioduszewskiego „Pastorałki i kolędy z melodyjami".

Choć ówczesna melodia utworu trochę różniła się od obecnej, to kolęda ta pozostaje naszą najważniejszą i najpiękniejszą staropolską, sarmacką i barokową klasyką. W wyjątkowy sposób wprowadza w nastrój zadumy i z matczyną czułością kołysze liryczną delikatnością. Nie ma więc możliwości, by nie poruszała serc, nie przypominała o naszym dzieciństwie i świętach obchodzonych w rodzinnym domu. Słychać to przecież w środkowych fragmentach Scherza h-moll op. 20 Fryderyka Chopina, dowodząc swojej wielkiej siły. Utwór mógł powstać w czasie świąt Bożego Narodzenia na przełomie 1830 i 1831 r., gdy w Polsce trwało powstanie listopadowe, a młody kompozytor przebywał już wówczas

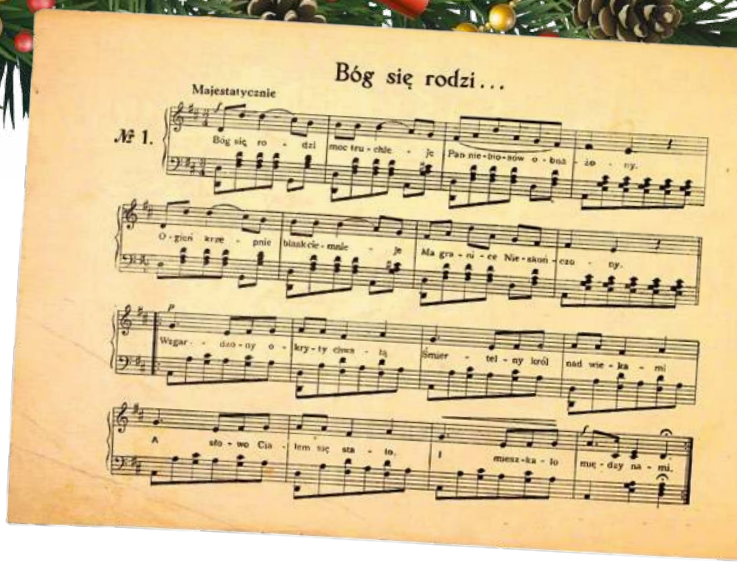

w Wiedniu. Tam, być może usychając z tęsknoty, skomponował pełen gwałtownych zwrotów, przejmujący utwór.

Motyw tej melodii możemy też usłyszeć w autobiograficznym spektaklu Tadeusza Kantora „Wielopole, Wielopole". Pojawiła się również w twórczości Jacka Kaczmarskiego w pieśni „Wigilia na Syberii" oraz u Lucjana Rydla w III akcie „Betlejem polskiego", gdzie „Lulajże, Jezuniu" śpiewane przez anielski chór wprost nawiązuje do mesjańskiej idei łączącej losy Chrystusa z dziejami Polaków. Na melodię kolędy układano też wiele pieśni patriotycznych.

PIEŚNI O NARODZENIU PAŃSKIM

Centralną treścią kolęd jest oczywiście narodzenie Jezusa Chrystusa. Jednak wiele z tych pieśni, szczególnie ludowych, wychodziło w swej narracji dalej, poza historię zbawienia. Pojawiły się więc pastorałki, czyli kolędy z motywem pasterskim, a także kolędy apokryficzne. Może czasem mieliśmy okazję usłyszeć takie piękne ludowe śpiewy, w których słowa opowiadały różne dziwne historie o wydarzeniach z życia Jezusa, nieopisane w ewangeliach, np. jakieś zdarzenia z jego dzieciństwa. W tych pozakościelnych kolędach swobodnie dopowiadano różne szczegóły, których próżno szukać w Nowym Testamencie – zwłaszcza teksty czerpiące z pism wczesnochrześcijańskich, które nie weszły do kanonu Pisma Świętego.

Ich teksty możemy znaleźć w wydawanych od XIX w. kantyczkach, ale wiele z nich istnieje tylko w ustnym przekazie. Dzięki nim opowieści na temat zwiastowania, rzezi niewiniątek czy ucieczce Świętej Rodziny do Egiptu, będącej niemal obowiązkowym elementem wszystkich jasełek, stają się historiami obfitującymi w zupełnie fantastyczne wydarzenia. W jednej z nich Maryja z Dzieciątkiem spotyka chłopa siejącego zboże i prosi go, by nie zdradził ich przed ludźmi Heroda. Na skutego tego nazajutrz zboże w cudowny sposób rodzi stokrotnym plonem, które chłop zbiera w nagrodę za wierność Bożej Rodzicielce. Specjalizujący się w badaniu takich ludowych kolęd Jerzy Bartmiński zwracał uwagę, że w ten sposób ewangeliczny przekaz był asymilowany do tradycji i choć odbiegał od ustalonych prawd, niósł bardzo autentyczne i chrześcijańskie treści. O. Jacek Salij wyjaśniał zaś, że ta ludowa teologia Bożego Narodzenia, operując prawdą ludowej przypowieści, wyrażała ważne chrześcijańskie i ludzkie treści, tylko w inny sposób.

„PRZYBIEŻELI DO BETLEJEM PASTERZE"

Ta popularna kolęda jest klasyczną i pełną radości kolędniczą pieśnią powitalną. Skoczny refren: „Chwała na wysokości, a pokój na ziemi" jest chyba jednym z najbardziej rozpoznawalnych kolędowych motywów. Prosty tekst i rytmiczna melodia doskonale wyrażają nieopisaną radość z przyjścia na świat Zbawiciela. Po kolei wymieniane są w niej postacie zgromadzone wokół stajenki betlejemskiej. „Chwałę na wysokości" wyśpiewują ubodzy pasterze, Trzej Królowie z darami, a nawet wół i osioł. Do Betlejem przybywają też aniołowie, którzy pilnują Dzieciątka i jego ziemskich rodziców.

„Przybieżeli do Betlejem" to po prostu jedna z kilkudziesięciu „Symfonii Anielskich" Jana Żabczyca z 1631 r. To polski poeta, któremu bliska była kultura ludowa, a także paremiograf zajmujący się zbieraniem i wyjaśnianiem przysłów. Według jego instrukcji miała być śpiewana na melodię pieśni „Otóż tobie, pani matko", ale w ciągu wieków także ona przeszła pewne modyfikacje. Jej aktualny kształt różni się od pierwowzoru podziałem na strofy oraz charakterystycznym refrenem. Zmiany wprowadził oczywiście ks. Mioduszewski, choć i w jego zapisie treść refrenu jest zupełnie inna niż obecnie. Zmieniała się również sama melodia, a jej do dziś obowiązujący zapis został uwieczniony w „Śpiewniczku" ks. Jana Siedleckiego z 1878 r.

Wcześniej jednak spisane przez Żabczyca kolędy miały być śpiewane na powszechnie znane, ludowe melodie, do których dopasowano teksty o charakterze religijnym. Zabieg ten, nazywany kontrafakturą, nie był jednak pochwalany przez XVII-wieczne władze kościelne, sprzeciwiające się wprowadzaniu do sfery *sacrum* motywów ludycznych. Jednak jak się potem okazało, Żabczycowe kolędy zyskały wielką popularność właśnie w swoich pierwotnych wersjach.

DISNEYLANDYZACJA KOLĘD

Niestety kolędy są coraz częściej śpiewane z manierą popową czy discopolową, albo – co gorsza – słychać w nich echa muzyki R&B. To zjawisko coraz powszechniejsze, masowe i zdumiewające jest, że ulega mu także Kościół w ramach doktryny wpuszczania „ducha czasów", który straszy w kościołach nawet w czasie świat. Często zwraca na to uwagę wspomniany już Adam Strug, ostrzegając, że jest to przykład bezguścia. W ogóle twierdzi on, że interpretacje starych kolęd podejmowane przez środowiska rozrywkowe, estradowe, w tym jazzowe, są zupełnym niezrozumieniem. Tracą wówczas swoje wszystkie sensy, zarówno w wyrazie wokalnym, jak i w kwestii tempa. Tym bardziej warto znów przywołać opinię polskiego papieża, który wielokrotnie podkreślał, że skoro w tym szczególnym okresie świat wychwala Boga, to także my w Polsce chwalimy go po swojemu, właśnie kolędami. „Niech ta tradycja śpiewania kolęd przy choince, przy żłóbku stale trwa i podtrzymuje to, co istotne w naszej kulturze i w naszej historii" – mówił podczas audiencji na początku 2002 r.

Miś 36 i dwie trzecie

Polska polityka zawsze miotała się między horrorem a farsą z dużym udziałem groteski i wydarzeń wprost z komedii Stanisława Barei

STANISŁAW JANECKI

III Rzeczpospolita ma już ok. 36 i dwie trzecie lat. 5 grudnia 2025 r. Stanisław Bareja miałby 96 lat, ale przeżył tylko 57 (zmarł w 1987 r.) – III RP nie doczekał. W polityce III RP bardzo często dochodziło (i nadal tak jest) do zdarzeń i wypowiedzi jakby żywcem wyjętych z filmów Barei, szczególnie z „Misia". Ważną rolę odgrywał w niej też alkohol. Nigdy nie brakowało więc tego, co w piosence Jana Kaczmarka tworzy „historie porno-brutalne, co krew ścinają i jeżą włos". Najczęściej są to zwyczajne wygłupy, często „złote myśli z bakelitu", czasem przypadki, a czasem wyreżyserowane happeningi, choć zwykle nieudane. Polska polityka miota się między horrorem a farsą z dużym udziałem groteski. Czasem jest to pitawal, czasem imprezy w „pijackim widzie", a czasem tylko prostackie wydurnianie się. I nie jest optymistyczne, że wiele z tych wygłupów, wpadek czy niemądrych żartów dotyczy najważniejszych polityków III RP, szczególnie prezydentów RP Aleksandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego.

NIM PIERWSZA SETA ZASZUMI W GŁOWIE

Polityka w III RP mocno przypomina to, co Wojciech Młynarski opisał, a Wiesław Gołas wyśpiewał w piosence „W Polskę idziemy". Janusz Rewiński, który zmarł 1 czerwca 2024 r., a był także posłem I kadencji (1991–1993), zauważył, że w Sejmie się piło. Jeden z założycieli (w 1990 r.) Polskiej Partii Przyjaciół Piwa, która miała być także żartem z polityki, nie miał na myśli „złotego trunku". Opowiadał, że piło się wprost na sali sejmowej – wódkę. Ktoś, kto pił, zamawiał „otwarty tonik", co znaczyło, że ten napój jest wzmocniony wódką. Niepijący mieli „zamknięty tonik". I nikomu nie przeszkadzało, że w Sejmie I kadencji niektórzy posłowie byli tak „trafieni", że gdy zabierali głos, tylko bełkotali.

Problem alkoholu w polskiej polityce mocno zaistniał w 1999 r. 17 września tego roku podczas uroczystości na cmentarzu polskich żołnierzy w Charkowie (Piatichatkach) ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski wykazywał wręcz upojenie. A wszystko działo się podczas obchodów rocznicy zbrodni katyńskiej, w miejscu, które wymaga wyjątkowej powagi. Prezydent miał zostać upity przez... abp. Sławoja Leszka Głodzia. Tak twierdził Jerzy Dziewulski, doradca ds. bezpieczeństwa Kwaśniewskiego, poseł w latach 1991–2005. „Stoi Jak-40 przygotowany do lotu do Krakowa. Jestem na pokładzie, wchodzi prezydent, siada. [...] Głódź wchodzi, mija mnie tak, jakby mnie nie było, idzie prosto do oficera i mówi: »Polewaj«" – opowiadał w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" Dziewulski. Ówczesny biskup polowy i prezydent mieli „wypić morze whisky w samolocie do Charkowa. Tyle że duchowny miał mocniejszą głowę". Tak podróż na groby polskich oficerów opisał „Gazecie Wyborczej" były premier Leszek Miller: „Nie wiem, który ile wypił, ale po Kwaśniewskim było widać, a po Głodziu nie".

W nocy z 25 na 26 lipca 2001 r. podczas debaty nad sprawozdaniem KRRiT za 2000 r. poseł AWS Jan Maria Jackowski bardzo niewyraźnie mówił, rozciągał sylaby, wymyślił też określenie „oglądasy" na widzów programów telewizyjnych. W połowie listopada 2001 r. podczas oficjalnej wizyty w Erewaniu prezydent Kwaśniewski został zaproszony do tamtejszej destylarni. Gospodarze postanowili użyć prezydenta RP w roli... odważnika. Sprawę opisał były ambasador Polski w Moskwie Stanisław Ciosek: „Na dziedzińcu stała olbrzymia waga. Na końcu jednego z jej kilkumetrowych ramion wisiała szala, na której znajdowało się siedzisko, zaś na końcu drugiego – ogromna beczka. Prezydenta Kwaśniewskiego poproszono, aby usiadł i wzięto się do ważenia głowy naszego państwa, jako odważników używając brandy Ararat. Dwudziestoletniej". Gdy 24 stycznia 2002 r. Sejm miał głosować nad uchyleniem immunitetu Andrzejowi Lepperowi, a sprawozdawcą był poseł SLD Witold Firak, nie pojawił się na sali. Z mównicy padła informacja, że poseł jest „chory" i przebywa w hotelu poselskim. Marszałek Sejmu Marek Borowski poszedł to sprawdzić. Wrócił wściekły i dał do zrozumienia, że nie chodzi o przeziębienie. W nocy z 13 na 14 marca 2003 r. przed budynkiem przy ul. Wiejskiej doszło do awantury z udziałem dwóch pijanych posłów Samoobrony – Jerzego Pękały i Mieczysława Aszkiełowicza. Przypadkowym świadkiem wydarzeń był Donald Tusk. Zapytany przez „Super Express", co widział, odpowiedział: „Pijacka burda urządzona przez dwóch posłów Samoobrony".

KAK ETO, KAK ETO, KAK ETO

20 września 2007 r. Aleksander Kwaśniewski podczas wykładu dla studentów Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki

tłumaczył (po rosyjsku): „Patrzeć w oczy kobietom absolutnie trzeba, być ostrożnym także trzeba, ale problem w tym, że czas biegnie szybciej, niż myślimy. […] Teraz powiem po francusku: savoir-vivre – to znaczy... jak to, jak to, jak to […kak eto, kak eto, kak eto…] jest możliwe". „Z przyjaciółmi pije się tak, by potem nie było tego widać, szczególnie w wystąpieniach publicznych. […] To nie służy formacji, której Kwaśniewski lideruje, ale – jak sam powiedział – może robić, co chce" – skomentował wtedy Józef Oleksy, były premier.

„Czy on się jąka? Czy bełkocze? Czy mówi jakieś nieprawdziwe albo głupie rzeczy?" – pytał na antenie Radia ZET poseł Ruchu Palikota Andrzej Rozenek, komentując podejrzenia, że 12 kwietnia 2013 r. podczas spotkania Europy Plus Aleksander Kwaśniewski był pijany. „Byłem zmęczony, ale nie piłem. Jednoczenie lewicy to męczące zajęcie. Znam ludzi, nawet w rządzie, którzy mają mimikę nawet bogatszą od mojej" – powiedział Kwaśniewski Monice Olejnik. Poseł PiS Zbigniew Girzyński napisał wtedy: „Następna konferencje Europa Plus powinna zacząć się od dmuchania w balonik swoich liderów. Inaczej będą się musieli przekształcić w Klub AA". Andrzej Rozenek tłumaczył, że chodzi o „strach przed Europą Plus. Już się zaczyna przyczepianie prezydentowi Kwaśniewskiemu łatki. Nietrzeźwy, naćpany, a może kosmita? Żałosne". „Fakt" sprawdził, czy podawano wtedy alkohol i stwierdził, że nie. W dodatku otoczenie Kwaśniewskiego objęło go specjalną opieką, żeby nie miał okazji się napić. Tyle że on miał namówić kogoś, żeby ukrył dla niego butelkę w spłuczce w toalecie i kiedy wyszedł rzekomo za potrzebą, wyciągnął flaszkę ze spłuczki i się napił.

21 listopada 2008 r. posłanka PiS Elżbieta Kruk zapytana przez ekipę Polsat News: „Czy jest pani w stanie wskazującym?", odpowiedziała: „Potrafię dobrze pracować, potrafię coś tam, coś tam... czuję się świetnie". Później jej koledzy wyjaśniali, że to przez leki. 12 października 2010 r. pijany poseł PSL Andrzej Pałys przed Sejmem ledwie trzymał się na nogach, bełkotał, a w końcu wsiadł do samochodu, tyle że nie swojego. I mimo stanowczych próśb właściciela nie chciał z niego wyjść. „Ja się nie czuję […źle…]". „Jeeeesteem poooosłem... PSL.... Andrzeeej Pałys" – przedstawił się dziennikarzowi TVN. „To było bardzo nieodpowiedzialne zachowanie. Przepraszam wyborców PSL i wyborców kolegi Pałysa" – powiedział Adam Jarubas, wtedy marszałek województwa i prezes zarządu wojewódzkiego PSL w Świętokrzyskiem.

12 stycznia 2022 r. w Sejmie odbywała się debata na temat wotum nieufności wobec ministra sportu Kamila Bortniczuka. W pewnym momencie na posiedzeniu pojawił się poseł Koalicji Obywatelskiej Bartłomiej Sienkiewicz. Nie zabawił tam jednak długo, bo natychmiast po zwróceniu się w stronę Borysa Budki szef klubu KO zareagował i wyprowadził kolegę z sali. Po drodze jednak były szef MSWiA potknął się o nogi posła Piotra Borysa. Sienkiewicz

> W polityce III RP ważną rolę odgrywał alkohol. Nigdy nie brakowało więc tego, co w piosence Jana Kaczmarka tworzy „historie porno-brutalne, co krew ścinają i jeżą włos"

miał jeszcze kontakt z posłanką KO Marzeną Okłą-Drewnowicz. Gdy wychodził, będąc już niemal przy drzwiach wyjściowych, postanowił przybić z nią piątkę, sprawiło mu to jednak trochę kłopotów. 20 lutego 2025 r. po interwencji marszałka Szymona Hołowni z sali sejmowej wyprowadzony został poseł Nowej Nadziei Ryszard Wilk. Następnego dnia wyjaśnił on, że zmaga się z chorobą alkoholową. 24 listopada 2025 r. marszałek Włodzimierz Czarzasty zakazał sprzedaży alkoholu w budynkach sejmowych.

ZŁOTE MYŚLI Z BAKELITU

W polskiej polityce po 1989 r. najwięcej jest żenujących wypowiedzi. Prezydent Lech Wałęsa stwierdził po wizycie na zamku w Windsorze: „Łóżko było takie wielkie, że nie mogłem Danuśki znaleźć". Podczas dyskusji w studiu telewizyjnym Wałęsa przywitał się ze swoim rywalem w wyborach prezydenckich w 1995 r. Aleksandrem Kwaśniewskim słowami: „Przecież pan wszedł jak do obory i ani be, ani me, ani kukuryku". W sierpniu 1997 r. prowadzący obrady marszałek Sejmu Józef Zych rzucił do swojego partyjnego kolegi Tadeusza Sytka: „No, stary, no ale co mi tu, ku...a, przynosisz?". Sądził, że mikrofon jest wyłączony. 16 maja 2003 r. w wywiadzie dla „Super Expressu" Renata Beger, posłanka Samoobrony w latach 2001–2007, powiedziała, że „lubi seks jak koń owies" i że „ma kurwiki w oczach". Gdy zasiadała w komisji śledczej ds. afery Rywina, niektórzy jej członkowie zasłynęli z oryginalnego lansowania się.

Np. posłanka SLD Anita Błochowiak pytała Adama Michnika o różne szczegóły dotyczące jego rozmowy z Lwem Rywinem. „I pamiętałaby pani, w jakich Lew Rywin był skarpetkach?" – ripostował Michnik. „No bo skarpetki..." – broniła się Błochowiak. Michnik na to: „Kolorowe skarpetki były symbolem walki ze stalinizmem. Wszyscy bikiniarze chodzili w kolorowych skarpetkach". „Mówi się, że pedały też" – odpowiedziała na to posłanka SLD. 5 stycznia 2005 r. Józef Zych, wtedy wicemarszałek Sejmu, zaplątał się: „Nie po raz pierwszy staje mi..., przychodzi mi stawać przed izbą" [brawa].

8 grudnia 2010 r. prezydent Bronisław Komorowski podczas spotkania w Białym Domu z Barackiem Obamą oświecił go: „Kiedy wybieramy się na dalekie polowanie, ważne jest, żeby nasze domy, nasze żony i dzieci były bezpieczne. Wtedy poluje się lepiej". „Swojej żonie należy ufać, ale trzeba sprawdzać, czy jest wierna" – stwierdził też. Towarzysząca mu tłumaczka użyła określenia „like with your wife" („jak z pana żoną"). Wyszło skandalicznie.

Z kolei minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski stworzył nowe państwo – San Escobar. Nazwa ta padła w trakcie wywiadu dla mediów po powrocie szefa polskiej dyplomacji z obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ w 2017 r. „Miałem okazję, no, do 20 spotkań odbyć z różnymi ministrami, z niektórymi, jak na Karaibach, po raz pierwszy w historii naszej dyplomacji, np. z takimi krajami jak San Escobar albo Belize". 30 kwietnia 2015 r. w Stargardzie Szczecińskim Bronisław Komorowski mówił: „Wy plujecie jadem nienawiści, żółcią polityczną. [...] I krowy przestaną się doić mlekiem. Kury, te słynne kury z Mazur, też przestaną się nieść". Z kolei 16 listopada 2016 r. Komorowski ujawnił swoją filozofię rządzenia: „Czasami trzeba walić dechą w łeb, jak zasłużyli. To jest takie towarzystwo, że się cofnie tylko wtedy, jak dostanie tym cepem prawdy w łeb". Natomiast 5 marca 2013 r. Stefan Niesiołowski w programie Moniki Olejnik podał przepis na zwalczanie niedożywienia: „Ja pamiętam, jak ja chodziłem do szkoły, to wtedy, jak ktoś miał bułkę, kawałek czekolady, to było: »Daj gryza, daj kęsa«. Myśmy szczaw cały wyjedli z nasypu i wszystkie śliwki tzw. ulęgałki, mirabeli żeśmy jedli. Dzisiaj te wszystkie gruszki, śliwki ulęgałki leżą, nikt tego nie zbiera". 6 stycznia 2016 r. Ryszard Petru dokonał wielkiego odkrycia: „Rozpoczynamy święta. Po świętach, przypomnę, jest sześciu króli, tak". Równie odkrywcza postanowiła być Joanna Scheuring-Wielgus, która 1 października 2016 r. ujawniła: „Jeżeli tak jest [że kobiety muszą walczyć o prawa], to rząd i parlament staje się dyktaturą, a państwo staje się więzieniem. Dość dyktatury kobiet! Dość dyktatury kobiet!".

> W polskiej polityce po 1989 r. najwięcej jest żenujących wypowiedzi. Prezydent Lech Wałęsa stwierdził po wizycie na zamku w Windsorze: „Łóżko było takie wielkie, że nie mogłem Danuśki znaleźć"

Wszystkich przebiła jednak była premier Ewa Kopacz, która 6 lutego 2019 r. odkryła: „Wtedy, kiedy jeszcze dinozaury były, a ludzie nie mieli żadnych strzelb, nie mieli żadnej broni nowoczesnej, która pozwoliłaby je zabić, to wie pani, co oni robili? Rzucali kamieniami w tego dinozaura. I wiadomo, że od jednego rzucenia tym kamieniem dinozaur na pewno nie padł. Ale jeśli przez miesiąc, dwa miesiące rzucali tymi kamieniami, to go na tyle osłabili, że mogli go potem pokonać". W cieniu Kopacz pozostał Ryszard Petru, który w marcu 2019 r. ujawnił: „Przypomnę – przed wojną był taki moment, że Józef Piłsudski po 1935 r. był zamach majowy i potem to, co się działo do 1939 r., było swego rodzaju nagięciem mocnym".

HAPPENINGI I WYGŁUPY

Po 1989 r. nie zabrakło w polskiej polityce happeningów i zwykłych wygłupów. 17 września 1997 r. w Ostrzeszowie prezydent Aleksander Kwaśniewski wraz

z Markiem Siwcem wysiedli z prezydenckiego śmigłowca. Siwiec, wysiadając, najpierw uczynił znak krzyża, po czym Kwaśniewski spytał: „Czy minister Siwiec ucałował już ziemię kaliską?”. Na to Siwiec klęknął i ucałował ziemię w sposób podobny, jak zwykł to czynić papież Jan Paweł II, gdy lądował

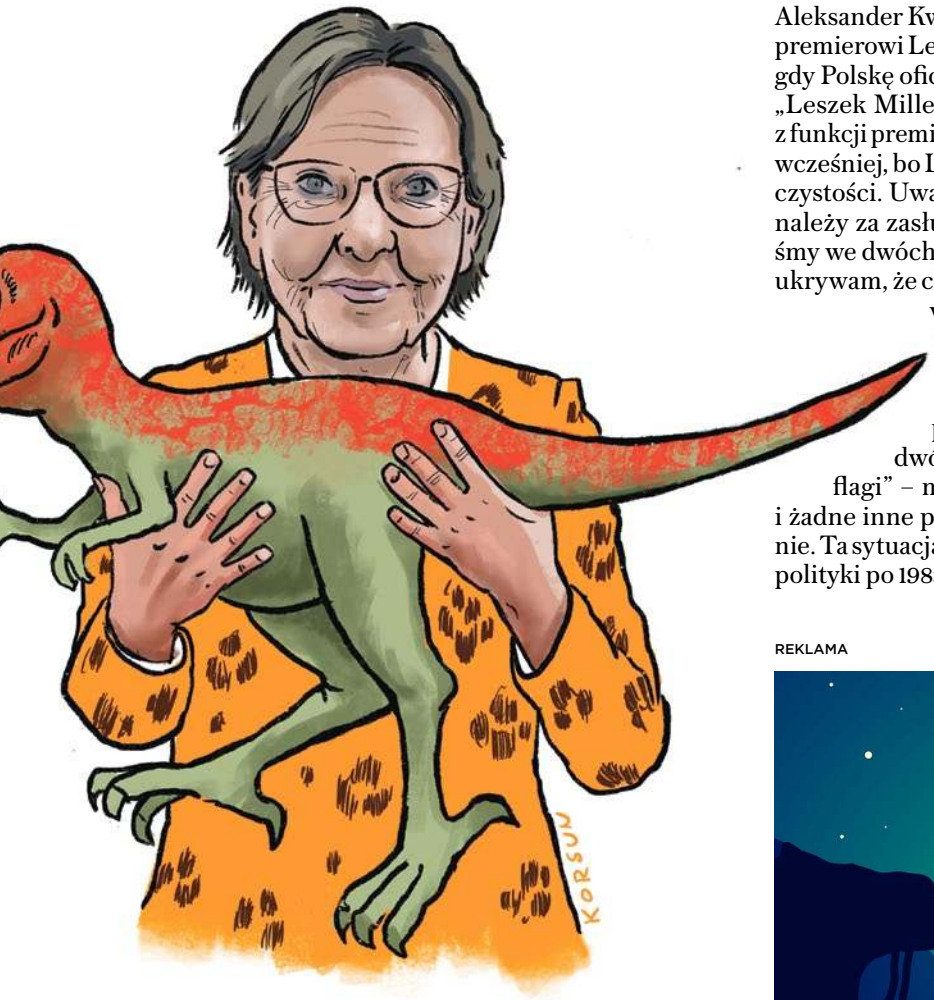

w jakimś kraju z pielgrzymką. 9 października 2014 r. premier Ewa Kopacz zagubiła się na lotnisku w Berlinie. Kanclerz Angela Merkel musiała ją wręcz przestawiać, żeby trafiła na właściwą drogę, gdy szły po czerwonym dywanie. Z kolei 15 sierpnia 2015 r. Kopacz wzięła udział w obchodach Święta Wojska Polskiego. Zanim rozpoczęła się defilada, pomyliła kierunki i postanowiła iść nie w tę stronę, w którą powinna. Na właściwą drogę musiał ją skierować towarzyszący jej oficer.

W marcu 2015 r. w japońskim parlamencie Bronisław Komorowski wszedł na siedzenie przed mównicą. Japończycy go stamtąd ściągnęli i wtedy powiedział do gen. Stanisława Kozieja: „Chodź, szogunie, także tu”. A potem oglądał zamocowane na mównicy mikrofony. Jego kancelaria twierdziła, że prezydent wszedł na specjalny podest, a nie na siedzenie.

28 stycznia 2016 r. Joanna Scheuring-Wielgus pytała z mównicy sejmowej: „Gdzie jest pan poseł Terlecki?”. Sala eksplodowała śmiechem, gdyż wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki akurat prowadził obrady, a fotel marszałka jest bezpośrednio za mównicą.

28 kwietnia 2009 r. w wywiadzie dla PAP były prezydent Aleksander Kwaśniewski odniósł się do „wyrywania flagi” premierowi Leszkowi Millerowi 1 maja 2004 r. w Dublinie, gdy Polskę oficjalnie wprowadzano do Unii Europejskiej. „Leszek Miller poinformował, że 1 maja składa dymisję z funkcji premiera. Termin dymisji został wyznaczony dużo wcześniej, bo Leszek bardzo chciał uczestniczyć w tej uroczystości. Uważałem, że Millerowi się to bezdyskusyjnie należy za zasługi w procesie negocjacyjnym. Pojechaliśmy we dwóch, bo była to uroczystość ceremonialna i nie ukrywam, że chciałem w tym uczestniczyć. […] Flagi były wciągane na maszt przez żołnierzy irlandzkich, a przekazywane przez chłopców. Jedyna rzecz, która mogła rozśmieszać to fakt, że flagi były wręczane już złożone poszczególnym osobom, a nam wręczono dwóm. Z tego powstał mit wyrywania sobie flagi” – mówił Kwaśniewski. Tyle że to nie był mit i żadne inne państwo nie było reprezentowane podwójnie. Ta sytuacja najlepiej pokazuje „oryginalność” polskiej polityki po 1989 r.

REKLAMA

Homo sapiens na drodze do samounicestwienia

Samce tracą wolę obrony własnego terytorium, u samic zanika instynkt macierzyński. Osobniki przestają się rozmnażać i w ogóle zanikają wśród nich zachowania społeczne. To o myszach z pewnego słynnego eksperymentu. Ale czy nie da się powiedzieć tego samego o dzisiejszych ludziach? Brzmi znajomo. Homo sapiens traci rozum. Postępowanie współczesnego człowieka przeczy wszystkiemu, co wykształciła w nas natura i ewolucja

PIOTR GURSZTYN

Konserwatyści i tradycjonaliści od dawna ubolewali nad upadkiem człowieka i jego cywilizacji. Piętnowali nowe obyczaje jako szkodliwe – takie, jakie niszczą więzi społeczne. Zwracali uwagę na zło wynikające z porzucania religii i tradycji. Do tej pory krytyka ta funkcjonuje w kategoriach kulturowych. Zmiany i szkody dotyczą cywilizacji (bądź kultury – jak kto woli). Tymczasem obecnie, w XXI w., zaczęły się ujawniać zjawiska, które zwiastują, że zatracamy się jako gatunek biologiczny.

Homo sapiens, stworzenie z rzędu ssaków naczelnych, krewniak małp człekokształtnych, różniący się jednak od nich rozumem, kulturą i duszą, wchodzi w stadium biologicznej autodestrukcji. Na masową skalę pojawiają się zjawiska niezgodne z naturalnym zachowaniem naszego gatunku. Ludzie tracą przyrodzone instynkty. Masowo zanika instynkt rozmnażania się, łączenia się osobników płci przeciwnej, zachowań wspólnotowych, a nawet przetrwania.

FUNDAMENTY GATUNKU

Już dawno temu, bo w 1945 r., amerykański antropolog George P. Murdock sporządził listę zjawisk, które są wspólne dla każdej znanej kultury ludzkiej. Od wspólnot pierwotnych, np. nadal żyjących w warunkach epoki kamiennej Papuasów, po najbardziej rozwinięte społeczeństwa. Lista jest długa, ale trzeba ją przytoczyć, aby zrozumieć naszą ludzką kondycję: biesiady rodzinne, chirurgia, przekazywanie darów, edukacja, eschatologia, etnobotanika, etyka, etykieta, folklor, fryzury, gesty, gotowanie, gościnność, grupy krewniacze, gry, handel, higiena, imiona własne,

język, kalendarz, kosmologia, magia, małżeństwo, medycyna, nomenklatura pokrewieństwa, objaśnianie snów, obrzędy pogrzebowe, obyczaje związane z dojrzewaniem, ofiary błagalne, organizacja społeczeństwa, pielęgnowanie noworodków, podział na grupy wiekowe, podział pracy, pojęcie duszy, polityka populacyjna, położnictwo, pomieszczenia mieszkalne, pory posiłków, powitania, praca zespołowa, prawo, prawa posiadania, reguły spadkobrania, reguły określające zachowanie podczas ciąży, restrykcje seksualne, rozniecanie ognia, rytuały religijne, składanie wizyt, system władzy, sztuka dekorowania, tabu kazirodztwa, tabu pokarmowe, taniec, tkactwo, upiększanie ciała, wiara w uzdrawianie, wróżby, wytwarzanie narzędzi, zabobonna wiara w szczęśliwy traf, zaloty, zawody sportowe, zróżnicowanie pozycji społecznej, żarty.

Na tej liście znajdują się zjawiska, które można uznać za nieistotne, np. magia czy wróżby. Ale jest kilka elementów, które należy uznać za fundamentalne dla naszego gatunku, a które dzisiaj są kwestionowane. Przede wszystkim chodzi o sprawy dotyczące naszego życia płciowego i więzi rodzinnych. Wygląda na to, że przedstawiciele gatunku *Homo sapiens* uznali, iż są mądrzejsi nie tylko od tradycji, lecz także od natury i mogą zmienić reguły dotyczące rozmnażania oraz relacji międzypłciowych. A także podważyć zasady życia wspólnotowego – mimo tego, że choć jesteśmy ogromnie dumni z osiągnięć naszej cywilizacji, to w sensie biologicznym jesteśmy zwierzętami stadnymi. Czyli że niemal na pstryknięcie palcem można unieważnić coś, co kształtowało się przez co najmniej setki tysięcy lat.

Słynny biolog Edward O. Wilson badał i opisywał zwierzęcą część naszej natury. Był wyznawcą tezy, że nie różnimy się aż tak bardzo od innych stworzeń, jak nam samym się wydaje. Prawie 50 lat temu napisał kilka zdań, które wtedy były czymś oczywistym: „Trudno przypuścić, aby mogła powieść się socjalizacja ludzi do całkowicie odmiennego sposobu życia grupowego, takiego jaki spotykamy u ryb, ptaków, antylop czy gryzoni. Ludzie mogą świadomie imitować tego rodzaju organizacje społeczne, lecz będą to sztuczne twory realizowane wbrew głębokim, emocjonalnym odruchom i trwające nie dłużej niż jedno pokolenie. Wprowadzenie na serio, choćby w najogólniejszych zarysach, społecznego systemu właściwego jakiemuś gatunkowi spoza grupy naczelnych oznaczałoby obłęd w dosłownym znaczeniu tego słowa. Osobowości wkrótce uległyby rozkładowi, wzajemne stosunki – dezintegracji, a reprodukcja – zahamowaniu".

Czy ostatnie zdanie nie brzmi niepokojąco znajomo? Przecież mamy globalną epidemię zaburzeń psychicznych, relacje społeczne przegrywają z egoistycznym indywidualizmem, a o reprodukcji w większej już części społeczeństw naszego globu nie ma nawet co mówić, bo już jej tam nie ma. Od czasu, gdy Wilson pisał swoje uwagi, nie próbowano oczywiście sztucznie wprowadzać w nasze życie reguł typowych dla antylop czy gryzoni, ale zakwestionowane zostały fundamentalne punkty z listy Murdocka, zakłócając tym samym system społeczny „właściwy" naszemu gatunkowi. Chodzi przede wszystkim o restrykcje seksualne, instytucję małżeństwa, grupy krewniacze, a nawet tabu kazirodztwa – czemu w naszym polskim przypadku dał twarz profesor z Krakowa – Jan Hartman.

PANDEMIA SZALEŃSTWA

Starożytni Grecy ukuli pożyteczne słowo „hybris", oznaczające bezgraniczną arogancję, pychę i lekceważenie praw boskich oraz ludzkich. Dzisiejsi ludzie zapomnieli, że naga małpa – całkowicie bezbronna, bo pozbawiona kłów i pazurów – osiągnęła sukces ewolucyjny jedynie dzięki temu, że wytworzyła mechanizmy solidarnej współpracy w mocno związanej ze sobą grupie krewniaczej.

Coś, z czego jesteśmy szczególnie dumni, czyli nasz mózg, sprawił, że poród nowego człowieka z jego wielką głową jest dużo trudniejszy niż u innych gatunków. Także dojrzałość płciową i umysłową ludzie osiągają dużo później niż inne stworzenia. Te wszystkie okoliczności wymagają opieki nad rodzącymi kobietami i długo pielęgnowanym potomstwem. A więc zawsze w grupie, zawsze współpraca, zawsze bliskie więzi. To zasadnicza część naszej natury.

W czasach dzisiejszych wygód, indywidualizmu i egocentryzmu brzmi to jednak niemodnie. Obecnie rzeczywiście wygodniej żyje się bez zobowiązań. Ale od razu widać, że tylko do czasu. Znakiem tego jest wszechświatowa epidemia zaburzeń psychicznych – właściwie już pandemia. To nie jest pojęcie publicystyczne, mówią o tym lekarze. I nie jest też tak, że dopiero teraz – wraz z postępem psychiatrii i psychologii – ludzie nauczyli się diagnozować zaburzenia, których wcześniej nie zauważali. „Szaleństwo", jak nieprecyzyjnie diagnozowano choroby umysłowe, było rozpoznawane od zawsze.

Wzrost liczby samobójstw jest najlepszym wskaźnikiem. Dzieje się to w epoce, gdy ludzkość żyje w największym dobrobycie i bezpieczeństwie w swych dziejach. Wiadomo, że jeszcze niedawno ludzie kurczowo trzymali się życia. Mimo skrajnie ciężkich warunków egzystencji, samobójstwa były rzadkością. W naszym kręgu kulturowym od XVI w. niemal wszędzie prowadzono księgi parafialne, które są niezłym źródłem do badań demograficznych, w tym dotyczących np. przyczyn śmierci. Od XVIII w. państwa europejskie zaczęły zaprowadzać wszechogarniającą biurokrację. Ona też daje nam dane na temat kondycji psychofizycznej poprzednich pokoleń. Wniosek jest oczywisty: pandemia chorób psychicznych jest fenomenem czasów naszych, a nie tamtych.

I nie jest zagadką, z czego ona się bierze. Pierwszy powód: ludzie się izolują. Drugim stają się smartfony, social media i wirtualna rzeczywistość, które wzmagają poprzedni czynnik. No i zjawisko nie do przecenienia – nadmiar bodźców. Jednego dnia każdy z nas jest bombardowany taką liczbą informacji i sygnałów, jakiej nasi przodkowie nie zaznawali przez wiele miesięcy lub nawet lat.

Już w 1978 r. Wilson pisał: „Nie ma co się dziwić, że głównym źródłem współczesnego znerwicowania jest kryzys tożsamości i że miejska klasa średnia tęskni do powrotu prostszego sposobu życia". Niestety nie dość, że ta tęsknota nie została zaspokojona,

Fot. Shutterstock

to rozwój naszego świata poszedł dokładnie w odwrotną stronę – w kierunku oderwania człowieka nie tylko od tradycji, lecz także od jego natury i otaczającej nas przyrody (której jesteśmy przecież częścią). Tak więc dzisiaj problem „znerwicowania" (a w istocie powszechnych zaburzeń psychicznych) dotyczy wszystkich klas. Także niższych i wyższych oraz tych, którzy mieszkają poza miastami.

MYSI RAJ

„Płeć zajmuje centralne miejsce w biologii człowieka. Jest zjawiskiem przenikającym wszelki aspekt naszej egzystencji" – pisał ten sam naukowiec. W ostatnim czasie uderzono w to „centralne miejsce", upowszechniając koncept „płci kulturowej". Przekonując także, iż tożsamość płciowa jest sprawą względną, którą można dowolnie kształtować i zmieniać bez ponoszenia znaczących kosztów.

Nauka nie ma żadnych wątpliwości, że przekazywanie swych genów to cel istnienia wszystkich organizmów żywych, w tym także *Homo sapiens*. Co więc oznacza zapaść demograficzna, która w ostatnich latach dotknęła wszystkie kontynenty świata z wyjątkiem Afryki? Wiadomo, że nie jest to kwestia czynników ekonomicznych, bo w 2025 r. pierwsza trójka krajów świata z najwyższą dzietnością to Czad (5,94), Somalia (5,91) i Republika Kongo (5,90). Ale i tam wskaźnik dzietności spada z roku na rok.

Coraz więcej państw świata ma wskaźnik dzietności poniżej 2,0, czyli minimalnego poziomu zastępowalności pokoleń. W Polsce wynosi on obecnie 1,31. Na dnie listy krajów z najniższym wskaźnikiem zastępowalności pokoleń są kraje wschodnioazjatyckie, takie jak Korea Południowa (0,75), Tajwan (0,86) i Singapur (0,96). A zdawało się, że zdyscyplinowane, redukujące indywidualizm społeczeństwa dalekowschodnie będą odporne na regres, który najpierw dotknął kraje postchrześcijańskiego Zachodu.

Ale przecież to nie koniec sensacji w tym obszarze. Wymierają Chiny (1,02) i wchodzą na tę drogę Indie (1,94). Zaczęły wymierać kraje muzułmańskie: Zjednoczone Emiraty Arabskie (1,21), Turcja (1,62), Tunezja (1,80). Rządzony przez ajatollahów Iran ma wskaźnik 1,67. Tamtejszy islamistyczny rząd od dawna prowadzi różne kampanie pronatalistyczne. Udało mu się na chwilę podnieść wskaźnik do poziomu powyżej 2,0, ale potem spadł. Cała Ameryka Łacińska nie zdążyła stać się bogata, a i tak wskaźnik dzietności spadł do poziomu średniego dla całego kontynentu – 1,78 (razem z państwami Ameryki Środkowej i Karaibami).

> Ludzie tracą przyrodzone instynkty. Masowo zanika instynkt rozmnażania się, łączenia się osobników płci przeciwnej, zachowań wspólnotowych, a nawet przetrwania

Niechęci do rozmnażania się towarzyszy zanik umiejętności nawiązywania relacji między przedstawicielami obu płci. Jeśli kiedyś problemem był promiskuityzm, to związane z tym zło blaknie przy dzisiejszej patologii. Czyli pornografii, bo ona sprawia, że ludzie tracą potrzebę i umiejętność nawiązywania relacji z płcią przeciwną.

Nawet niektórzy wyznawcy postępu zaczynają zauważać te przejawy regresu człowieczeństwa. Na razie ich uwagę przyciągają rzeczy drugorzędne, czyli zły wpływ wirtualnej rzeczywistości, smartfony itp. To wycinkowe rozpoznanie problemu, ale dobre i to. Bo jest nadzieja, że dostrzegą też inne, ważniejsze przyczyny degradujących nas patologii.

Zanika instynkt rozmnażania, znika też chęć do życia – i to mimo niebywałego komfortu i bezpieczeństwa. Ludziom nie chce się żyć. Eutanazja jest już legalna w kilkunastu państwach świata. Wprowadzono ją z najpierw z wieloma zastrzeżeniami, że może dotyczyć tylko pacjentów w stanie terminalnym. Regały stopniowo były luzowane zarówno pod względem przepisów, jak i praktyki. Pod stan terminalny podciągano sytuacje wątpliwe, np. wynikające z załamania psychicznego. Szczególny niepokój budzi kanadyjski program MAID, który jest oceniany jako szerokie otwarcie możliwości popełniania samobójstwa przy asyście lekarza, łącznie z projektem dopuszczenia doń osób cierpiących na choroby psychiczne. W latach 2016–2023 w ramach tego programu odebrano życie ponad 60 tys. ludzi, co stanowi 5 proc. wszystkich zgonów w tym okresie.

John B. Calhoun to amerykański zoolog, który w 1972 r. przeprowadził niesamowity eksperyment z drugocącym finałem. Zbudował wielką klatkę, gdzie wpuszczono osiem myszy – cztery pary. W klatce zwierzętom nie groziły żadne niebezpieczeństwa, miały nawet zapewnioną opiekę weterynaryjną. Chodziło o stworzenie idealnych warunków do życia i reprodukcji. Był tam nieograniczony dostęp do pożywienia, wody i wszystkiego, o czym marzą myszy. Na początku eksperymentu nastąpiła eksplozja rozmnażania. Po ponad 500 dniach populacja osiągnęła maksimum, tj. 2200 myszy. W klatce było jeszcze dosyć miejsca, bo przewidziano ją dla 3840 osobników. Ale w tym momencie zaobserwowano pierwsze zachowania patologiczne – u samców zanikała umiejętność obrony terytorium, natomiast samice stały się bardziej agresywne, lecz traciły instynkt macierzyński. Wyrażało się to np. odrzucaniem własnego potomstwa. W kolejnych dniach było już tylko gorzej. Myszy całkowicie straciły instynkt obrony terytorium i potomstwa. Zanikały zachowania społeczne. Zwierzęta zajmowały się głównie zaspokajaniem potrzeb życiowych i czyszczeniem futra. Robiły to jednak samotnie. W pewnym momencie przestały nawet kopulować i tym samym rozmnażać się. W ciągu kolejnych kilkuset dni zdechły wszystkie.

Opowieść o mysim raju robi furorę w internecie. Jest traktowana jako apokaliptyczna przypowieść o zepsuciu rodzaju ludzkiego i przepowiednią jego końca. Czyżby ludzie sami zgotowali sobie eksperyment Calhouna?

My, spady po PRL, i ta dzisiejsza młodzież

DARIUSZ MATUSZAK

To mogłyby być bajania i mniemania dziadersa, ale niestety badania naukowe potwierdzają, że „ta dzisiejsza młodzież" pod wieloma względami jest jakaś „niedorobiona", „gorsza" od tej z PRL

Te narzekania, wzajemne żale i pretensje są tak stare jak rozum ludzkości. Ich udokumentowanie znajdziemy w najdawniejszych księgach świata. W „Iliadzie" Homera młody Achilles zwracał się do króla Achajów Agamemnona, „pijaka o psim wzroku": „Nie będziesz mi rozkazywał, stary! Ja tu nie po to jestem, żeby tobie służyć". Najmłodszy z wielkich wodzów pod Trają, Diomedes, tak: „Królu! Nie gniewaj się. Tyś mnie niedawno przed Achajami za tchórza miał i za młodego...Lecz ja ci powiadam: głupi jesteś, choć stary"! W „Odysei" Antinoj rzuca Mentorowi: „Głupi starcze, nie drażnij nas radami, bo my tu jesteśmy panami". 800 lat później (choć w te samej epoce co historia z „Iliady" i „Odysei") w „Eneidzie" Wergiliusza młody Turnus puszy się przed starym senatorem Latynów Drancesem: „Ty, stary gaduło, zawsze przeciw młodym! Zawsze tylko słowa, nigdy czyny! My, młodzi, mamy siłę – wy tylko język".

W Piśmie Świętym w Księdze Przysłów czytamy: „Jest pokolenie, co ojcu swojemu złorzeczy, a matce swojej nie błogosławi. Jest pokolenie, co za czyste się uważa, a nie obmyło się ze swych nieczystości. Jest pokolenie – o, jak wyniosłe jego oczy i jak podniesione jego powieki! Jest pokolenie, którego zęby są mieczami". Czasami kara za taki brak szacunku bywa sroga jak w Drugiej Księdze Królewskiej, gdy młodzi chłopcy szydzący z proroka Elizeusza zostają rozszarpani przez niedźwiedzie. Św. Piotr Apostoł w swym pierwszym liście do chrześcijańskich wychodźców rozproszonych w Poncie, Galacji, Kapadocji, Azji i Bitynii nawoływał więc: „Młodsi, bądźcie poddani starszym! Wszyscy zaś wobec siebie wzajemnie przyobleczcie się w pokorę...".

DWIE REWOLUCJE, CZYLI POLSKA SPECYFIKA

Oczywiście chodzi o wielki konflikt pokoleń, o którym i pierwszy z naszych pisarzy – Mikołaj Rej – w „Zwierciadle", części „Żywota człowieka poczciwego", swym zgrzebnym językiem prawił tak: „A jakoż tedy między temi dwiema stronami wielka niezgoda bywa? Bo jedni drugich nie cierpią, jedni drugim złorzeczą, jedni drugich przeklinają, jedni drugim złego życzą. Starym się zda, iż młodzi zbyt są hardzi, zbyt są butni, zbyt są swawolni; a młodym się zda, iż starzy zbyt są sztywni, zbyt są uparci, zbyt są skąpi. I tak jedni drugim nie folgują".

Żadna więc nowina, że także w naszych czasach ów konflikt się toczy, ale w Polsce jest on pod wieloma względami wyjątkowy. Młodość z reguły przegrywa z dojrzałością i choćby dlatego pieczę nad państwem sprawują m.in. senatorowie i starostowie, a nie młodziankowie, czy jak by ich nazwać. Rządy starców bywają jednak przekleństwem, jak w epoce Breżniewa u schyłku Związku Sowieckiego czy za prezydentury Bidena, kiedy prawie wszyscy liderzy demokratów mieli ponad 80 lat.

A na czym polega ta nasza wyjątkowość? Otóż współcześni starzy przeżyli dwie rewolucje: ustrojową, czyli obalenie komuny, i technologiczną. Młodzi – żadnej. Oni się urodzili w tym nowym, wspaniałym świecie i nie zaznali innego. Tak czy owak pokolenie PRL uważa, że jest lepsze niż dzisiejsi 30–40-latkowie, nie mówiąc o 20-latkach. I nawet jeśli są to starcze rojenia, to niepozbawione podstaw.

MURZYNEK BAMBO I TRZEPAK

Zacznijmy od podróży sentymentalnej w świat wyidealizowanego dzieciństwa. To my, spady po PRL, w młodych latach zażyliśmy więcej wolności i niewoli, więc rozpoznajemy tę ostatnią i wiemy, że jak ktoś mówi, iż chce walczyć z mową nienawiści i dezinformacją, to zwyczajnie łże, bo chodzi o cenzurę jak za komuny i tłumienie swobody wyrażania poglądów. Mogliśmy używać znacznie więcej słów – takich, które dziś nie przecisną się zindoktrynowanym przez ściśnięte strachem gardło. Np. możemy recytować wiersz Tuwima: „Murzynek Bambo w Afryce mieszka/Czarną ma skórę ten nasz koleżka".

Wolność naszego dzieciństwa – choćby w wymiarze fizycznym – polegała m.in. na bieganiu do zziajania całymi dniami po wsiach i osiedlach, paleniu ognisk, biciu się na kije i pięści – bez wariatek co zaraz kuratora wezwą. I tylko mama albo sąsiadka rzuciła nam przez okno jakąś bułkę czy jabłko.

My mogliśmy używać znacznie więcej słów – takich, które dziś nie przecisną się zindoktrynowanym przez ściśnięte strachem gardło. Np. możemy recytować wiersz Tuwima: „Murzynek Bambo w Afryce mieszka/Czarną ma skórę ten nasz koleżka"

Czasami do naszych band przyłączały się dziewczyny, ale one miały swój świat, plotły wianki (serio), a dmuchawce, latawce, wiatr były jak najbardziej prawdziwe. Podział na dziewczyny i chłopaków wynikał z naturalnych różnic fizycznych i temperamentu, bo nikt wtedy nie tkwił w odmętach zaordynowanego płciowego konstruktu społecznego. Zresztą razem jeździliśmy na wrotkach, łyżwach, sankach, wspólne były wyprawy rowerowe, podobnie jak gry w chowanego, zbijaka czy w gumę, w którą zawsze wygrywały.

Każda budowa, każdy trzepak – w akrobatyce dziewczyny były świetne – rozpadający się mur, porzucona rura, opuszczone torowisko czy ruina stanowiły plac zabaw. Było jak w dialogu przywołanym przez kogoś w internecie: „Mamo, idę z chłopakami do kamieniołomów. Dobra, tylko wróć na kolację na siódmą". Nikt nie zabraniał jechać ciągniętym przez konia wozem na samej górze wielkiej, 5-metrowej kupy siana. A jak ktoś spadł i się połamał, to nie zbiegały się stada sępów – młodych, ambitnych reporterów na tropie. Im większa rana, tym większa chwała.

Nie mieliśmy żadnej smyczy w postaci telefonu, co najwyżej klucz do domu zawieszony na szyi. Bez kontroli owych wielce wykształconych, pedagogów, psychologów, kuratorów, samozwańczych ekspertów, bez obaw rodziców, których głowy dziś są wypełniane wszystkimi możliwymi nieszczęściami świata i tym, że byle zdarzenie może się skończyć odebraniem im prawa do własnych dzieci.

GENERACJA WILKÓW

To doświadczenie swobody było zresztą powszechne także w innych krajach. W 2017 r. w angielskich mediach społecznościowych pojawił się wpis, który krążył potem po świecie. „Nie zadzieram z nikim powyżej 42. roku życia. Oni są inaczej zbudowani. Ich rodziny formalnie przeszkoliły ich w czymś, zanim skończyli dwa lata. Mieli klucze do domu w wieku pięciu lat, byli w stanie przygotować pełne posiłki i w wieku dziewięciu lat byli prawie samowystarczalni. Każdego letniego dnia wychodzili z domu o świcie i nie wracali aż do zmroku, i przeżyli cały dzień na wodzie z węży ogrodowych i przy odrobinie szczęścia, kanapce... Znają 15 różnych sposobów usuwania plam krwi z ubrań. To ostatnia prawdziwa i niebezpieczna generacja".

Świetny autor powieści fantasy Jacek Piekara widzi to tak: „Byliśmy pokoleniem wilków. Żyliśmy jak drapieżniki – w podwórkowej hordzie rządzącej się własnymi prawami... Dzieciństwo w PRL uczyło przetrwania, nie delikatności".

Zaznaliśmy równości, i to nie tej zadeklarowanej, socjalistycznej czy obecnej europejskiej i postępowej, tylko prawdziwej i czystej. Profesor, lekarz, adwokat, nauczycielka byli są-

siadami robotnika, woźnej, dozorcy, a ich dzieciaki – chłopaki i dziewczyny – szaleli razem. Wszytko mogło być zabawką, więc potrafiliśmy wszystko składać i rozkładać, naprawiać i z radością psuć. To i budowa karmnika dla ptaków nie była życiowym dramatem jak dla pani Basi od szkół Nowackiej (ona akurat jest z PRL, ale z partyjnej arystokracji, więc w dzieciństwie rzeczywiście mogły ją spotkać przykre rzeczy). Wszystko musieliśmy wymyślić sami, wszystko sami zapamiętać, jak choćby taką wyliczankę:

Ene due rike fake,
torba borba ósme smake,
deus meus kosmateus,
hokus-pokus czary-mary,
hokus-pokus rety pety,
baki szpenbaki eus beus,
kosz na deus dyna baks,
a morele bęc!

Zaradność, umiejętność niezgubienia się w lesie, czytania papierowych map, udzielenia pierwszej pomocy na wypadek zranienia czy złamania były powszechne, jakbyśmy mieli to w genach. Nie było dzieciaków i młodych z traumami, obciążeniami, ze starganymi sercem i rozumem, więc nie trzeba było również tabunów specjalistów od psychologii czy psychiatrii dziecięcej. Tak, wiem – zaraz powiedzą, że cierpienia i ból skrywano albo nie potrafiono ich rozpoznać. Bzdura. Nie było takiego zjawiska jak problemy psychiczne młodych. Poza jakimiś indywidualnymi, niezwykle rzadkimi przypadkami to po prostu nie istniało.

Z dzieciństwa wchodzono w nastoletniość na pełnej świeżości i nawet jeśli do głosu dochodziły prawa hormonalne, to szacunek wobec starszych, ich autorytetu był niezbywalną częścią stylu życia czy całej kultury. Tych, którzy o tym zapominali, nie rozszarpywały niedźwiedzie, ale strzał w ucho od wuefisty czy sąsiada przywracał harmonię świata. Żadne dziunie psycholożki nie bredziły, że jak dostaniemy w tyłek od rodziców, to nie podniesiemy się z tej traumy do końca życia.

To opis uromantyczniony. Takich tekstów pojawiło się wiele i pewnie mają one cechy idealizacji wolnego, niczym nieobciążonego dzieciństwa i nastoletniości. Jacek Piekara ma jednak rację, pisząc o zdolności do przetrwania. Tego w żaden sposób nie da się udowodnić, ale „ta dzisiejsza młodzież" przeniesiona w tamte czasy spłakałaby się z rozpaczy w poczuciu bezradności i niemożności radzenia sobie z ogromem mniemanych oraz prawdziwych zagrożeń. Albo dlatego, że ktoś był niemiły. Jeden z ratowników górskich opowiedział mi kiedyś, jak to młody człowiek zabłądził w górach, ale udało mu się dodzwonić do GOPR. Ratownicy powiedzieli mu, by opisał miejsce, w którym jest, i okazało się, że znajduje się przy charakterystycznym kamieniu czy zrębie skalnym. Powiedzieli mu, by stanął twarzą do niego i ruszył w kierunku 10 po 12. On nie wiedział, o co im chodzi, bo nie potrafił nawet odczytać tarczy zegarka i dziwiło go, że ich to dziwi i bawi.

FIZYCZNIE UŁOMNI, INTELIGENTNI INACZEJ

To wszystko mogą być tylko bajania i mniemania weterana, ale niestety badania naukowe potwierdzają, że „ta dzisiejsza młodzież" pod wieloma względami jest jakaś „niedorobiona", „gorsza" od tej z PRL.

Zacznijmy od sprawności i kondycji fizycznej. 94 proc. dzisiejszych uczniów nie opanowało podstawowych umiejętności ruchowych (bieganie, skakanie, rzut piłką). Wyniki testów na bieganie (np. beep test) są o 20–50 proc. gorsze niż w latach 80. XX w. Dzisiejsi nastolatkowie skaczą w dal 1,5–1,7 m, podczas gdy ich rówieśnicy skakali przed laty 1,8–2 m. Podciąganie się na drążku: dziś 2–4 razy, kiedyś: 4–6. Dziewczęta mogą dziś wytrwać w zwisie 5–10 sekund, podczas gdy przed laty – 10–20. Utrzymanie pozycji deski – lina prosta, podpierając się na przedramionach i palcach nóg – niegdyś 20–25 sekund, teraz – 8–12. Wspinanie się na drzewa i płoty, bieganie, skakanie przez doły na budowach robiło swoje. Odsetek otyłych dzieci i nastolatków wzrósł o 200–300 proc. Jedna sprawa to kwestia diety, ale zamiana prawdziwego świata na ten z ekranu komputerów i telefonów przynosi dramatyczne skutki.

Oddzielne badania dotyczą inteligencji. I znów jest źle, chociaż nie tak jak na Zachodzie, gdzie mamy do czynienia z drastycznym odwróceniem efektu Flynna, polegającego na tym, że każdej dekady iloraz inteligencji rósł o 3 pkt. Na Zachodzie załamanie trwa od lat 80. Polacy jeszcze przez część ostatniej dekady XX w. stawali się coraz bystrzejsi. Ale zaczęliśmy „gonić" Zachód, od 2000 r. notujemy stagnację i stopniowo spadek. Roczniki 1997–2012 są już o 3 pkt mniej bystre niż ci urodzeni w PRL. O tak, mamy jeszcze wiele nadrobienia w stosunku do Zachodu, bo tam spadek od lat 90. sięga nawet 7–8 pkt.

Na święta nie będziemy zanudzać tabelami i szczegółami, ale badania – także w podskalach w zakresie czytania, matematyki, nauk ścisłych, rozumowaniu abstrakcyjnym – są przekrojowe i wieloletnie, np. w Norwegii dotyczyły 30 roczników potencjalnych rekrutów, więc nie ma mowy o przypadku, błędzie czy efekcie nowej metodologii. Na pocieszenie warto dodać, że spadek inteligencji nie wynika z kwestii genetycznych. Zmiana nawyków kulturowych, np. stabilna rodzina, powrót do czytania, mogą odwrócić niekorzystny trend.

Niestety nie da się tego powiedzieć o pewnej bardzo delikatnej sferze: męsko-damskiej. Tu mamy do czynienia z prawdziwym dramatem. Aż 30 proc. młodych mężczyzn jest bezpłodnych albo ma w tej sferze poważne problemy. Święta to nie czas, by wchodzić szczegóły, ale każdy, kogo to interesuje, znajdzie w sieci multum badań potwierdzających tę tezę. Jest źle, bardzo źle. Otyłość, brak ruchu, życie w stresie mają dewastujący wpływ na tę sferę naszego życia.

Stan „tej dzisiejszej młodzieży" to niestety wina tego wspaniałego pokolenia PRL. Obaliliśmy komunę, dokonaliśmy cudu gospodarczego i zbudowaliśmy dobrobyt, jakiego Polska nie znała, ale w tym zapamiętaniu, gonieniu za sukcesem, karierą, pieniędzmi zapomnieliśmy o naszych dzieciach i pozwoliliśmy, by wychowywały je telewizor, komputer i telefon. Umeblowaliśmy nasz świat importowaną z Zachodu tandetą intelektualną, jak choćby bezstresowe wychowanie. To całkowicie nasza wina, że młodzi są dziś zdziadziali.

W co wierzy następca Trumpa

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych J.D. Vance jest nowo nawróconym katolikiem. Którędy biegła droga do wiary człowieka, który niebawem może zostać najpotężniejszym politykiem na świecie?

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Peter Thiel zasłynął jako założyciel PayPala i Palantira, inwestor Facebooka, a także pierwszy z bogów Doliny Krzemowej, który poparł Donalda Trumpa. Dziś ten miliarder zajmuje się rozważaniami na temat końca świata. W wykładach wygłaszanych na najlepszych uniwersytetach i podczas zamkniętych dla mediów spotkań z biznesem Thiel interpretuje współczesność przez pryzmat Apokalipsy św. Jana. Gwałtowne zmiany cywilizacyjne, pochłaniająca rzeczywistość technologia, upadek i wzrost imperiów są przez niego odczytywane jako znaki armagedonu.

Posługując się synkretycznym, łączącym elementy teologii, antropologii kulturowej, socjologii czy inżynierii instrumentarium, Thiel snuje rozważania

Fot. PAP/EPA

o naturze Antychrysta. „Czy będzie nim (lub już jest) osoba?" – pyta, wskazując np. na Gretę Thunberg. A może mowa raczej o systemie, globalnej tyranii „państwa inwigilującego [surveillance state]", do której przyłożył zresztą rękę, współtworząc Palantira? Czym w ujęciu duchowym jest sztuczna inteligencja? To właśnie Antychryst czy raczej powstrzymujący go katechon?

Tyleż efektowne, co mętne rozważania Thiela można by było włożyć do szufladki z kuriozami amerykańskiej kultury i duchowości, gdyby nie to, że mówimy o jednym z najbardziej wpływowych biznesmenów na świecie, a przede wszystkim osobie, która wskazała drogę ku chrześcijaństwu wiceprezydentowi USA J.D. Vance'owi.

WYSPA STABILNOŚCI

Pochodzący z rozbitej rodziny, straumatyzowany przez matkę narkomankę Vance wzrastał w tradycji ewangelikalnej. Jego ukochana babcia (Mamaw, jak nazywa ją w „Elegii dla bidoków" – książce, która przyniosła mu sławę i utorowała drogę do wielkiej polityki) była bardzo wierząca i bardzo niepraktykująca. Do kościoła chodziła rzadko, duchownych uważała za naciągaczy, z Bogiem miała podobno relację głęboką, ale czysto osobistą.

Tak się jednak złożyło, że babcia i najpoważniej z całej rodziny traktujący wiarę wujek Dan byli jednocześnie jej najbardziej odpowiedzialnymi i rozsądnymi członkami. Stanowili wyspę stabilności na morzu szaleństwa, rozwodów, wódki i narkotyków, jakim był wówczas świat J.D. Normalność, względne uporządkowanie – to było pierwsze skojarzenie Vance'a z chrześcijaństwem.

A z czym J.D. Vance'owi kojarzył się wówczas katolicyzm? Z niczym dobrym, a więc, jak wspomina, z bałwochwalczą czcią, którą papiści obdarzają Maryję i odrzuceniem przez nich autorytetu Pisma Świętego. Poza tym katolicyzm jawił się jako pełen przepychu, a J.D. i jego bliscy nigdy nie mieli z przepychem nic wspólnego. Katolicyzm nie był dla nich.

Vance – jak wielu innych chłopców marzących o wyrwaniu się z Apallachów – zaciągnął się do piechoty morskiej. Z Iraku wrócił nie tylko z szansą na kontynuowanie nauki i karierę, lecz także głęboką niechęcią do amerykańskiego interwencjonizmu i – zdaniem J.D. – będącej jego podglebiem liberalnej demokracji.

Vance dużo czytał, a ponieważ wśród jego ulubionych lektur znalazły się książki modnych wówczas „nowych ateistów" Christophera Hutchinsa i Sama Harrisa, sam odrzucił wiarę. Kiedy dzięki świetnym wynikom w nauce, rekomendacjom udzielonym przez profesorów, a także „punktom za pochodzenie" (komisja rekrutacyjna doceniła prawdziwie amerykańską opowieść o ciężko pracującym superinteligentnym biedaku, który na dodatek bił się za ojczyznę), Vance dostał się na uniwersytet Yale, ateizm był dla niego tożsamy z mądrością, religia zaś – z głupotą.

KOZIOŁ OFIARNY

Wtedy z wykładem na Yale przyjechał określający jako „nieortodoksyjny chrześcijanin" Peter Thiel. Miliarder mówił wprost, że wspinaczka po szczeblach korporacyjnej, prawniczej kariery jest zajęciem jałowym. Na szczycie nie czeka bowiem nic poza alienacją. Wskazywał na bezproduktywność własnego środowiska, utyskując, że Silicon Valley skupia się na ulepszaniu mediów społecznościowych i telefonów komórkowych zamiast na biotechnologii czy inżynierii.

Słowa biznesmena miały uświadomić Vance'owi, że jego pościg za lepszymi i bogatszymi stanowi cel sam w sobie, nie przyniesie niczego znaczącego, dobrego. Przykład Thiela dowodził także, że można być człowiekiem sukcesu i wyrafinowanym intelektualistą, a jednocześnie wierzyć. Vance, odczuwając już głód duchowy, chciał być wówczas przede wszystkim człowiekiem sukcesu, z ulgą przyjął więc świadectwo Thiela.

„Podważał wzorzec społeczny, wedle którego chrześcijanami byli ludzie głupi, mądrzy zaś – ateistami" – wspominał spotkanie z miliarderem J.D. Vance.

Poza osobistym doświadczeniem wiary Thiel przekazał Vance'owi swoją fascynację René Girardem. Założyciel Palantira był uczniem wielkiego Francuza, który związał swoje zawodowe życie z amerykańskim Uniwersytetem Stanforda. Analizując największe dzieła światowej literatury, Girard sformułował teorię mimetyczną, mówiącą, że człowiek pożąda tego, czego pożądają inni ludzie. To radykalnie antyoświeceniowa koncepcja, bo u Girarda ludzkie pragnienia nie mają w sobie nic indywidualnego, przyrodzonego ani racjonalnego. Człowiek nieświadomie naśladuje innych ludzi, kształtując w ten sposób rzekomo własne aspiracje. Dzieci w przedszkolu nie chcą się bawić najlepszą zabawką, ale tą, którą bawią się inne dzieci.

Napięcia w triadzie „pragnący obcy – obiekt jego pożądania – naśladujący ją" prowadzą rzecz jasna do rozprzestrzeniającego się na całą społeczność konfliktu, zatarcia różnic między jej członkami, a w konsekwencji – do katastrofy. Aby jej zapobiec, konieczne jest wytypowanie spośród siebie kozła ofiarnego, którego obwini się za wszelkie nieszczęścia i podda karze – wygnaniu i śmierci. Przywracający społeczną stabilność mechanizm ofiarniczy leżał u podstaw wszystkich przedchrześcijańskich wierzeń i kultur. Ofiara Chrystusa zmieniła tu wszystko, powiada Girard, demaskuje bowiem kłamstwo rzekomego oczyszczenia poprzez mord rytualny. Ewangelia jest tu opowieścią o opętanym mimetyczną przemocą tłumie, który zabija niewinną, świadomą tej niewinności i głoszącą ją ofiarę. Ostatecznym dowodem (a więc odnoszącym się także do wszystkich wcześniejszych ofiar) niewinności Chrystusa jest jego zmartwychwstanie. Skupione na niewinnej ofierze chrześcijaństwo jest więc radykalnie odmienne od wszystkich innych religii, unieważnia je. Tylko ono mówi prawdę o Bogu i człowieku.

Wydaje się, że zarówno Thiel, jak i Vance nie podążają za Girardem do końca. W ich myśli nie ma tego żarliwego radykalizmu, prowadzącego przecież wprost do stwierdzenia, że „extra Ecclesiam nulla salus" („poza Kościołem nie ma zbawienia"). Zamiast tego Thiel używa Girardiańskiej teorii mimetycznej np. do opisu mechanizmów stojących za powstawaniem baniek

spekulacyjnych, Vance w odrzuceniu konceptu kozła ofiarnego dostrzega zaś narzędzie samodoskonalenia.

„W Chrystusie widzimy nasze próby przerzucenia winy i własnych niedostatków na ofiarę takimi, jakie są: moralną porażką, gwałtownie projektowaną na kogoś innego. Chrystus jest kozłem ofiarnym, który ujawnia nasze niedoskonałości i zmusza nas, byśmy spojrzeli na własne wady zamiast obarczać winą wyznaczonych przez społeczeństwo" – pisał w eseju dla katolickiego pisma „The Lamp".

Ta myśl przewija się w „Elegii dla bidoków", w której Vance walczy z fałszywym jego zdaniem przekonaniem, że za biedę i beznadzieję pasa rdzy odpowiadają wyłącznie czynniki strukturalne, zewnętrzne (np. likwidacja przemysłu). Według niego winni są także mieszkańcy „amerykańskiego Trzeciego Świata", w swojej masie niezdolni do autorefleksji, zrzucający odpowiedzialność na system, państwo, takich czy innych obcych, zamiast poszukać jej w sobie.

PIĘKNA USHA I „PAŃSTWO BOŻE"

Fascynacja Thielem i zetknięcie się z myślą Girarda sprawiło, że ateistyczna zbroja Vance'a zaczęła pękać. Rozpadła się ostatecznie pod wpływem dwóch kolejnych osób: św. Augustyna i przyszłej żony dzisiejszego wiceprezydenta USA Ushy. Vance wyznaje, że była ona pierwszą osobą w jego życiu, którą pragnął postawić ponad samym sobą. I odkrył, iż to dziwne pragnienie płynie z „czegoś pradawnego", co wymaga raczej odpowiedzi na pytanie, „skąd pochodzę", niż „dokąd zmierzam". I jak uczucie żywione do Ushy uświadomiło Vance'owi, że miłość nie jest wytworem tego świata – a w konsekwencji, że musi być jakaś inna, ważniejsza rzeczywistość – tak św. Augustyn dał mu „sposób na zrozumienie wiary chrześcijańskiej w silnie intelektualny sposób". To chyba klucz do zrozumienia Vance'owego katolicyzmu. Zwieńczone chrztem i przyjęciem pierwszej Komunii Świętej w 2019 r. wchodzenie do Kościoła było procesem mozolnym, bazującym raczej na pracy rozumu niż nagłej metamorfozie duchowej.

Jako doświadczenie formacyjne Vance przywołuje lekturę św. Augustyna. W tekście dla „The Lamp" dzisiejszy wiceprezydent USA obszernie cytował XX rozdział II księgi „Państwa Bożego" poświęconej obronie chrześcijaństwa przed zarzutem doprowadzenia do upadku Rzymu. Augustyn dowodzi, że było odwrotnie. Rzym upadł pod ciężarem własnej klęski moralnej, płynącej z fałszywych wierzeń pogan.

> Fascynacja Thielem i zetknięcie się z myślą Girarda sprawiło, że ateistyczna zbroja Vance'a zaczęła pękać. Rozpadła się ostatecznie pod wpływem dwóch kolejnych osób: św. Augustyna i przyszłej żony dzisiejszego wiceprezydenta USA Ushy

„Czciciele i zwolennicy tych bogów, których oni chętnie naśladują nawet w zbrodniach i występkach, nie dbają zupełnie o to, choćby rzeczpospolita najgorsza i najbezecniejsza była. »Byleby – powiadają – istniała, byleby kwitła, w dostatki obfitująca, zwycięstwa sławna, lub, co lepiej, bezpieczna w pokoju. A reszta co nas obchodzi? Owszem na tym nam zależy, żeby u wszystkich wzrastała zamożność wystarczająca i na życie rozrzutne, i na to, iżby każdy możniejszy mógł biedniejszymi zawładnąć. Niech biedacy, aby byli syci, słuchają bogatych i niech pod ich opieką spokojnie siedzą. A bogaci niech wyzyskują biedotę, używając jej do otoczenia swego i do posługiwania w swym przepychu [...]«".

Vance czyta ten fragment i całe „De Civitate Dei" tak, jak powinny one być czytane – jako zasiew pod katolicką naukę społeczną. Ta zaś – choć wielu katolików nie chce tego przyznać – musi być w stanie wojny z neoliberalnym, postkapitalistycznym porządkiem świata przełomu XX i XXI w.

„Była to najlepsza krytyka współczesności, jaką kiedykolwiek przeczytałem. Społeczeństwa w pełni nastawionego na konsumpcję i przyjemność, odrzucającego obowiązek i cnotę" – konstatował Vance, łącząc przesłanie św. Augustyna z krytyką neoliberalizmu, płynącą spod pióra autora koncepcji „konserwatyzmu pracowniczego" Orena Cassa czy Patricka Deneena, postulującego zastąpienie ponoszącego klęskę liberalizmu nowym reżimem bazującym na sojuszu pomiędzy masami a nową, cnotliwą elitą.

MAGA KATOLICY

Przeświadczenie o konieczności uratowania świata, który chyli się – jak Rzym – ku upadkowi, bo zapomniał, czym jest cnota. Zakorzenienie we wspólnocie w kontrze do lenistwa, rozpusty i mrzonek o „samorealizacji". Katolicka nauka społeczna jako alternatywa dla demokracji liberalnej i neoliberalnej gospodarki – to główne intuicje sygnalizowane przez Vance'a jako czynniki jego nawrócenia.

I nawet jeśli uznamy – jak zgodnie czynią to katoliccy i liberalni krytycy wiceprezydenta – że to wiara powierzchowna, być może wyłącznie deklaratywna, której wyciągane wybiórczo elementy mają służyć Vance'owi do budowania antydemokratycznej ideologii MAGA, to musimy mieć na względzie, że mówimy o liderze najliczniejszej w historii grupy katolików w amerykańskim rządzie.

Poza Vance'em w jej skład wchodzą m.in. sekretarz stanu Marco Rubio, minister zdrowia Robert F. Kennedy jr, szef CIA John Ratcliffe czy odpowiedzialny za powstrzymanie fali imigrantów Tom Homan. Sam Vance jest dziś naturalnym kandydatem na następcę Donalda Trumpa, co oznacza, że za trzy lata może się stać najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Chociażby dlatego trzeba wiedzieć, w co wierzy, co czyta i gdzie błądzi.

Wystawa patrona artystów

Błogosławiony dominikanin Jan z Fiesole, nazwany po śmierci Bratem Anielskim – Fra Angelico – był chyba ostatnim tej miary europejskim artystą, przekonanym, iż warto tworzyć sztukę tylko dla Boga i o Bogu. Na ile w każdym razie sięga moja wiedza, w jego rozległej malarskiej spuściźnie nie ma ani jednego „świeckiego" obrazu

JAN ROKITA

Słynny biograf artystów włoskiego renesansu (i sam nienajgorszy malarz) Giorgio Vasari pisał o nim 100 lat po jego śmierci, iż „ćwiczył się ustawicznie w malarstwie, lecz nie chciał malować nic innego, tylko obrazy religijne". Nie tworzył scen mitologicznych, krajobrazów ani portretów. A jeśli już, to tylko tak jak na sakralnym fresku przedstawiającym wyświęcenie na diakona św. Wawrzyńca, gdzie antyczna postać papieża Sykstusa II, którego rysów twarzy nikt przecież nie mógł znać, nabrała pod pędzlem Fra Angelica dobrze mu znanych rysów jego patrona albo wręcz przyjaciela – papieża Mikołaja V, któremu obmalowywał właśnie prywatne pokoje i kaplicę.

Nawiasem mówiąc, przyglądając się reprodukcjom, nabrałem podejrzenia, że właśnie ta kaplica, obmalowana scenami z życia dwóch sławnych diakonów męczenników – św. Wawrzyńca i św. Szczepana, to najdoskonalsze artystycznie dzieło Fra Angelica. Te rzymskie freski są kompletnie inne niż najbardziej popularny wśród turystów cykl fresków biblijnych z parteru florenckiego klasztoru dominikańskiego św. Marka – pastelowych, wzruszających, prostych, trochę naiwnych, choć bardzo pięknych. Ale watykański zleceniodawca z połowy XV w. – Mikołaj V – to pierwszy z wielu papieży o wyrafinowanym guście, zapowiadającym cuda kościelnego renesansu. Brat Angelico musiał tu zatem w pełni objawić swój zdumiewający talent. Kilkakrotnie i na różne sposoby będąc w Muzeach Watykańskich, próbowałem się dostać za zamknięte małe drzwi owej kaplicy św. Mikołaja, w pobliżu rafaelowskich stanz, ale niestety – wszystkie próby okazały się daremne. Gdyby pośród czytelników był ktoś, komu się to udało, będę wdzięczny za możliwość rozmowy.

Pala św. Marka autorstwa Fra Angelico to mierząca 220×227 cm nadstawa ołtarzowa

Fot. Domena publiczna

PALA STROZZICH

Piszę teraz o owym dominikańskim zakonniku rodem z Fiesole, miasteczka położonego na wzgórzach okalających Florencję, bo prawie do końca stycznia w tamtejszym pałacu Strozzich jest

pokazywana arcyciekawa wystawa jego dzieł, pierwsza (i zapewne ostatnia) za mojego życia, gdyż poprzednia przeglądowa wystawa Fra Angelica miała miejsce dawno temu, w 1955 r. A ponieważ część późnej jesieni przywykłem spędzać w ulubionej Sienie, lokalnym pociągiem wybrałem się do Florencji, zaciekawiony, jaki też Włosi mają pomysł na tę wystawę.

Z wystawami dzieł Fra Angelica są bowiem związane dwa nieuchronne problemy. Pierwszy – że w znacznej mierze są to freski malowane na ścianach pałacu papieskiego i dominikańskiego klasztoru św. Marka we Florencji, a więc nie da się ich przenieść na żadną ekspozycję. Drugi – że nie jest łatwo wymyślić oryginalnego konceptu na włoską wystawę Fra Angelica, gdyż większość jego sławnych pali i predelli ołtarzowych jest na stałe w Italii, można je więc oglądać „w trybie zwyczajnym", bez specjalnie organizowanych wystaw.

Muszę jednak przyznać, że włoscy muzealnicy potrafią czynić rzeczy nadzwyczajne. Przede wszystkim przez cztery lata przygotowując obecną wystawę, przeprowadzili (jak sami to nazywają) „zakrojoną na szeroką skalę kampanię renowacji", która objęła ok. tuzin dzieł Fra Angelica. Efekt jest zaiste uderzający, jak tylko przekroczy się próg pierwszej sali wystawowej w pałacu Strozzich, która jest poświęcona zleceniom patrycjuszowskich rodzin florenckich, czynionych z myślą o kaplicach rodzinnych w pobliskiej bazylice Świętej Trójcy.

Ów kościół w pierwszej połowie XV w. był punktem prawdziwej eksplozji nowej, zwiastującej renesans sztuki, a Fra Angelico stworzył tam (rozpoczętą przez jego nauczyciela Lorenza di Monaco) sławną palę Strozzich, czyli dużych rozmiarów nastawę ołtarzową przedstawiającą scenę zdjęcia z krzyża. Kilkakrotnie widziałem ów ołtarz we florenckim muzeum św. Marka, ale to, co zobaczyłem teraz, wprawiło mnie w oszołomienie. Feeria barw, blask złota, czerwieni i różu (intensywnie różowy jest np. strój Józefa z Arymatei, podtrzymującego ciało Jezusa), jak również odzyskane dzięki restauracji śródziemnomorskie światło i przejrzysty krajobraz miasta w tle sceny – to nowe doświadczenie obcowania z dziełem sztuki poddanym perfekcyjnej renowacji. A pala Strozzich to tylko jedna z wielu odnowionych na tę wystawę prac Fra Angelica.

Bł. Jan z Fiesole (Fra Angelico)

PALA ŚW. MARKA

Drugie dokonanie, którym chwalą się – nie bez racji – włoscy muzealnicy to połączenie rozczłonkowanych przed wiekami i rozproszonych po świecie ołtarzy Jana z Fiesole. Bez wątpienia największy efekt wywiera niemal pełna rekonstrukcja, kto wie, czy nie najsłynniejszego dzieła Angelica, gdyż uznawanego za pierwszy renesansowy ołtarz w sztuce europejskiej. To pala św. Marka, którą dominikanin namalował dla swojego klasztoru, wzniesionego we Florencji na początku XV w. z inicjatywy Kosmy Medyceusza, z myślą o tym, aby pełniła funkcję ołtarza głównego w nowym naonczas dominikańskim kościele.

To arcydzieło zostało wystawione w trzeciej kolejnej sali wystawowej, ale rzecz w tym, że stanęło tu po raz pierwszy od wieków wraz z 16 innymi dziełami, którymi Fra Angelico otoczył główny obraz, tworząc m.in. predellę, czyli „podnóżek", stanowiący podstawę właściwej nastawy ołtarzowej. A tych 16 „obrazów towarzyszących" udało się Włochom nie tylko ściągnąć z całego świata (od Nowego Jorku i Waszyngtonu po Monachium i Amsterdam), lecz także doprowadzić do ich gruntownej renowacji przed wystawą.

Prawdę mówiąc, ci, którzy (jak ja) z wielu powodów mają szczególne upodobanie do tej sztuki włoskiej, zapowiadającej dopiero właściwy rozkwit renesansu (czyli trecenta i wczesnego quattrocenta), po raz pierwszy mogą przyjrzeć się w całości jednemu z najwybitniejszych dzieł owego czasu. Tę scenę poznaje każdy, gdy tylko rzuci na nią okiem. Odciągnięta na boki złota kurtyna, w zasadzie jak w nowożytnym teatrze, odsłania monumentalny tron Madonny z błogosławiącym widza Dzieciątkiem, który od porośniętego cyprysami parku odgradza złota zasłona i symbolicznie zdobiony parawan, tworząc „hortus conclusus", czyli ogród zamknięty, oznaczający dziewictwo NMP. Wokół rozmodleni aniołowie, a przed nimi święci: po lewej Wawrzyniec, Marek i Jan – ci ostatni, już nie tak jak w sztuce dawniejszej, stoją bokiem i żywo gestykulują, najwyraźniej spierając się o religijne dogmaty – a po prawej najbliżsi zakonnikom od św. Marka święci z zakonów żebraczych: Dominik, Franciszek i Piotr Męczennik. Od samego frontu na zdobnym w klasyczne wschodnie wzorce kilimie klęczą zaś przed tronem Maryi święci Kosma i Damian – nie tylko patroni rodziny Medyceuszy, lecz przede wszystkim lekarze ludzkich ciał i dusz. Dbający o każdy szczegół kuratorzy wystawy zadbali, aby zwiedzający mógł przyjrzeć się w naturze niemal identycznemu XV-wiecznemu perskiemu kilimowi – jak ten, na którym klęczą obaj święci męczennicy.

Oczywiście wystawowym hitem są odrestaurowane obrazy z ołtarzowej predelli, ściągnięte z całego świata, a w oryginałach znane dotąd głównie specjalistom. Przedstawiają historię życia i męczeństwa braci Kosmy i Damiana, którzy w III w. praktykowali medycynę w Cylicji i zasłynęli z tego, iż byli „anargyroi" (czyli „bezpieniężni"), gdyż traktując naukę Chrystusa poważnie, nie żądali od pacjentów pieniędzy za leczenie (czy dziś są gdzieś tacy święci

Fot. Cappella di San Brizio

doktorzy?). Mnie szczególnie zaciekawiła scena z obydwoma braćmi i ich pacjentką Palladią, która jako zapłatę za wyleczenie wręcza Damianowi brzuchatą sakiewkę, a w niej trzy jaja. Angelico namalował właśnie historię o tym, jak nalegania pacjentki, bogatej chrześcijanki, jedyny raz skłaniają świętych braci do przyjęcia tej swoistej zapłaty. Tak czy owak poruszające są zwłaszcza rozświetlone śródziemnomorskim słońcem sceny męczeństwa obu lekarzy za czasu prześladowań Dioklecjana. Ciekawe, że opatrzność ratuje ich za każdym razem, gdy są topieni, paleni żywcem i krzyżowani, ale w końcu umierają naprawdę, kiedy kat obcina im głowy – trochę tak, jakby w tym przypadku opatrzność zrezygnowała z ich dalszego ratowania. Co najmniej od 200 lat nikt nie oglądał tych scen połączonych chronologicznie, a przecież dopiero razem wywierają one wrażenie na widzu.

Jeśli rozglądając się po salach pałacu Strozzich, przeżyłem jakieś rozczarowanie, to chyba tylko jedno. Jadąc do Florencji i czytając wcześniej o tym, iż na tej wielkiej wystawie jest ponad setka prac brata Angelico (nie licząc tego, co na stałe i tak znajduje się w klasztorze św. Marka), liczyłem w duchu na to, iż być może spełni się jedno z moich marzeń: aby gdzieś i kiedyś zobaczyć obok siebie trzy genialne przedstawienia zwiastowania, które stworzył w latach 30. XV w., eksponowane obecnie w muzeach Madrytu, Cortony i małego toskańskiego miasteczka San Giovanni, położonego w dolinie rzeki Arno. W moim mniemaniu (obok sieneńskiego „Zwiastowania" Simone Martiniego z czasów trecenta) są to najbardziej sakralne i modlitewne przedstawienia tej biblijnej sceny, owianej przecież największą tajemnicą chrześcijaństwa: przyjęcia przez prawdziwego Boga natury prawdziwego człowieka.

Rzecz jasna oglądałem każde z tych dzieł odrębnie i porównywałem je po wielekroć, kładąc przed siebie reprodukcje. Wiem zatem, że różnią się nie tylko szczegółami warsztatu malarskiego, lecz także atmosferą duchową: to z Cortony jest, rzekłbym, najbardziej „mistyczne", z kolei to z Madrytu – przeniknięte naturalnością ogrodu, domu, postaci. Niestety z tych trzech widziałem w pałacu Strozzich tylko to z San Giovanni Valdarno, najbardziej jasne i świetliste ze wszystkich.

SKROMNOŚĆ GENIUSZU

Wedle słynnej XVI-wiecznej opinii Vasariego, cytowanej praktycznie w każdej pracy o bracie Angelico, wyjątkowość jego sztuki sakralnej polega na tym, iż każdego, kto na nią patrzy, ogarnia wzruszenie religijne, albowiem

> Muszę przyznać, że włoscy muzealnicy potrafią czynić rzeczy nadzwyczajne. Efekt jest zaiste uderzający, jak tylko przekroczy się próg pierwszej sali wystawowej w pałacu Strozzich

„wydaje mu się, iż duchy błogosławione nie mogą inaczej wyglądać w niebie" niźli na tych obrazach. Istotnie – świat sztuki Fra Angelica jest przeniknięty potęgą wiary, która czyni go poważnym i zarazem radosnym. To świat, w którym najstraszniejsze rzeczy, jak choćby krwawe obcinanie głów braciom Kosmie i Damianowi, nie mają w gruncie rzeczy wymiaru tragedii, ale prowokują u widza coś w rodzaju radosnego podziwu dla męczeństwa jako prostej drogi człowieka do boskości.

Co więcej, jeśli ktoś dodatkowo poznaje fakty z życia artysty, owo wrażenie rośnie, gdyż okazuje się, że brat Jan z Fiesole malował dokładnie tak, jak żył. Nie przyjął np. oferowanego mu przez ceniącego go papieża biskupstwa florenckiego, wskazując na tę funkcję swego najbardziej pobożnego brata zakonnego, który potem został zresztą ogłoszony świętym (czy ktoś z polskich księży tak by dziś postąpił?). Ale trzeba przyznać, że Fra Angelico miał przy tym wyjątkowe szczęście, gdyż zdarzyło mu się coś, co z rzadka przydarza się wielkim artystom – jak pisze Vasari: „świątobliwym życiem zasłużył na królestwo niebieskie, a swoją sztuką zyskał na świecie sławę". Tylko pozazdrościć takiej pełni życia i geniuszu.

Nic dziwnego, że dominikanie od dawna ubiegali się u papieży o uznanie świętości swego najważniejszego artysty. Ale na te ponawiane przez cały XX w. prośby odpowiedział dopiero – co ciekawe – Jan Paweł II. Prawdę mówiąc, trudno nie traktować tego jako znaku, bo dobrze wiadomo, że Karol Wojtyła był, kto wie, czy nie pierwszym papieżem od czasów renesansu i baroku, przekonanym, iż sztuka, a szerzej – kultura, jest nieodzownym instrumentem rozpowszechniania wiary. Bo przecież jeśli teraz chrześcijaństwo w Europie znalazło się w odwrocie, to także dlatego, że zostało zdradzone przez sztukę i artystów. W 1982 r. papież ogłosił Jana z Fiesole błogosławionym. Dwa lata później, 18 lutego 1984 r., odprawił w rzymskiej bazylice dominikanów, gdzie znajduje się grób brata Angelico, uroczystą mszę, w trakcie której wygłosił pamiętne kazanie o związku pomiędzy chrześcijaństwem i kulturą. Mówił wtedy: „Brat Jan urzeczywistnił w swoim życiu organiczny i konstytutywny związek między chrześcijaństwem a kulturą, między człowiekiem i ewangelią. W nim wiara stała się kulturą, a kultura stała się żywą wiarą. Był zakonnikiem, który potrafił przekazać poprzez sztukę wartości leżące u podstaw chrześcijańskiego stylu życia. Był prorokiem świętego obrazu: potrafił osiągnąć szczyty sztuki, czerpiąc inspirację z tajemnic wiary. W nim sztuka staje się modlitwą".

A tak papież kończył to kazanie w rzymskiej bazylice Santa Maria Sopra Minerva: „Oto przesłanie błogosławionego artysty, brata Angelico. Słuchajmy tego przesłania. I aby to słuchanie było łatwiejsze, zwłaszcza dla artystów, przyjmuję prośby zgłaszane przez zakon dominikanów, wielu biskupów i różnych artystów i ogłaszam błogosławionego Angelico patronem artystów, zwłaszcza malarzy. Na chwałę Boga. Amen".

ZAKOPANE

Nieformalna stolica Polski w czasie zaborów

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Pod koniec XIX w., gdy Polska była wymazana z mapy, Zakopane stało się miejscem, w którym polskość tętniła najmocniej. To tu tworzyli Tetmajer, Witkacy i Szymanowski. To tu rodziła się nowoczesna sztuka, badano ludową kulturę góralską i planowano polityczne inicjatywy. Dlaczego właśnie na Podhalu powstała „duchowa stolica Polski"? I jak góralski mit stał się jednym z fundamentów polskiej tożsamości w XX w.?

Zakopane powstało w miejscu dawnych sezonowych osad pasterskich. Przez wieki funkcjonowało jako niewielka, skryta u podnóża Tatr wieś, licząca zaledwie kilkudziesięciu mieszkańców i niemal odcięta od reszty kraju. Surowy klimat, trudny teren oraz brak rozwiniętej infrastruktury sprawiały, że osada rozwijała się bardzo powoli. Miejscowi utrzymywali się głównie z pasterstwa, rzemiosła oraz skromnego handlu z sąsiednimi regionami. Nikt wówczas nie przypuszczał, że wyrośnie tu jedno z najbardziej turystycznych miejsc w odrodzonej Rzeczypospolitej, a przed odzyskaniem niepodległości stanie się najważniejszym punktem na mapie nieistniejącego kraju.

ZAPUSZCZALI SIĘ TAM NIELICZNI

Ten dawny charakter miejsca barwnie opisał malarz Rafał Malczewski, który mieszkał w Zakopanem od 1917 r. W swoich wspomnieniach kreślił obraz ludu twardego i nieposkromionego, żyjącego w cieniu Tatr: „Podtatrze zamieszkiwał lud piękny i wolny. Nigdy go nie gnębiła pańszczyzna, nie uginał karku przed jakimś panem. Podhale było królewszczyzną, Zakopane zapadłą wioską, gdzie starosta z Nowego Targu niechętnie się pokazywał, mając młaki i puszcze do przebycia po to tylko, by kilka gąb zuchwałych zobaczyć na podgiewontowej równi".

W XVIII w. w Kuźnicach powstała huta żelaza, mimo to Zakopane pozostawało zacofaną, trudno dostępną miejscowością, otoczoną aurą legend o rozbójnikach i kłusownikach. Brakowało infrastruktury noclegowej i jakichkolwiek atrakcji dla przyjezdnych. Podróż z Krakowa do Zakopanego trwała niemal cały dzień z powodu fatalnego stanu dróg. Jednocześnie właśnie to niemal baśniowe oddalenie „za górami, za lasami" sprawiło, że na miejscu zachowano unikalną kulturę, w której stare elementy folkloru przetrwały wieki niemal bez żadnych zmian. Ten etnograficzny skarb dopiero czekał na odkrycie.

TRZECH „OJCÓW ZAŁOŻYCIELI"

Dynamika rozwoju Zakopanego zmieniła się radykalnie w drugiej połowie XIX w. – głównie za sprawą Tytusa Chałubińskiego, wybitnego lekarza, botanika i działacza społecznego. To on zaczął popularyzować Zakopane jako doskonałe miejsce dla odpoczynku i kuracji chorób układu oddechowego. Gdy poprawiono drogi i uruchomiono regularne połączenia z Krakowem, Zakopane zaczęło przyciągać kuracjuszy, naukowców i artystów. Chłodne powietrze sprzyjało leczeniu gruźlicy, a egzotyczny wizerunek „góralskiej ziemi" stawał się coraz bardziej atrakcyjny dla poszukiwaczy autentyczności i spokoju w epoce postępu i industrializacji.

Fot. Biblioteka Narodowa

Za drugą kluczową postać uznaje się ks. Józefa Stolarczyka, pierwszego zakopiańskiego proboszcza, wybitnego taternika, pioniera turystyki tatrzańskiej i znawcę gór. Odprawiał nabożeństwa w Tatrach, które uważał za naturalną świątynię Boga. Razem z Chałubińskim był założycielem utworzonego w 1873 r. Towarzystwa Tatrzańskiego, które szybko stało się ważną instytucją społeczną i naukową, prowadzącą badania przyrodnicze, etnograficzne i topograficzne.

W 1886 r. Zakopane uzyskało status uzdrowiska. W tym samym roku po raz pierwszy przyjechał tu Stanisław Witkiewicz, wybitny artysta i późniejszy twórca stylu zakopiańskiego. Początkowo gościł pod Tatrami jedynie sezonowo, w celach leczniczych. W 1895 r. zamieszkał tam na stałe, szeroko otwierając drzwi swojego domu dla artystów i inteligencji z całej Polski. Jego eseje, reportaże i listy, pełne zachwytu nad Podhalem, przyczyniły się do rozsławienia Zakopanego wśród Polaków żyjących pod zaborami. To właśnie Witkiewicz, jedna z najbardziej wpływowych postaci tamtej epoki, nadał góralskiemu wzornictwu rangę sztuki narodowej.

GORĄCE SERCA

Wraz z dynamicznym rozwojem Zakopanego rozwijała się także turystyka. W 1899 r. z inicjatywy Towarzystwa Tatrzańskiego przedłużono istniejącą już linię kolejową Kraków–Chabówka aż do Zakopanego, co całkowicie odmieniło dostępność regionu. Towarzystwo finansowało także budowę pierwszych latarni, chodników, a nawet lokalnej poczty i telegrafu. Prowadzono badania naukowe, tworzono szczegółowe mapy i przewodniki, Tatry zaś stawały się kolebką polskiej turystyki górskiej, a nawet narciarstwa. Towarzystwo położyło także fundamenty pod przyszłe instytucje, takie jak Tatrzański Park Narodowy czy Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe.

Każdego roku do Zakopanego przybywało coraz więcej turystów i kuracjuszy, co sprawiło, że miejsce to stopniowo obrastało legendą. Zaczęto je postrzegać jako ostatnią enklawę niepodległej polskości pod zaborami, przestrzeń wolną od bezpośredniej obecności obcych administracji i wojsk.

Atmosferę tamtych lat pięknie oddał Wojciech Kossak, wspominając: „Ówczesne Zakopane, a właściwie Tatry, dawały tyle, że pomimo tych niewygód i braków zjeżdżała do nich co rok elita kulturalnego społeczeństwa polskiego. Gorące polskie serca garnęły się do tego cudnego zakątka, nietkniętego żadną z tych epidemii, przez które przechodziły inne polskie kraje. Nie było tu nigdy ani Moskali, ani Prusaków, a austriackie rządy także kończyły się w Nowym Targu". Wspinaczki, wycieczki i długie wyprawy w Tatry stawały się nie tylko formą rekreacji, lecz także przestrzenią budowania wspólnoty i podtrzymywania narodowej tożsamości.

> „Gorące polskie serca garnęły się do tego cudnego zakątka, nietkniętego żadną z tych epidemii, przez które przechodziły inne polskie kraje. Nie było tu nigdy ani Moskali, ani Prusaków, a austriackie rządy także kończyły się w Nowym Targu" – pisał Wojciech Kossak

KULTUROWA ŚMIETANKA

Pod koniec XIX w. żadne inne miejsce na ziemiach polskich nie tętniło twórczą energią z taką siłą jak Zakopane. Tatry i ich mieszkańcy stali się źródłem inspiracji dla całego pokolenia artystów, którzy pod Giewontem znajdowali zarówno wytchnienie, jak i bodziec do tworzenia nowej, modernistycznej sztuki. Dzięki działalności Stanisława Witkiewicza rozwijał się styl zakopiański, jednocześnie w willach rozrzuconych po stokach Gubałówki i Kozińca rodziły się najśmielsze koncepcje literackie, malarskie i muzyczne epoki. Kazimierz Przerwa-Tetmajer przekształcał tatrzańskie krajobrazy w symbole wolności i metafizycznej przestrzeni polskości, a jego poezja niemal natychmiast trafiała do narodowej wyobraźni. W tym środowisku swoje pierwsze artystyczne kroki stawiał także młody Stanisław Ignacy Witkiewicz.

Zakopane przyciągało jednak znacznie szersze grono twórców. Pojawiali się tu malarze, m.in. Walery Eljasz-Radzikowski czy Leon Wyczółkowski, uwieczniający górali i tatrzańską przyrodę, a także rzeźbiarze, tacy jak Konstanty Laszczka, poszukujący w ludowej ornamentyce nowych środków wyrazu. Dla etnografów, takich jak Oskar Kolberg, Władysław Matlakowski czy Stanisław Eljasz-Radzikowski (syn Walerego), Podhale stanowiło wyjątkowe, żywe źródło badań nad kulturą ludową. Ogromną rolę odgrywała również muzyka. Karol Szymanowski był zafascynowany skalami, rytmiką i surowym brzmieniem podhalańskich melodii, co można odczuć w „Harnasiach", stworzonych już po I wojnie światowej. Zakopiańskie domy: Koliba, Atma i inne, liczne pensjonaty stały się miejscami spotkań, w których ścierały się idee modernizmu, romantyczny mit góralszczyzny oraz wpływy europejskiej awangardy. Artyści dyskutowali, spierali się i współpracowali. Na Podhalu rodziła się wizja polskiej kultury XX w.

W samym domu Stanisława Witkiewicza obok wcześniej wspomnianych postaci można było spotkać także Adama Asnyka, Adama Chmielowskiego, Juliana Fałata, Jana Kasprowicza, Wojciecha Kossaka, Jacka Malczewskiego, Tadeusza Micińskiego, Władysława Reymonta, Henryka Sienkiewicza, Wacława Sieroszewskiego, Stefana Żeromskiego oraz „Homera Tatr" – Jana Krzeptowskiego „Sabałę". Do Zakopanego przyjeżdżał również Joseph Conrad, a Bolesław Prus tak umiłował Podhale, że za zbyt długi pobyt tam otrzymał publiczną naganę od redakcji „Kuriera", który pisał

w 1899 r.: „Panie Prus, telegrafowaliśmy doń już kilka razy – a czemu to pan nie wraca, wszak to »Kroniki Tygodniowej« nie ma kto pisać. A pan Prus jak zasiadł w Zakopanem, tak siedzi tam. […] »Taternik« z niego, słyszę, wielki stał się, z »gazdami« tylko po »turniach« i »wirchach« się włóczy i opowiada im tam najpiękniejsze swe kroniki niedzielne".

KUŹNIA NIEPODLEGŁOŚCI

W 1904 r. powstał Związek Górali – pierwsza organizacja regionalna, która w krótkim czasie zaczęła odgrywać istotną rolę społeczną, kulturalną, a nawet polityczną. Choć Zakopane leżało na uboczu imperium habsburskiego, stało się jednym z ważniejszych ośrodków polskiej pracy niepodległościowej. Z dala od cenzury i aparatu kontroli odbywały się tu spotkania działaczy, konspiratorów i społeczników, którzy debatowali o przyszłości Polski, edukacji narodowej oraz sposobach przeciwstawiania się rusyfikacji i germanizacji.

W 1913 r. z inicjatywy twórcy polskiego skautingu Andrzeja Małkowskiego powstało zakopiańskie harcerstwo, coraz aktywniejsze stawały się paramilitarne stowarzyszenia, takie jak Sokół, Strzelec czy Drużyny Podhalańskie.

Do Zakopanego przybywali politycy reprezentujący różne nurty ideowe, by wygłaszać odczyty i prowadzić dyskusje. Wśród endeków pojawiali się m.in. Zygmunt Balicki, Roman Dmowski, Wincenty Lutosławski i Jan Ludwik Popławski. Ze strony środowisk socjalistycznych gościli m.in. Jan Bielecki, Gustaw Daniłowski, Ignacy Daszyński, Tadeusz Gałecki, Bolesław Jędrzejowski, Witold Jodko-Narkiewicz, Kazimierz Kelles-Krauz, Ludwik Krzywicki, Ksawery Prauss, Leon Wasilewski czy Stanisław Brzozowski – piewca nacjonalizmu proletariackiego. W czerwcu 1906 r. to właśnie pod Tatrami odbył się V Zjazd Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy.

Od 1900 r. regularnym gościem Zakopanego był także Józef Piłsudski. Zakopiańskimi ulicami prowadził kompanię ćwiczebną Związku Strzeleckiego, spotykał się z socjalistycznymi działaczami i organizował prace przygotowawcze do przyszłego zrywu zbrojnego. W sierpniu 1912 r., podczas zjazdu w Zakopanem z udziałem przedstawicieli PPS z zaboru rosyjskiego, PPSD Galicji i Śląska, Polskiego Stronnictwa Postępowego ze Lwowa, Stronnictwa Ludowego oraz grupy byłych endeków, Piłsudski powołał Polski Skarb Wojskowy – instytucję przygotowującą i finansującą przyszłe działania wojenne mające doprowadzić do odzyskania niepodległości.

Fot. NAC

> Rzeczpospolita Zakopiańska istniała zaledwie kilka tygodni, lecz to właśnie ona była pierwszym miejscem na mapie świata, gdzie po latach zaborów odrodziła się wolna Polska

PIERWSZY SKRAWEK NIEPODLEGŁEJ POLSKI

Choć Podhale nie stało się areną bezpośrednich działań wojennych podczas I wojny światowej, życie Zakopanego uległo diametralnej zmianie. 5 sierpnia 1914 r. na front wyruszyła zakopiańska kompania strzelecka, włączona następnie do I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego. Wielu mieszkańców powołano do armii austro-węgierskiej, a lokalna inteligencja organizowała pomoc na rzecz terenów dotkniętych wojną.

Jedocześnie w Zakopanem nasilała się aktywność niepodległościowa. Gdy w 1918 r. rozpadała się monarchia habsburska, polskie aspiracje polityczne stały się szczególnie widoczne. 13 października 1918 r. pod pomnikiem grunwaldzkim odbyło się zgromadzenie obywatelskie, zwołane przez naczelnika gminy Wincentego Regiecia. 500 uczestników zdecydowało o powołaniu Organizacji Narodowej i wypowiedzeniu posłuszeństwa Austro-Węgrom. Na czele wiecu stanął Stefan Żeromski, a jego zastępcami zostali: Wincenty Szymborski (jako reprezentant endecji), Mariusz Zaruski (jako przedstawiciel lewicy) oraz hr. Władysław Zamoyski (jako działacz społeczny).

31 października 1918 r. polscy oficerowie przejęli władzę w całej okolicy, a Organizacja Narodowa przekształciła się w miejscową Radę Narodową. Jej prezydentem również wybrano Stefana Żeromskiego. 2 listopada 1918 r. jako głowa państwa odebrał on defiladę żołnierzy pod tym samym pomnikiem grunwaldzkim. W kolejnych dniach, gdy w Małopolsce uformowała się Polska Komisja Likwidacyjna z Wincentym Witosem na czele, zakopiańskie władze podporządkowały się jej decyzjom.

Rzeczpospolita Zakopiańska istniała zaledwie kilka tygodni, lecz to właśnie ona była pierwszym miejscem na mapie świata, gdzie po latach zaborów odrodziła się wolna Polska. W symboliczny sposób potwierdziła to, co wielu uważało od dawna: że przez ostatnie dziesięciolecia niewoli Podhale było jednym z najważniejszych bastionów polskości – kulturowej, społecznej i politycznej.

Sztuka przetopienia złotego medalu w złotą sztabkę

MICHAŁ MUZYCZUK

Sport to gra, ale w jej cieniu toczy się inna rozgrywka, w której stawką nie są medale i rekordy, lecz przełożenie sukcesów sportowych na poważne sumy pieniędzy. Kariera zawodnika jest intensywna i krótka jak pamięć kibica po przegranym meczu. Czy polscy herosi sportu potrafią przekuć morderczy wysiłek w finansowe imperia?

Sportowiec ma jakieś 15–20 lat, żeby zarobić, uprawiając swój zawód. Potem musi albo się przebranżowić i rozpocząć karierę w zupełnie innej dziedzinie, albo pozostać przy swojej dyscyplinie jako szkoleniowiec, działacz czy komentator. Ale oczywiście najlepszą opcją (rzecz jasna, jeśli talent, szczęście i ciężka praca na to pozwolą) jest zgromadzenie takich środków, żeby praca już nigdy nie była koniecznością. Oczywiście liczba sportowych triumfów przekłada się na grubość portfela, ale pensja i premie to tylko pierwszy gwizdek. Wraz z ostatnim kapitał sportowca to pieniądze zarobione na boisku pomnożone przez trafne wybory. W co inwestować? Komu zaufać? Jakie ryzyko ponieść? Jak omijać mielizny? A przede wszystkim: jak nie spalić własnego nazwiska? Jasne, forma sportowa nie musi wcale iść w parze z żyłką do biznesu, ale obie rzeczy są w gruncie rzeczy podobne. Sportowiec kocha smak triumfu, a czym, jeśli nie zwycięstwem, jest udana inwestycja?

Pieniądze lubią ciszę, ale kibice kochają rankingi. Te dotyczące majątków polskich sportowców są z natury bardzo umowne. Sportowi krezusi ich nie ujawniają, bo pieniądze to sprawa prywatna – nikt z nas nie lubi, kiedy zagląda mu się do portfela. Szacunki dotyczące wielkości majątków bazują na oficjalnych danych o zarobkach, wycenie inwestycji i biznesów, przeciekach na temat wysokości kontraktów reklamowych, karkołomnych próbach wyliczenia „czynnika X", czyli wartości marki osobistej. W dobie mediów społecznościowych jeden wpis na Instagramie może być warty więcej niż rok biegania za piłką w drugiej lidze! Szacowanie majątków sportowców przypomina sędziowanie w łyżwiarstwie figurowym: liczy się technika (twarde liczby), a także wrażenie artystyczne (potencjał marketingowy). Jedno jest pewne – każdy z niżej wymienionych sportowców jest bogatym człowiekiem.

GDZIE W SPORCIE SĄ PIENIĄDZE?

Kto jest absolutnie najbogatszym polskim sportowcem w czasach najnowszych? A dokładniej – najbogatszą sportową parą? Oczywiście Anna i Robert Lewandowscy, którzy wspólnie wypracowali majątek szacowany na ok. 800 mln zł, więc już za chwilę wkroczą do grona miliarderów. Jakieś dwa razy mniej ma Marcin Gortat, niegdyś czołowy środkowy NBA. Nie jest zaskoczeniem, że wysoko w rankingu znajdują się czołowi piłkarze znani z zagranicznych klubów: Wojciech Szczęsny, Piotr Zieliński, Arkadiusz Milik czy Grzegorz Krychowiak mają w umownej kieszeni po jakieś 100 mln zł. Niegdysiejsi partnerzy Lewandowskiego z Borussi Dortmund, Jakub Błaszczykowski i Łukasz Piszczek, też nie narzekają, podobnie jak Jerzy Dudek i Łukasz Fabiański.

Wielkie pieniądze są w tenisie, więc dobrze wiedzie się polskim rakietom:

niegdysiejszej dwójce światowego rankingu Agnieszce Radwańskiej oraz obecnej tenisistce numer dwa na świecie Idze Świątek, podobnie jak ich koledze z kortu Hubertowi Hurkaczowi. W czołówce nie mogło oczywiście zabraknąć przedstawicieli sportów motorowych: byłego kierowcy Formuły 1 Roberta Kubicy, który znakomicie monetyzuje swoją rozpoznawalność, żużlowego

Fot. Rex Features/East News

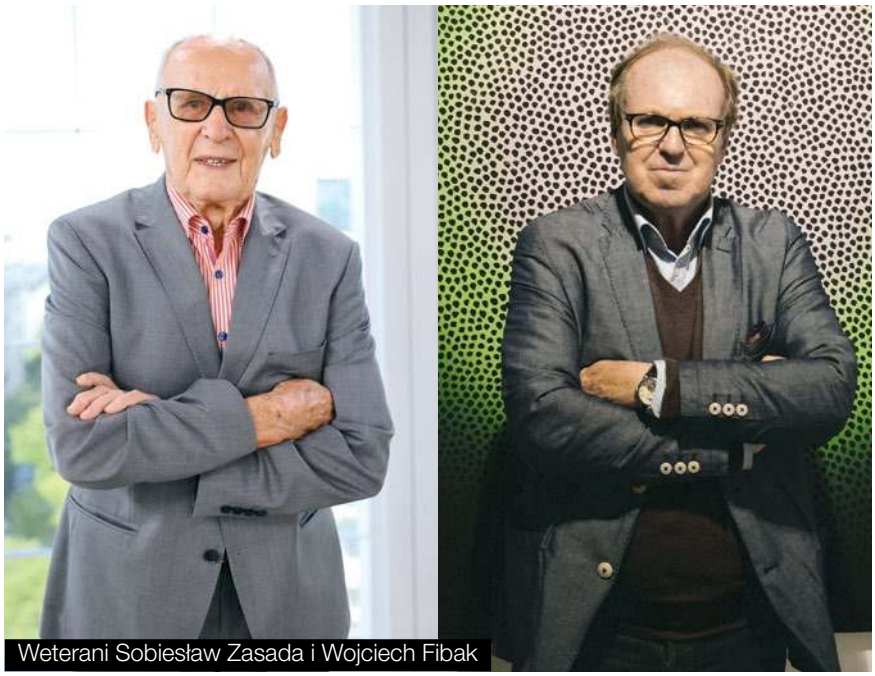

Weterani Sobiesław Zasada i Wojciech Fibak

mistrza świata Bartosza Zmarzlika oraz najbogatszych z grona kierowców – Michała Sołowowa, polskiego giganta przemysłowego, i Rafała Sonika, wielkiego dewelopera. Ale oni najpierw byli świetnymi biznesmenami, a dopiero potem rajdowcami. Siatkarze też nieźle sobie radzą, szczególnie najbogatszy Wilfredo Leon czy nieco mu ustępujący Michał Kubiak, Bartosz Kurek i Mariusz Wlazły.

Orzeł z Wisły i Rakieta z Zębu, czyli Adam Małysz i Kamil Stoch, odebrali należyte wynagrodzenie za regularne przepełnianie biało-czerwonych serc dumą. Opłaca się także wystawiać swoją szczękę na szwank. Joanna Jędrzejczyk zgromadziła ok. 50 mln zł, świetnie radzą sobie też Jan Błachowicz, Mamed Chalidow, Mariusz Pudzianowski i Dariusz Michalczewski. A pamiętacie Andrzeja Gołotę, który pod koniec XX w. otrzymywał wielkie gaże w dolarach? Twarda amerykańska waluta zabezpieczyła na przyszłość także hokeistów z NHL – Mariusza Czerkawskiego i Krzysztofa Oliwę, nie mówiąc o Sebastianie Janikowskim, swego czasu najlepiej opłacanym „kickerze" w całej NFL. A pamiętajmy, że za oceanem futbol amerykański to niemal religia...

Zestawienie najbogatszych polskich atletów niekoniecznie pokrywa się z tymi, którzy w danym sezonie osiągają na sportowych arenach najwięcej i są najbardziej lubiani przez kibiców. Aleksandra Mirosław, czyli Sportowiec Roku 2024 w Plebiscycie Przeglądu Sportowego, czy Natalia Bukowiecka, druga we wspomnianym głosowaniu, nie mogą liczyć na zarobki takie jak piłkarze, tenisiści czy reprezentanci sportów walki. To niekoniecznie uczciwe, biorąc pod uwagę miarę sportowej rywalizacji, ale „business is business". Skoro FC Barcelona płaci Lewandowskiemu ok. 30 mln euro za sezon, to oznacza, że zwyczajnie jej się to opłaca. Lekkoatletyka może być królową sportu, ale w świecie biznesu jest co najwyżej skromną dwórką piłki nożnej. Nie mówiąc już o dyscyplinach naprawdę niszowych, jak np. biegi narciarskie. Mimo że wszyscy doceniamy olimpijskie medale Roberta Korzeniowskiego i Justyny Kowalczyk, nikt nie neguje sportowej wielkości Anity Włodarczyk i Tomasza Majewskiego, to w ich przypadku po zakończeniu kariery spoczęcie na laurach niekoniecznie wchodziło w grę.

Ale przecież są jeszcze prawdziwi weterani, giganci odnoszący sukcesy w czasach, w których wyżej wymienieni jeszcze nie myśleli o sporcie. Wśród dawnych mistrzów za najlepszych biznesmenów zawsze uchodziły postacie, takie jak Zbigniew Boniek, niezrównany wirtuoz piłki, słowa i cyfry, czy Grzegorz Fibak, który elegancję tenisa bez wysiłku przekuł w kwintesencję stylu „old money". Ale mistrz może być tylko jeden. Najbogatszym polskim sportowcem jest 95-latek, który udowodnił, że rajdowa kierownica to świetny ster do zarządzania imperium – Sobiesław Zasada. Ten niegdyś genialny kierowca, a od lat jeden z najbogatszych Polaków, jest wspaniałym przykładem słuszności jakże szlachetnej zasady – prawdziwy majątek buduje się nie przez sezon, a przez pokolenia. A cała trójka weteranów przeczy tezie, wedle której kiedyś kariera kończyła się wraz z ostatnim gwizdkiem, a emerytura oznaczała smutne wspomnienia przy barze.

WARTO ZADBAĆ O WIZERUNEK

W jaki sposób dorabiają się sportowcy? Oczywiście pierwsze i najważniejsze są wyniki sportowe, bo to właśnie one są podstawą dużej pensji w klubie, negocjowania gaży za udział w sportowym wydarzeniu oraz zgarniania bonusów, premii i nagród za osiągnięcia.

Kariera sportowca jest krótka (średnio 10–15 lat) i obarczona ryzykiem kontuzji. Dlatego mądry sportowiec traktuje kontrakt nie jako cel sam w sobie, ale jako „paliwo" do budowy trwałego imperium. Wyniki sportowe uprawniają do negocjowania wysokich kontraktów reklamowych i monetyzacji social mediów, a to kolejna składowa budowania majątku. Wizerunek sportowca często jest warty więcej niż jego umiejętności techniczne, a rosnąca wartość marki osobistej pozwala zarabiać jeszcze więcej. W tej dziedzinie wzorem jest Iga Świątek, która dobiera współprace reklamowe bardzo rozważnie, dzięki czemu jej marka osobista jest obecnie wyceniana na... ponad 2 mld zł! Warto też pamiętać o marce „Tiger" Dariusza Michalczewskiego (choć tam trochę się działo, jeśli chodzi o spory sądowe). Zaczyna działać efekt Midasa – jeśli zatrudni się dobrego agenta i rzutkiego speca od social mediów, to sportowiec uśmiecha się szeroko z billboardu i wyskakuje z okienka na portalu informacyjnym, a jego majątek rośnie sam. Ale pieniądze warto też mądrze inwestować. Jak robią to najlepsi polscy sportowcy?

Fot. Bosar/East News, Michał Woźniak/Dzień Dobry TVN/East News, Shutterstock

W CO INWESTUJĄ?

Oczywiście najchętniej inwestują w popularny „beton". Nieruchomości to bezpieczna lokata, w zasadzie nieobarczona ryzykiem, a wynajem apartamentu zapewnia stały dopływ gotówki. Niektórzy budują hotele (Adam Małysz i Justyna Kowalczyk) i apartamenty na wynajem (Aga Tenis Apartments, czyli krakowski projekt Agnieszki Radwańskiej) albo stają się wręcz deweloperami (*casus* Sobiesława Zasady, chociaż jego grupa kapitałowa to znacznie więcej). Nie bez znaczenia jest namacalność domu czy mieszkania – tak samo jest chociażby z inwestowaniem w dzieła sztuki (kolekcja Wojciecha Fibaka jest warta ponad 100 mln zł) czy zwierzęta rasowe (Zbigniew Boniek i jego hodowla koni). Ale oczywiście wielu sportowców próbuje swoich sił na giełdzie albo współpracuje z analitykami rynków finansowych. Coraz częściej inwestują w start-upy i tym samym nakręcają innowacyjne sektory gospodarki. Na czasie jest wchodzenie jako „anioł biznesu" w gaming, wspieranie pomysłów z zakresu odnawialnych źródeł energii oraz finansowanie aplikacji mobilnych i wszelkich rewolucyjnych rozwiązań łączących technologię z finansami (fintechy) czy medycyną (medtechy).

Najnowszy trend to przejście z roli „słupa reklamowego" do roli przedsiębiorcy. Najbardziej ambitni sportowcy nie chcą promować jedynie cudzych produktów – chcą tworzyć własne. Oczywiście najpopularniejsze jest pływanie w wodzie, którą się zna, czyli zakładanie akademii sportowych. W cenie są też naturalne kosmetyki, suplementy i zdrowa żywność (Grzegorz Krychowiak i marka BioGol) – wszak sportowiec jest naturalnym autorytetem w dziedzinie zdrowia, a rynek wellness wydaje się nie mieć granic. Sportowcy lubią też firmować swoim nazwiskiem restauracje i bary (Arkadiusz Milik i jego katowicki Food & Ball, knajpa Marcina Gortata w Orlando na Florydzie), chociaż rynek gastronomiczny jest trudny i narażony na bankructwa. Sportowcy coraz częściej tworzą też własne linie perfum (Gortat i MG Evolution) czy ubrań (naczelny piłkarski elegant Grzegorz Krychowiak i marka Balamonte).

Ale prawdziwym kluczem mądrych inwestycji jest ich dywersyfikacja – portfel musi mieć wiele przegródek, a pieniędzy nigdy nie wkłada się tylko do jednej z nich. Za wzór w tej dziedzinie stawiany jest Lewandowski, który ma ekstremalnie silną markę osobistą (RL9), wspólną z żoną Anną linię suplementów i produktów dietetycznych (Levann), nieruchomości w Warszawie (apartament przy ul. Złotej 44 i dom na Mokotowie), na Warmii (rezydencja w Stanclewie), w Hiszpanii (wille na Majorce i w Katalonii), buduje apartamentowiec w stolicy przy ul. Chłodnej 35 (Monting Development), otworzył swoją restaurację (NINE'S w Browarach Warszawskich) i agencję marketingową (Stor9), produkuje gry wideo (RL9Sport Games).

JAK OPRZEĆ SIĘ POKUSOM?

Przekleństwem sportowców od zawsze było życie ponad stan i trwonienie fortuny, która niekiedy w ciągu paru lat dosłownie wyparowywała. Przyzwyczajeni do życia w luksusach bywali wykorzystywani jako „chodzące bankomaty" przez rodzinę i znajomych, tracili miliony na luksusowe auta i zegarki, a nawet tygrysy bengalskie, uzależnieni od sportowej adrenaliny wpadali w szpony hazardu, nie mogli się oprzeć doczesnym pokusom.

Do klasyki przeszła wypowiedź George'a Besta, genialnego skrzydłowego Manchesteru United: „Większość swoich pieniędzy wydałem na alkohol, kobiety i szybkie samochody. Resztę po prostu roztrwoniłem". Na szczęście dzisiaj sportowcy są o wiele lepiej wyedukowani finansowo, korzystają z pomocy psychologów chroniących ich przed manowcami sławy i bogactwa, mają rzesze doradców dbających o bezpieczeństwo ich pieniędzy. Przeszli od prostego schematu: „Zarób i wydaj" do modelu: „Zarób, zainwestuj, pomnóż, zdywersyfikuj".

Polscy sportowcy odrobili lekcję z Zachodu. Nie chcą być już tylko bohaterami stadionów, którzy po karierze kończą z niczym. W jej trakcie budują silną markę osobistą, inwestują w nieruchomości, a także odważnie wchodzą w nowe technologie i otwierają własne biznesy. A przede wszystkim – mądrze dywersyfikują swój majątek, nie wrzucając wszystkich pieniędzy do jednego worka. Sportowiec XXI w. to hybryda atlety i prezesa.

Nad Bosforem włosy rosną najszybciej

Jeszcze kilka lat temu Stambuł kojarzył się przede wszystkim z zapachem przypraw, nawoływaniami muezinów czy słońcem odbijającym się w wodach Bosforu. Dziś ma nową wizytówkę – mężczyzn z obandażowanymi czołami i zaczerwienionymi „skalpami", którzy wracają do swoich domów z „pamiątką" znacznie trwalszą niż magnes na lodówkę. Turcja stała się bowiem światową stolicą przeszczepów, a jej lotniska i hotele są pełne pacjentów, którzy przyjeżdżają po nowe rzędy włosów, nowego siebie, a zdarza się, że również po nowe problemy

GRZEGORZ SZAFRANIEC

Według Tureckiej Rady ds. Turystyki Zdrowotnej kraj ten rocznie odwiedza ponad 1 mln osób chcących przeszczepić włosy – to niemal 60 proc. światowego rynku. Stambulska klinika Dr. Serkan Aygin prognozuje, że w 2025 r. liczba ta przekroczy 1,1 mln. To skala trudna do wyobrażenia – jakby cała ludność dużego europejskiego miasta przewinęła się przez szpitale w Stambule i Antalyi, gdzie przeprowadzany jest co trzeci zabieg transplantacji włosów. Wszystko to sprawia, że wpływy z turystyki medycznej przekraczają już 2,3 mld dol. rocznie i cały czas rosną.

TURKISH HAIRLINES

O tym, jak masowym zjawiskiem stała się turystyka „przeszczepów", przekonała się pewna ukraińska tiktokerka, lecąc samolotem z Turcji. Zwróciła uwagę na nietypowy widok – rzędy mężczyzn z widocznymi śladami po przeszczepie włosów. „Chyba lecę dziś Turkish Hairlines" – skomentowała w sieci, załączając nagrany na pokładzie filmik. Post nie wszystkim przypadł do gustu. Niektórzy internauci zarzucili jej zawstydzanie mężczyzn, z kolei inni stanęli po stronie influencerki, zwracając uwagę, że to zabawna obserwacja. Niezależnie od ocen, faktem jest, że podobny widok już specjalnie nie dziwi. Ba, powoli staje się symbolem współczesnej turystyki medycznej.

ŁADNE WŁOSY TO NIE TYLKO KWESTIA ESTETYKI

Pacjenci korzystają z dwóch lotnisk: Istanbul Airport i Sabiha Gokcen Airport. Oba porty mają liczne połączenia z Polską, są obsługiwane przez przewoźników, takich jak LOT, Wizz Air, Turkish Airlines czy Pegasus. Znalezienie dogodnego terminu lotu jest zazwyczaj dość łatwe, szczególnie poza weekendami.

– Właśnie wylatuję, jutro zabieg, a pojutrze wracam. W Polsce za przeszczep zapłaciłbym 30 tys. zł, tam zrobię to za 5 tys. – mówi Jarosław, 54-latek ze Starachowic z łysiną wielką jak stadion z lotu ptaka. Mimo czekającej go stresującej operacji w pełnej narkozie i długiej rehabilitacji, tryska optymizmem. – Za rok będę innym człowiekiem. Może otworzę firmę. Może się nawet ożenię – komentuje.

Takie podejście nie powinno dziwić. Wszak dla wielu pacjentów bujne, mocne włosy nie są wyłącznie kwestią estetyki – oznaczają poczucie kontroli nad własnym życiem.

TRZY GODZINY LOTU, TRZY DNI NA MIEJSCU

W Stambule nie trzeba niczego szukać – kliniki same cię znajdują. Reklamy są wszędzie: na billboardach, taksówkach, a nawet w menu restauracji („Zapytaj o rabat na przeszczep włosów!"). Pod kliniki podjeżdżają czarne vany. Na dachu autobusów reklamują się arabskie i rosyjskie centra urody. W hotelach przy recepcji czekają tłumacze.

Turystyczno-przeszczepowe eskapady trwają zazwyczaj trzy, maksymalnie cztery dni. Pierwsza doba to przylot, wstępne badania i zakwaterowanie w hotelu. Nazajutrz wykonywany jest zabieg poprzedzony konsultacją medyczną, a dobę później odbywa się finalna kontrola, po której pacjent wraca do kraju. Harmonogram napięty do granic możliwości i do granic możliwości ryzykowny. A co z aspektem turystycznym, tak mocno reklamowanym przez organizatorów? Cóż – trudno go dostrzec.

INFLUENCERZY CZY NAGANIACZE?

Jednak nie każdy przyjeżdża z Turcji zachwycony. Coraz głośniej mówi się o influencerach, którzy – często nie mając elementarnej wiedzy medycznej – reklamują zabiegi dla pieniędzy lub zasięgów.

Turcja: turystyka medyczna w liczbach

- 1,1 mln pacjentów rocznie przeszczepiających włosy
- 60 proc. globalnego rynku transplantacji włosów
- 2,3 mld dol. rocznych przychodów z turystyki zdrowotnej
- 1,5–4,5 tys. euro za zabieg FUE
- 10 dni na pełną rekonwalescencję
- 3–4 miesiące na rozpoczęcie wzrostu nowych włosów
- 1 rok do uzyskania docelowego efektu

Źródło: Kliniki.pl; Bankier.pl; 2024

– Tacy „naganiacze" sprzedają marzenia, nie ryzyko. Nastoletnie dziewczęta i młodzi mężczyźni oglądają ich relacje z pięciogwiazdkowych hoteli i nabierają przekonania, że operacja to po prostu egzotyczne wakacje z bonusem. Problem zaczyna się, gdy ktoś wraca z komplikacjami, a kontakt z kliniką nagle się urywa – mówi nam redaktor naczelna jednego ze specjalistycznych periodyków zajmujących się rynkiem medycyny estetycznej.

Media społecznościowe budują fałszywe przekonanie, że zabiegi są proste i bezpieczne, a materiały promocyjne rzadko zawierają informacje o ryzyku. Influencerzy tworzą iluzję, że operacja jest prostym zabiegiem estetyczno-kosmetycznym. Ich odbiorcy nie widzą ryzyka, skupiają się wyłącznie na efekcie.

„To jak pokazywanie lądowania, ale nie startu. Media społecznościowe zmieniły medycynę estetyczną w emocjonalny fast-food. Chcemy efektu natychmiast" – czytamy w internetowym wpisie psycholog społecznej dr Moniki Kropki.

Przykładowe ceny zabiegów

Lifting twarzy: 2,5–3,2 tys. euro
Plastyka nosa: 1,8–3,5 tys. euro
Plastyka brzucha: 2,5–5 tys. euro
Operacja plastyczna: 2,5–5 tys. euro
Powiększenie piersi: od 3,7 tys. euro
Przeszczep włosów (metoda FUE): od 2 tys. euro

Źródło: Meditravel.pl

Fot. Shutterstock

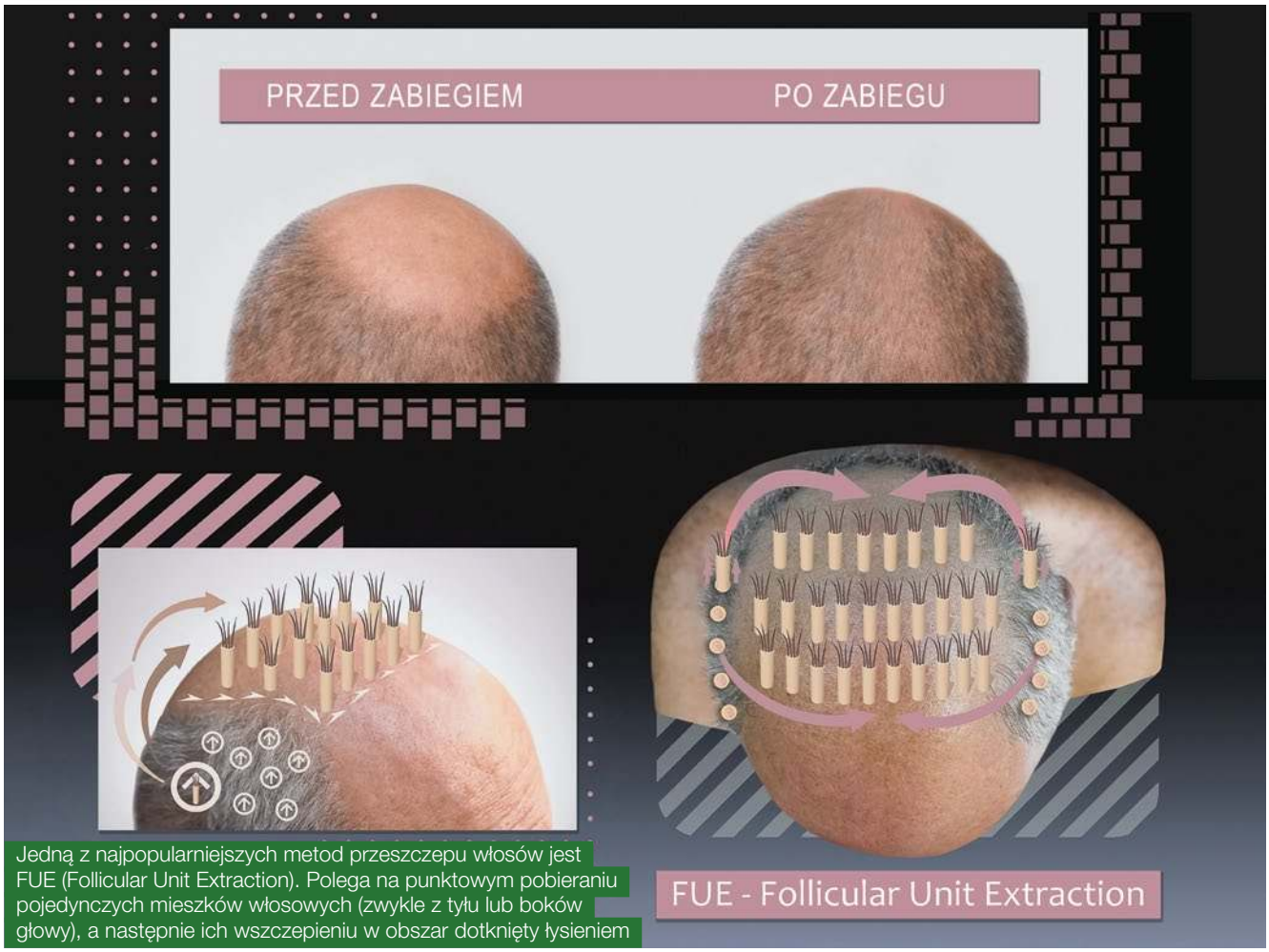

Jedną z najpopularniejszych metod przeszczepu włosów jest FUE (Follicular Unit Extraction). Polega na punktowym pobieraniu pojedynczych mieszków włosowych (zwykle z tyłu lub boków głowy), a następnie ich wszczepieniu w obszar dotknięty łysieniem

GDZIE JEST HACZYK?

W Europie prywatna opieka zdrowotna jest droga, a kolejki długie. Tymczasem w Turcji koszty mogą być o połowę niższe. Przeszczep włosów kosztuje 1,5–4,5 tys. euro, podczas gdy w Polsce – 20–40 tys. zł. Dodatkowo Turcja może się pochwalić klinikami z akredytacją Joint Commission International (JCI), która jest złotym standardem w medycynie. Wiele z nich zatrudnia wysoko wykwalifikowany personel i korzysta z nowoczesnego sprzętu.

– Prężny rozwój turystyki medycznej do Turcji jest efektem strategicznych decyzji podjętych przez rząd tego kraju. Sektor medycyny estetycznej otrzymuje olbrzymie wsparcie na promocję swych działań. Generalnie Polska nie jest konkurencyjna cenowo. Owszem, są jeszcze takie obszary, jednak często powtarzane twierdzenie, że „nad Wisłą jest tanio", ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Sektor medycyny estetycznej nie może też liczyć na wsparcie ze strony państwa – zarówno promocyjne, jak i organizacyjne – mówi dr Anna Białk-Wolf, dyrektor Fundacji Proturmed.

MASOWA PRODUKCJA METAMORFOZ

Niektóre kliniki wykonują nawet 40 zabiegów dziennie. Pacjenci przechodzą jak przez taśmę montażową. Czasem operację zaczyna lekarz, a kończą technicy. To biznes, nie sztuka. Jeśli klinika obiecuje wszystko za pół stawki, to musi oszczędzać gdzie indziej. Najczęściej na czasie i personelu.

Jak wygląda zabieg FUE?

- Znieczulenie miejscowe lub całkowite
- Pobranie graftów (tzw. mikropunchu) z tyłu głowy
- Przygotowanie mikrokanalików
- Implantacja włosów
- Pierwsza noc w hotelu
- Mycie kontrolne w klinice
- Unikanie słońca i siłowni przez 14 dni

Źródło: Jackstronghair.com

Dr Joanna Kurmanow, doświadczony chirurg plastyczny z Warszawy, ostrzega na swoim blogu: „Przeszczep włosów jest zabiegiem chirurgicznym. Znieczulenie, nacięcia, ryzyko infekcji – to zdecydowanie coś innego niż pedicure na wakacjach [...], dlatego niższa cena nie może stanowić jedynego kryterium wyboru".

Fot. Shutterstock

TRZY METODY – Z BLIZNAMI I BEZ

Najpopularniejsze metody przeszczepu włosów to FUE (Follicular Unit Extraction) i DHI (Direct Hair Implantation). FUE polega na punktowym pobieraniu pojedynczych mieszków włosowych, a następnie ich wszczepieniu w obszarze biorczym po przygotowaniu kanałów. DHI jest modyfikacją FUE – mieszki są pobierane i od razu wszczepiane za pomocą implantera Choi, eliminując potrzebę tworzenia osobnych nacięć. Metoda FUT (Follicular Unit Transplantation), zwana też „strip", jest starsza i polega na pobraniu paska skóry, co pozostawia widoczną bliznę, dlatego obecnie jest rzadziej stosowana.

JEDNORAZOWI PACJENCI

Turcy mają świadomość, że przyjeżdżają do nich tzw. pacjenci jednorazowi. Większość z tych osób już nigdy nie wróci, więc trzeba maksymalnie wykorzystać okazję, czyli wcisnąć im dodatkowe zabiegi – często takie, które w ogóle nie są potrzebne i stanowią ogromne obciążenie dla organizmu. Lifting podbródka „przy okazji" przeszczepu włosów? Zdarza się. Liposukcja wraz z plastyką brzucha w jednym podejściu? Powszechne. Wszczepienie implantów piersi połączone z korektą uzębienia? Czemu nie?

Oczywiście wszystkie zabiegi są robione w pośpiechu, bo przecież czas to pieniądz. Efekt takiego podejścia może być fatalny, bo pacjenci, którzy polecieli szukać urody, w konsekwencji zostają oszpeceni. Internet jest pełen zdjęć dokumentujących skutki eksperymentów niektórych amatorów ze skalpelem w dłoni mieniących się „chirurgami plastycznymi". Najwięcej jest obrazków z poprawionymi tzw. tureckimi zębami.

Nazajutrz po operacji i wielogodzinnej narkozie jednorazowego pacjenta czeka najczęściej lot w zatłoczonym samolocie. A to wydatnie zwiększa ryzyko powstania zakrzepów czy infekcji, a nawet martwicy skóry, zatorów czy sepsy. Jeśli coś pójdzie nie tak, zaczynają się strome schody, bo opieka pooperacyjna często kończy się na lotnisku.

CO PO NIEUDANYM ZABIEGU?

Pacjent wracający do kraju z powikłaniami znajduje się w trudnej sytuacji. Duży problem stanowi to, że Turcja nie jest członkiem Unii Europejskiej i obowiązujące tam przepisy mogą zasadniczo odbiegać od unijnych regulacji. Aby móc dochodzić roszczeń, konieczne jest prowadzenie postępowania w kraju, w którym przeprowadzono zabieg. To kosztowne i czasochłonne. Fachowcy zalecają zabezpieczenie pełnej dokumentacji medycznej (wypisów, wyników badań, historii leczenia, zgody na zabieg) i złożenie pisemnej reklamacji do dyrekcji szpitala.

WAŻNE

- Masz zazwyczaj trzy lata na podjęcie działań prawnych od momentu uświadomienia sobie szkody;
- Działaj bez zwłoki, aby zabezpieczyć dowody i nie przekroczyć terminów przedawnienia się roszczeń (również na podstawie Konwencji Haskiej).

W dalszej kolejności powinniśmy skonsultować się z polskim prawnikiem medycznym, który zna prawo międzynarodowe, aby ocenić sytuację i zaplanować następne kroki – w tym pozew cywilny (przed sądem konsumenckim lub gospodarczym w Turcji). Warto również złożyć skargę do lokalnych urzędów. A może Rzecznik Praw Pacjenta byłby w stanie pomóc? Niestety nie. Anna Hernik-Solarska z biura prasowego RPP wyjaśniła nam, iż w kompetencjach rzecznika nie leży badanie przypadków potencjalnych błędów medycznych, do których dochodzi na terenie innych krajów. Jego działania dotyczą jedynie Polski.

– Szczególnej ostrożności wymagają umowy z pośrednikami organizującymi wyjazdy na zabiegi medyczne. To właśnie w tych dokumentach często znajdują się klauzule wskazujące wyłączną właściwość miejscową sądów tureckich lub ograniczające zakres odpowiedzialności pośrednika. Klienci powinni uważnie analizować postanowienia dotyczące rozwiązywania sporów, aby mieć świadomość, w jakim kraju i przed jakim sądem będą musieli dochodzić swoich roszczeń. Wiele takich umów przerzuca ciężar odpowiedzialności wyłącznie na klinikę – mówi adwokat Kamil Piotrowski, ekspert z zakresu błędów medycznych i praw pacjenta.

Sugeruje jednocześnie, że zanim zdecydujemy się na wniesienie pozwu, warto rozważyć podjęcie postępowania przedsądowego w formie reklamacji zabiegu. – Jeśli nie doszło do całkowitej utraty zaufania do lekarza, pacjent może w pierwszej kolejności zwrócić się z wnioskiem o wykonanie korekty lub przeprowadzenie zabiegu naprawczego – mówi adwokat.

OPERACJA Z GŁOWĄ

Czy da się to zrobić dobrze? Tak – pod warunkiem zachowania zdrowego rozsądku. Podpisywane dokumenty często są w języku angielskim lub tureckim. Zestresowany i podekscytowany pacjent w pośpiechu akceptuje wszystko, byle tylko mieć zabieg „na już". A gdy coś pójdzie nie tak, zderza się ze ścianą. Operacja to nie zagraniczny urlop, lecz poważna decyzja medyczna. Przed zabiegiem trzeba odpowiedzieć sobie na kluczowe pytania:

- Czy chirurg, który będzie nas operował, ma międzynarodowe certyfikaty?
- Jakie posiada doświadczenie w medycynie estetycznej?
- Czy ma ubezpieczenie OC?
- Jak wyglądają standardy dotyczące higieny i procedury bezpieczeństwa?
- Kto odpowiada za powikłania?
- Czy można liczyć na opiekę po powrocie do kraju?
- Jakie są opinie innych pacjentów na temat kliniki i lekarza?

Trzeba też ocenić standardy kliniki i sprzęt, którym dysponuje. Warto się zastanowić nad ubezpieczeniem, a nawet pochylić nad własną odpornością psychiczną.

Reasumując: przeszczep włosów w Turcji może być świetną decyzją, jeśli pacjent zrobi to rozsądnie, w sprawdzonej klinice, po konsultacji ze specjalistami i świadomie podpisując dokumenty. Problem zaczyna się tam, gdzie decydują pośpiech, emocje i... influencerzy.

Herold idealny

Zwierzęta władające ludzką mową łączą się z Bożym Narodzeniem w sposób znacznie silniejszy niż tylko poprzez tradycję, zgodnie z którą raz w roku, w Wigilię Narodzenia Pańskiego, przemawiają do swojego gospodarza

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Boże Narodzenie w symbolice łączy się z zaskakującym zwierzęciem – papugą. Zdolność mówienia, która dzisiaj jest ciekawostką, wiele wieków temu sprawiła, że postrzeganie tych ptaków było zupełnie inne: zarezerwowano dla nich reprezentowanie Ducha Świętego, Matki Boskiej i zwiastowania.

Wizerunki afrykańskich i azjatyckich papug na średniowiecznych i renesansowych europejskich dziełach sztuki wcale nie są rzadkie. W tych dawnych czasach papuga nie zyskała jeszcze złych konotacji – jako gadatliwa, głupia, bezmyślnie naśladująca innych. Te pojawiły się dużo później. W średniowieczu i renesansie papugi łączyły się z tym, co ekstremalnie tajemnicze, wymykające się poznaniu, wręcz ezoteryczne – głównie dzięki zdolności mówienia. Dziś może wydaje się to zaskakujące, lecz papuga pojawiała się na obrazach obok Matki Boskiej, niejednokrotnie w scenach zwiastowania, i wcale nie była ozdobnym tłem, lecz stworzeniem odgrywającym ważną rolę.

Wyróżniając się wśród zwierząt umiejętnością mówienia, papugi miały status istoty lepszej, umiejscowionej wyżej na drabinie bytów – takiej, która może się znajdować bliżej Boga. To, co dziś bywa postrzegane jako brak – powtarzanie, czyli papugowanie, często bez zrozumienia, dawniej, zupełnie na

Afrykańska żako

odwrót, uważano za zaletę. Zdolność do powtórzenia tekstu bez potrzeby własnej interpretacji cechuje bowiem dobrego herolda, zwiastuna, co odsyła właśnie do zwiastowania. Dobry posłaniec powtarza tekst, którego się nauczył, jest rodzajem nośnika. Nie jest to więc wada czy niedoskonałość, lecz zaleta.

WYSOKA SZARŻA PAPUGI

Dodatkowo papuga była symbolem kobiecości. W połączeniu tych znaczeń stała się symbolem Maryi. Także dzięki temu, iż uosabiała szczególną czystość – jako egzotyczny ptak, o którym sądzono, że gniazduje w krainach Orientu, gdzie nigdy nie pada deszcz i nie ma możliwości ubłocenia się.

Szczególnie jeżeli papuga była biała, stanowiła nie tylko symbol czystości, lecz także odniesienie do innego białego ptaka – gołębia. I tu pojawia się niezmiernie interesujący wątek. Istnieją na świecie gatunki białych papug, a mianowicie australijskie kakadu, które świetnie mówią. Jedynym problemem jest to, że kakadu nie występuje nigdzie poza Australią, a Europejczycy poznali ten kontynent dopiero w XVII w. Jak ten ptak mógł się więc pojawiać w sztuce europejskiej w średniowieczu i renesansie?

Australijska kakadu

Wyjaśnienie istnieje. Ponieważ jednak historia ta odbiega od tematu, można tylko wspomnieć, że najstarsze znane przedstawienie kakadu w Europie pochodzi z pierwszej połowy XIII w. i znajduje się w ornitologicznym notesie cesarza Fryderyka II. Piękną papugę tego gatunku, o lekko różowych piórach i czerwonym czubie, uwieczniono na XVI-wiecznym wawelskim arrasie króla Zygmunta Augusta „Borsuk przy gnieździe czapli" (bardzo dobrej jakości zdjęcia są dostępne na stronie Zamku Królewskiego na Wawelu, niewykluczone, że mamy tu do czynienia z gatunkiem lub odmianą wymarłą, co czyni tę papugę jeszcze ciekawszą).

Jako towarzyszkę Matki Boskiej papugę kakadu można podziwiać na XV-wiecznym obrazie Andrei Mantegni „Matka Boska Zwycięska". Biały ptak siedzi po lewej stronie obrazu, w tle. Jest namalowany tak dokładnie, że można go zidentyfikować jako kakadu żółtoczubą.

PTAKI MÓWIĄ INACZEJ

Ptaki nie mają strun głosowych – to struktura właściwa jedynie ssakom. Ich narząd głosowy, nazywany syrinx, znajduje się głębiej niż u nas – tam, gdzie tchawica rozdziela się na oskrzela. Dzięki temu przy tej samej włożonej energii dźwięki są głośniejsze, możliwe jest także wydawanie dwóch dźwięków niezależnie od siebie, a to dzięki wykorzystaniu odrębnych strumieni powietrza: z płuca prawego i lewego.

Inaczej wygląda też budowa języka ptaków – nie mają one ust i w ogóle wielu elementów budowy, co sprawia, że naśladowanie mowy ludzkiej powinno być dla nich bardzo trudne, a raczej niemożliwe. Mimo to niektórym gatunkom udaje się to tak dobrze, że nie może być jedynie tanią sztuczką. I rzeczywiście nie jest.

Ary

W świecie ptaków głos jest niezmiernie ważny. Te zwierzęta często nie chcą być widziane, chcą być natomiast słyszane, to podstawowy element ich komunikacji. Każdy gatunek wydaje bardzo szeroki repertuar dźwięków, a każdy z nich ma swoje znaczenie. Przy tym różni się od dźwięku nie tylko innych gatunków, lecz także dźwięków wydawanych przez ptaki tego samego gatunku, lecz żyjące w innym kraju. Inaczej ćwierka wróbel domowy z Polski, a inaczej wróbel domowy z Francji. To tylko przykład, lecz dotyczy również innych gatunków. Niepotrzebne są tu skomplikowane analizy – to po prostu słychać. Nauka głosów, ich słuchanie i wydawanie oraz naśladowanie dźwięków zasłyszanych są więc czymś bardzo charakterystycznym dla ptaków.

Bazowanie na głosie w tak dużym stopniu sprawia, że istnieje wiele przypadków, w których dla ornitologa ważniejsza jest znajomość głosu niż wyglądu ptaka, co sprawia, że ornitologia jest zajęciem bardzo odpowiednim dla osób niewidomych i słabowidzących. Jako osoby o wyczulonym słuchu mogą one osiągać nawet lepsze efekty niż osoby bazujące na wzroku.

MISTRZOWIE MOWY

Wspomniane kakadu należą do papug wyróżniających się pod względem umiejętności naśladowania ludzkiej mowy (a może nieraz bliższym istoty jest raczej słowo: „używanie"?) i powtarzania słów. Mówiące kakadu z pewnością zawdzięczają popularność także wyglądowi i cechom osobowościowym. Istnieją jednak gatunki mówiące lepiej.

Południowoamerykańskie ary mówią całkiem nieźle. Do tego – m.in. dzięki charakterystycznej budowie części twarzowej i dużemu dziobowi, którego każda z połówek może wykonywać różnorodne ruchy – mają również zdolności mimiczne.

Świetne – jeżeli im się chce – są także zielono upierzone amazonki, których poszczególne gatunki różnią się rozmaitymi barwnymi dodatkami, a także zdolnościami do nauki ludzkich słów.

Fot. Shutterstock

Amazonka płomiennosterna

Aleksandretta obrożna

Aleksandretty obrożne to papugi afrykańsko-indyjskie, które od dawna występują w wielu krajach europejskich, a od niedawna w Polsce (są silne, pewne siebie i bywają agresywne, są więc typowym gatunkiem obcym, inwazyjnym). Potrafią nauczyć się nawet całych zdań.

Mówią również papugi mnichy wywodzące się z Ameryki Południowej albo często hodowane w domach papugi nimfy, pochodzące – tak jak kakadu – z Australii.

Papużka falista

Do świetnie mówiących ptaków uczących się pojedynczych słów, a także zdań, zaliczają się małe papużki faliste. One również pochodzą z Australii. Papuga falista imieniem Puck była absolutną rekordzistką – znała 1728 słów.

Najlepiej mówiących papug – nie pod względem liczby słów, lecz umiejętności i celowości posługiwania się nimi – można szukać wśród afrykańskich żako. Wprawdzie żadna z nich nie nauczyła się tylu słów co Puck, lecz w ich przypadku wyraźnie widać, że nie powtarzają ich mechanicznie, ale przyswajają sobie ich znaczenie i używają ich ze zrozumieniem. Czy jest to jednak dziwne w świetle wspomnianych zdolności do posługiwania się dźwiękami, naturalnych wśród ptaków?

Często przytaczanym przykładem jest żako Alex. To pierwszy ptak, który zadał pytanie, w dodatku patrząc na siebie w lustrze i pytając: „Jaki kolor?" (a dokładnie: „What colour?" ponieważ Alex był angielskojęzyczny). Umiał porównywać przedmioty, używając określeń „większy", „mniejszy", a ostatnie słowa, jakie wypowiedział do opiekunki przed swoją śmiercią, brzmiały: „You be good. I love you. See you tomorrow" („Bądź dobra. Kocham cię. Do zobaczenia jutro"), choć podobno nie było to nic dziwnego, bo mówił tak co wieczór.

Miałem okazję spotkać papugę żako umiejącą mówić. To, że na pytanie, jak ma na imię, odpowiadała „Kuba", nie było może najciekawsze. Znacznie bardziej interesujące było to, że zagadywana papuga – chociaż było widać, że rozumie pytanie – nie chciała odpowiadać, dopóki nasza grupa nie zaczęła odchodzić. Dopiero wtedy powiedziała, jak ma na imię – dobrze wiedziała, o co chodzi, tylko po prostu nie chciało się jej gadać. Ponieważ jednak lubiła, żeby poświęcać jej uwagę (jak zresztą wiele papug), wiedziała też, kiedy i co powiedzieć – oczywiście na słowo „Kuba" wszyscy zawrócili, żeby podziwiać, jaka jest mądra. Po zachowaniu było widać, że podziw sprawiał jej przyjemność.

Oczywiście istnieją różne zdania w kwestii tego, który gatunek uznać za najlepiej mówiący. Do tego dochodzi również to, że ptaki – niezależnie od gatunku – różnią się między sobą indywidualnymi zdolnościami. Przy okazji – jeżeli ktoś szukałby np. filmów z mówiącymi papugami w internecie, powinien mieć świadomość, że część z nich może nie być prawdziwa. Zresztą w ogóle ptaki – nie tylko te mówiące – należą do chętnie generowanych przez sztuczną inteligencję.

Czy i na ile papugi używają mowy świadomie? Sądzę – bazując na obserwacjach nie tylko mowy papug, lecz także ogólnie zachowania ptaków – że celowość stosowania słów i rozumienie ich znaczenia w wielu przypadkach może być naprawdę wysokie i bliskie, jeżeli nie stricte definicji umiejętności posługiwania się mową, to intencjonalnej, inteligentnej i niosącej emocje komunikacji.

Mnicha

Fot. Shutterstock

Świąteczny kobierzec smaków

Wigilia to chyba ostatnia uczta, którą próbujemy przygotowywać, trzymając się tradycji i tego, co zapamiętaliśmy z dzieciństwa. Im większa rodzina, tym ten kobierzec smaków jest utkany z ciekawszych i barwniejszych nici. Jeśli w święta kolędujemy po bliższej i dalszej rodzinie, robi się jeszcze bardziej interesująco. U mnie tradycje mazowieckie mieszają się ze śląskimi, kresowymi, góralskimi, pomorskimi, puszczańskimi. Cały kalejdoskop

Co roku ustalamy, co kto przygotuje, żeby w zdrowiu i z dobrym humorem przeżyć kilka dni rodzinnego biesiadowania. Dobrze wiemy, kto jest mistrzem śledzia, a kto nastawia najlepszy barszcz. Kiedy ruszamy w odwiedziny do miejsc, w których tradycje świąteczne są całkiem inne, zdarzają się zaskoczenia, ale bywa też tak, że przywozimy jakieś ciekawe danie, które na stałe wciągamy na naszą świąteczną listę.

SZUBA I MOCZKA

Gdy w ubiegłym roku w drugi dzień świąt dotarliśmy do rodziny w Katowicach, czekały na nas kluski z makiem – tamtejszy rarytas. Specjalnie dla nas kuzynka ocaliła odrobinę przed swoją rodziną. Była ciekawa, co powiemy na takie smaki. Kluski zupełnie nam nie smakowały, co jej córki przyjęły z radością.

Ale my też mieliśmy kulinarną niespodziankę. Bardzo się dziwiły, gdy wyciągnęłam słój z szubą, czyli sałatką śledziową podawaną z pieczonymi burakami, startymi na grubej tarce jarzynowej, którą bardzo lubimy. Przepis na nią dostałyśmy od znajomych zza Bugu. Dzieci patrzyły na słój podejrzliwie, bo u nich na Śląsku robi się szałot – w sumie podobny, ale bez buraków, za to z drobno pokrojoną kiełbasą. Gdy pojawił się na stole, konsumpcji odmówiła z kolei moja córka.

Im nie smakował kwaskowaty kisiel żurawinowy, o który u nas w domu toczyły się walki, a raz doszło nawet do przestępstwa, bo jedna ciotka wypiła i swój, i sąsiadki przy stole, co wypominano jej przez wiele lat. My z kolei nie mogłyśmy przełknąć moczki, czyli zupy piernikowej z suszonymi śliwkami, którą u nich je się na zimno. Miałam podobny problem, gdy moja koleżanka z Podhala poczęstowała mnie kiedyś wigilijną zupą z suszonych owoców.

Za to bardzo smakował mi inny góralski przysmak, czyli pieczone na blasze placki z ziemniaków. Podawała je z rydzami smażonymi na maśle. Były świątecznym przebojem.

Na szczęście nikt się na nikogo nie obrażał – po prostu śmialiśmy się z tego, jak różne mamy wigilijne upodobania. Bo na co dzień jemy podobnie.

PRZEBOJOWY DORSZ

Pamiętam, jak siostra mamy przeniosła się pod Szczecin i nagle na wyprawianych przez nią wigiliach pojawił się łosoś przygotowywany na skandynawską modłę, marynowany w soli z koprem lub w czosnku oraz dorsz zamiast karpia.

Fot. Shutterstock

Śledzie z mleczem

Bierzemy: 10 śledzi solonych z beczki, tzw. mleczaków, 4 duże cebule, ocet 10 proc., pieprz ziarnisty, ziele angielskie, liść laurowy, cukier.

Śledzie myjemy, oczyszczamy z błon, odcinamy łby i ogony, filetujemy, mlecz odkładamy. Jeśli są bardzo duże, płaty kroimy na pół w poprzek. Robimy zalewę: do 0,5 l wody dodajemy szklankę octu spirytusowego, łyżkę cukru, 15 ziaren pieprzu, 7 ziela angielskiego i 2 listki laurowe. Zalewę gotujemy i studzimy.

Cebule kroimy na talarki i przelewamy wrzątkiem, żeby była delikatniejsza.

Mlecz przecieramy przez sito i gęsty sok dodajemy do zimnej zalewy. Miksujemy. W salaterce układamy filety śledziowe i cebule, dodajemy mleczną zalewę i odstawiamy do piwnicy. Śledzie będą gotowe po 3–4 dniach.

Łosoś marynowany w soli z wódką

Bierzemy: 0,5 kg świeżego łososia ze skórą, szklankę soli morskiej, dużą ekologiczną cytrynę (potrzebna będzie też skórka), 3 łyżki czerwonego pieprzu, 2 duże pęczki zielonego świeżego koperku, kieliszek wódki.

Łososia trzeba przepłukać zimną wodą, zeskrobać łuski. Koperek posiekać, a pieprz utłuc w moździerzu. Na arkusz grubej folii aluminiowej sypiemy warstwę soli i układamy na niej filet skórą do spodu. Ścieramy skórkę z cytryny, a sok wyciskamy, łączymy z wódką i nacieramy rybę. Resztę soli mieszamy ze skórką, pieprzem i grubo obkładamy płat łososia. Posypujemy posiekanym koperkiem, szczelnie zawijamy, a od spodu robimy dziurkę, żeby wytworzony w czasie marynowania płyn mógł wypłynąć. Paczuszkę dociskamy deską i układamy w lodówce pod kątem. Marynujemy dwie doby, a potem czyścimy z kopru, osuszamy ręcznikiem i kroimy na ukos w jak najcieńsze plasterki. Podajemy z cytryną.

Był to dla mnie szok kulturowy, bo wychowałam się na śledziu w śmietanie i oleju, a o dorszu krążyło w moich stronach brzydkie powiedzonko: „Jedzcie dorsze, gówno gorsze". Tymczasem ten przygotowany przez nią, kupiony od zaprzyjaźnionych rybaków prosto z kutra, smakował wybitnie – był delikatny, kwaskowaty i pięknie pachniał koperkiem. U nas, w centrum Polski, takich rarytasów po prostu nie było, za to wszyscy rzucali się do kolejek po karpie.

Moja babcia co roku szykowała rybę po polsku, czyli w szarym sosie. Pamiętam, jak walczyła z nią w kuchni, żeby delikatne i tłuste mięso nie rozpadło się podczas gotowania, a potem stosowała wymyślne szantaże, by nauczyć mnie i moje siostry jedzenia tej tradycyjnej potrawy. Gdy podrosłyśmy, grono amatorów karpia na szaro było już tak niewielkie, że babcia się poddała. Podobny los spotkał zupę gotowaną na karpiowych łbach.

Uparcie przygotowywała jednak kutię z gotowanych ziaren pszenicy, maku, bakalii i miodu, żeby upamiętnić rodziców swojego męża, którzy mieli litewskie korzenie. Powtarzała też za Zygmuntem Glogerem, przedwojennym etnografem i historykiem, że „bez kucyi nie było w Polsce uczty wigilijnej ani u kmiecia, ani u magnata". Zwłaszcza na Litwie, Rusi i Podlasiu oraz u nas.

Dziś w mojej rodzinie – a właściwie jej warszawskiej odnodze – karpia je tylko mój tata, i to wyłącznie smażonego. Mama robi go raz do roku, a mąż siostry szykuje wybitną rybę smażoną z warzywami, zazwyczaj mintaja albo mirunę, nie wiadomo czemu nazywaną rybą po grecku. O kutii zapomnieliśmy na wiele lat, bo tradycja przygotowywania jej umarła wraz babcią.

BARSZCZ CZY RYBNA?

Co roku ustalamy, kto tym razem nastawia barszcz, a kto wywar na grzybach. To ważna decyzja, bo u tych, którzy mają grzybową, będzie też mój smakołyk, czyli kotleciki z kapeluszy, na których wcześniej nastawiono zupę. Jedną i drugą podajemy do kapusty z grzybami, chyba że ktoś się poświęci i zrobi uszka.

Jestem zwolenniczką jeszcze innej wigilijnej zupy, czyli rybnej (ale nie na łbach, bo mam uraz z dzieciństwa). Jadłam ją kiedyś u znajomych nad morzem i od tej pory staram się przekonać do niej moich bliskich – z dobrym skutkiem, bo jest przepyszna i godna najważniejszej kolacji w roku. Oczywiście nie mam dostępu do ryb prosto z kutra, ale z mrożonych wychodzi równie smaczna.

Makiełki (makówki)

Bierzemy: 0,5 kg maku, 1 l mleka, łyżkę dobrego masła, 6 łyżek płynnego miodu, plecionkę, czyli chałkę, 8 dag włoskich orzechów (lub pekanów), 10 dag fig, 5 dag migdałów bez skórki, 10 dag rodzynek, wiórki kokosowe.

Mak zalewamy wrzątkiem na całą noc, a potem dobrze odcedzamy i dwa razy przekręcamy przez maszynkę. Mleko gotujemy z masłem i miodem, dodajemy zmielony mak i gotujemy na małym ogniu 10–15 min, mieszając, żeby nie przywarł. Dodajemy posiekane bakalie, mieszamy, trochę schładzamy. Chałkę kroimy w kromki i układamy w szklanej misce na przemian z makiem. Posypujemy wiórkami kokosowymi (lub dodatkowymi bakaliami), schładzamy w lodówce, przykryte folią, przez noc lub 8 godz.

Zupa rybna

Bierzemy na wywar: duży por, seler, 2–3 pietruszki, cebulę, 2–3 ząbki czosnku.

Na zupę: 2 marchewki, por, żółtą i czerwoną paprykę, ogórek kwaszony, garść kaparów, olej sezamowy, listek bobkowy i ziele angielskie, koper lub natka pietruszki, po 0,5 kg miruny, sandacza i łososia, ale mogą być też inne ryby, np. dorsz, morszczuk, okoń, opcjonalnie kilka blanszowanych krewetek.

Na warzywach gotujemy bulion doprawiony liściem bobkowym i zielem angielskim oraz kilkoma kulkami pieprzu. Ryby kroimy na kawałki, usuwamy ości i smażymy na maśle klarowanym. Kawałki przekładamy na talerz, a na tłuszcz wrzucamy startą marchewkę, pietruszkę, cienko pokrojony por, poszatkowaną żółtą i czerwoną paprykę i podsmażamy kilka minut. Wyjmujemy gotowane warzywa z wywaru i miksujemy na krem, a do garnka przekładamy rybę i podsmażone warzywa. Zaprawiamy przecierem pomidorowym (najlepiej własnej roboty), kaparami, pokrojonymi w plasterki ogórkami kwaszonymi i kremem warzywnym. Na koniec doprawiamy solą i pieprzem. Podajemy zupę skropioną olejem sezamowym z dużą ilością kopru lub natki pietruszki. Można ją udekorować plasterkiem cytryny, kleksem śmietany albo usmażoną na oliwie z czosnkiem krewetką, żeby było bardziej wykwintnie.

Trzeba tylko wymieszać morskie i słodkowodne, np. łososia, dorsza, okonia i sandacza. Pokrojone w kostkę smaży się w cebuli, czosnku, marchewce i papryce, zalewa bulionem warzywnym i doprawia ogórkiem kwaszonym. Jest wspaniała.

JAKI ŚLEDŹ?

Gdy dochodzimy do śledzi, w rodzinie robi się mały galimatias. Bo każdy lubi inne. Tata, Ślązak, przepada za bratheringami, czyli smażonymi w mącznej panierce i leżakującymi w zalewie octowej z cebulką.

Mamie najbardziej smakują w śmietanie, z tartym kwaskowatym jabłkiem. Mój mąż – tylko rolmopsy z ogórkiem i cebulą. Robimy ich tyle, żeby wystarczyło do sylwestra, a nawet Trzech Króli, i podajemy z pieczywem lub gotowanymi ziemniakami. Ja i córka – skandynawskie, w słodkiej zalewie octowej z marchewką. Doskonale pasuje do nich kropla wytrawnej konfitury żurawinowej. Mąż ciotki, etnograf ze Szczecina, który na rybach znał się jak mało kto – z sosem z mlecza, moja siostra – z cebulką i gorczycą (przyrządzane według wileńskiego przepisu babci mojej sąsiadki).

DESER NA SZCZĘŚCIE

Specjalistką od słodkiego wigilijnego finiszu jest moja siostra. Piekła i makowce, i pierniki, i serniki z makiem, ale najbardziej zaskoczyła nas kilka lat temu makiełkami, czyli tradycyjną śląską i wielkopolską potrawą wigilijną, która nie ma nic wspólnego z kluskami, bo wykorzystuje się do niej – poza makiem i bakaliami – chałkę i miód. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęła przepis, ale ja znalazłam makówki w „Ślónskoj kuchni dla Hanysów i Goroli" Joanny Furgalińskiej.

Po latach wróciła też do kutii, której w dzieciństwie nie znosiłyśmy. Odkryć ten smak na nowo pomogła jej zaprzyjaźniona z nami Ukrainka Lusia. Co ciekawe, danie to, niegdyś charakterystyczne dla kuchni wschodniej, zrobiło się popularne niemal w całej Polsce. Być może dlatego, że ma głęboko symboliczne znaczenie: miód to nadzieja na dobrobyt, pszenica – symbol odrodzenia i udanych plonów, mak – w dawnych wierzeniach łączył świat żywych i umarłych, a bakalie oznaczały bogactwo i pomyślność. W końcu nie chodzi o to, żeby się nim najeść. Pod koniec uczty rzadko kto ma jeszcze siłę i miejsce w brzuchu. Trzeba tylko skosztować – na szczęście.

Anna Monicka

Fot. Shutterstock

Rodzinnie i jubileuszowo w Grabinie

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Rodzina, ach rodzina...", można by – przywołując utwór Kabaretu Starszych Panów – zaśpiewać familii Mostowiaków, która od ćwierć wieku towarzyszy polskim telewidzom. W świątecznym klimacie spotkaliśmy się z kilkoma aktorami serialu „M jak miłość"

W celebrującym ćwierćwiecze serialu wystąpiło ponad 2 tys. aktorów, wliczając w to zarówno głównych bohaterów, jak i liczną obsadę gościnną.

Historie snute na małym ekranie koncentrowały się (i nadal koncentrują) wokół wielopokoleniowej rodziny. Od 2000 r. tworzyli ją Barbara i Lucjan Mostowiakowie (grani przez Teresę Lipowską i Witolda Pyrkosza) oraz ich czworo dzieci: Maria (Małgorzata Pieńkowska), Marta (Dominika Ostałowska), Marek (Kacper Kuszewski), Małgorzata (Joanna Koroniewska), a także coraz liczniejsze wnuki (w tym najstarsi w tym gronie, serialowi bliźniacy Piotr i Paweł, w których wcielają się Marcin i Rafał Mroczkowie) czy prawnuki oraz przyjaciele i znajomi rodziny, co oznacza dziesiątki postaci związanych z rodziną z Grabiny.

PRZED PIERWSZĄ GWIAZDKĄ

Jednymi z najdłużej znacząco obecnych w „M jak miłość" są Teresa Lipowska, Małgorzata Pieńkowska, Katarzyna Cichopek (jako Kinga Zduńska) oraz bracia Mroczkowie. W tym jubileuszowo-przedgwiazdkowym czasie spróbowaliśmy znaleźć obsadową klamrę serialu, a także reprezentantów tych, którzy pojawili się w nim nieco później, ale wciąż są z nim związani. Pytaliśmy o rocznicowe i świąteczne konotacje, prosiliśmy też o życzenia. I chyba nikogo nie zdziwi, że w tych ostatnich – nie tylko z powodu nadchodzącego Bożego Narodzenia, lecz także charakteru serialu – rodzina była na pierwszym miejscu. Za to coraz większego znaczenia nabierały składane przez większość rozmówców życzenia spokoju – dla siebie i wszystkich wokół.

W JAK WETERAN

– Owszem, czuję się jak weteran, ponieważ jestem w serialu od pierwszego odcinka – mówi Rafał Mroczek. – Pozostała naprawdę niewielka grupa realizatorów i aktorów tak długo związanych z produkcją.

– Oczywiście pamiętam swoją pierwszą scenę – zapewnia. – Graliśmy w niej z bratem i Katarzyną Cichopek. Ekranowy Paweł stał z piwkiem pod drzewem i trochę ironizował z ich relacji, próbując w ten sposób poderwać bratu dziewczynę.

Długowieczność „M jak miłość" Rafała Mroczka nie dziwi, bo serial od 25 lat niezmiennie przyciąga rodzinną atmosferę. Szczególnie celebrowaną w święta, „czas radości i bycia ze sobą". Także przy stole. Jednak potrawy wigilijne – przede wszystkim makaron z makiem czy barszcz – bardziej kojarzą mu się z własnym domem rodzinnym niż z fikcyjną Grabiną. Również prywatnie wspomina pewien podarek.

– Oczywiście co święta dostaję różne wspaniałe prezenty, ale jest jeden, który pamiętam do dziś. Może dlatego, że wciąż mam przed oczami zdjęcie, na którym mój tata, przebrany za Mikołaja – o którym wiedzieliśmy, że jest naszym tatą – wręcza prezenty dzieciom w naszym przedszkolu. Wszyscy chłopcy dostali wtedy piękne samochody.

A czego życzy serialowy Paweł? – Wolności. Od naszych trosk i niektórych dążeń. Od rzeczy materialnych i niematerialnych, które nas przytłaczają albo nakręcają; które na początku mogą się nam wydawać gwiazdką z nieba, a okazuje się, że wcale nie przynoszą szczęścia. Życzę, by każdy odnalazł swoje powołanie i mógł je szczęśliwie, swobodnie oraz radośnie realizować.

MIŁOŚĆ NA DŁUŻEJ

Jacek Kopczyński od blisko 15 lat gra w „M jak Miłość" Adama Wernera. – Adwokata, mecenasa i bon vivanta – przedstawia swojego bohatera. Bardzo kochliwego, co może współgrać z tytułem, oraz często zmieniającego serialowe partnerki. Aktor natomiast – co mocno podkreśla – w życiu prywatnym ceni miłość „na dłużej".

Nawiązując do świątecznej atmosfery, wspomina realizowany w zeszłym roku odcinek bożonarodzeniowy: – Miałem przyjemność grać w nim św. Mikołaja i wiele perypetii związanych z tymże bohaterem, łącznie z poszukiwaniem kostiumu i różnymi komicznymi sytuacjami, m.in. wywracaniem się na lodzie. Było slapstikowo i bardzo fajnie. I chyba też dobrze zostało to przyjęte. Lubię grać takie postacie, więc bawiliśmy się setnie. A skończyło się to piękną wigilijną rodzinną kolacją.

Czy znalazły się na niej – choćby w dekoracji sałatki warzywnej czy suszu na kompot – znaczące dla serialu owoce?

Widzowie nieraz byli zapraszani na święta do Grabiny, słynącej z jabłek, więc kojarzącej się także z szarlotką, czy, jak kto woli – z jabłecznikiem. Co jednak z bożonarodzeniową potrawą związaną z „M jak miłość"? Czy jest taka? Jacek Kopczyński nie ma wątpliwości: – To pierogi. Zawsze fantastyczne robiła je pani Teresa Lipowska.

Prywatnie aktor wspomina tradycyjne makiełki (makaron z makiem) i śledzie pod pierzynką. – Czyli w śmietanie, z cebulką, trochę na słodko, które cudownie robi moja mama. Coś pysznego – dodaje.

Czego życzyłby na święta? – Spokoju. Spokoju przede wszystkim. I żeby tak troszeczkę świat przestał wirować wokół nas. Oczywiście fajnie, jak się dużo dzieje – przynajmniej dla aktora – ale dobrze by było choć odrobinę uspokoić sytuację.

W ŻYCIU I NA EKRANIE

Ilona Janyst od 2017 r. wciela się w doktor Anetę Chodakowską, żonę Olka (Maurycy Popiel). Trzy lata temu do „M jak miłość" dołączył prawdziwy mąż aktorki, Paweł. Obsadzono go w roli ks. Grzegorza, proboszcza parafii w Lipnicy.

– Nieraz przewijałem się po korytarzach, snułem się tu z dziećmi (para doczekała się dwojga pociech, mających 7 i 4 lata), więc jakoś wpadałem w oko zarządzającej obsadą pani Grażynce – komentuje Janyst.

Jak dzieci zareagowały na tatę w sutannie? – Dla nich to normalne, skoro rodzice są aktorami – mówi Ilona. – Dużo większym zaskoczeniem bywa to dla ludzi, którzy widują nas czasem z dziećmi w kościele – dodaje. Może to dobra okazja, by jeszcze raz podkreślić, że z jednej strony mamy prywatną parę, prywatnych rodziców, a z drugiej – na ekranie – dwie różne postacie.

Poza serialem – jak to w rodzinie z młodszymi dziećmi – podczas przygotowań do świąt nie mogło zabraknąć pieczenia i dekorowania pierniczków. Na Wigilię każde z małżonków wniesie też swoje wspomnienia potraw. Wspólne będą pierogi z kapustą i grzybami.

Paweł przywołuje dodatkowo różne zupy i susz. – Kompot z suszu to ten zapach, który jest tylko raz w roku – mówi.

– U ciebie w domu rzeczywiście gotowało się dużo zup – włącza się Ilona. – U mnie zazwyczaj był to tylko barszcz, bo pochodzimy z różnych regionów. Ja z zachodniopomorskiego, mąż – ze świętokrzyskiego.

ŚWIĄTECZNA EUFORIA

Najbardziej zapamiętany z dzieciństwa prezent pod choinkę? – Dostałam metrową lalkę. Miałam może pięć lat i ta lalka była praktycznie mojego wzrostu. Nazwałam ją Eliza – uśmiecha się Ilona, a Paweł dodaje: – Ja pamiętam piłkę Roteiro, model używany podczas Euro 2004 w Portugalii. Bardzo o niej marzyłem i ją dostałem. Dzisiaj piłka nożna nie leży w kręgu moich zainteresowań, ale doskonale pamiętam tamtą euforię.

Czy podobnie mocne choinkowe niespodzianki udało im się przygotować dla własnych dzieci? – Bardziej niż prezent sprawiła to chyba próba udawania, że Mikołaj naprawdę przyszedł, stworzenie – podczas dużej rodzinnej Wigilii, z rodzicami i dziadkami – atmosfery oczekiwania, nakłonienie dzieci, by wyszły go szukać [po zostawionych chwilę wcześniej śladach]. Musiałem się przebrać, machać z dachu zimnymi ogniami, udawać głos św. Mikołaja i ledwo zdążyłem wrócić do domu – uśmiecha się Paweł, wspominając wykonane na szóstkę aktorskie zadanie.

A jakie świąteczne życzenia mają państwo Janystowie?

– Żeby spędzić te święta rodzinnie. I blisko, bliżej niż normalnie. Może żeby troszeczkę odseparować się od wszystkiego, co materialne i na różnych ekranach – mówi Paweł. – Na chwilę spróbować to wyłączyć i zobaczyć, co się wtedy stanie, bo może się wydarzyć właśnie ta magia świąt, o której wszyscy marzą.

– I spokoju, spokoju, spokoju – dodaje Ilona.

SPEŁNIONE MARZENIE

Arkadiusz Smoleński od 2018 r. gra Bartka Lisieckiego – bohatera, jak mówi, „z przełamaniem", który przeszedł trudną drogę.

– Dla kogoś, kto właściwie wcześniej nie miał rodziny, pierwsze Boże Narodzenie spędzone w domu Mostowiaków było czymś szczególnym. Z tradycyjnymi rytuałami, rodzinną atmosferą, miłością... I wspaniale, że ten serial cały czas przypomina o takim byciu z bliskimi – podkreśla aktor.

Wspominając rodzinne strony, czyli malowniczo położone Kijewice koło Przasnysza (woj. mazowieckie), przywołuje nie tylko okoliczne piękno i spokój, lecz także niecodzienny prezent, jaki dostał od ojca. Już jako dorosły człowiek stał się właścicielem czarno-białego srokacza.

– Koń to było nasze wspólne marzenie – mówi. – Ale ponieważ był to bardzo narowisty ogier, po dwóch, trzech latach trafił do mojego przyjaciela, do gospodarstwa agroturystycznego, gdzie odgrywał rolę reprezentatywną.

Czego sobie i widzom życzyłby Arkadiusz Smoleński?

– Dużo spokoju. Przede wszystkim spokoju. Równowagi. Niech te święta będą rodzinne, wyważone. Niech będą odpoczynkiem, ucieczką od codziennego biegu, chaosu, pracy, zmartwień. Niech będą serdeczne.

W RODZINNEJ MIŁOŚCI

– Jeśli chodzi o prezenty pod choinkę, to właściwie wspominam głównie te, które dostawałam jako dziecko, bo wtedy cieszyły najbardziej – mówi Iwona Rejzner, od dwóch lat grająca Dorotę, żonę Bartka Lisieckiego (Arkadiusz Smoleński). – Teraz, jeśli mam jakieś życzenia czy pragnienia, to nie na temat rzeczy materialnych, tylko np. dotyczące zdrowia; tego, byśmy byli zawsze w rodzinie w miłości; żeby moi rodzice żyli długo; żeby to życie się układało w jak najlepszy sposób.

Z dzieciństwa aktorka wspomina klasyczne wigilijne potrawy, w tym karpia, którego nigdy nie lubiła, także z powodu ości. – Do tego ten karp, który najpierw pływał w wannie, a później już go nie

było, działał na moją psychikę w niekorzystny sposób – dodaje.

Dlatego u niej na świątecznym stole poza sałatką warzywną czy pierogami pojawiają się dania niekonwencjonalne. – Potrafię np. zaserwować gościom tartę z niebieskim serem i brokułami. Ale przecież najważniejsze, żeby była atmosfera i żebyśmy się spotkali przy tym stole – podkreśla.

A czego życzy świątecznie? – Dużo zdrowia, bo zdrowie jest bardzo ważne. I miłości, bo gramy w serialu „M jak miłość", więc to zobowiązuje, ale uważam też, że bardzo ważna jest bliskość, wewnętrzne spełnienie i spokój. Bo gdy wokół tyle się dzieje – tak szybko i intensywnie – dobrze, byśmy czasami potrafili zwolnić i „dać na luz".

WNUK BABCI BASI

– Serialowy Mateusz Mostowiak, wnuk babci Basi i syn Marka Mostowiaka, czyli pana Kuszewskiego i pani Kożuchowskiej (serialowej Hanki) – przedstawia się Rafał Kowalski, najnowszy „nabytek" serialu. W obsadzie od kwietnia br. Zastąpił Krystiana Domagałę, który w roli Mateusza dorastał na planie produkcji.

Nowy członek familii „M jak miłość" skończył studia w łódzkiej filmówce pięć lat temu. Razem ze swoim bohaterem trafił na WAT i do młodej grupy tworzącej nowy „militarny" wątek.

Aktor podkreśla serdeczność Teresy Lipowskiej, która „od samego początku przyjmowała wszystkich młodych aktorów do rodziny". – Mnie powiedziała, że jestem jej wnukiem, ona jest moją babcią i chciałaby, żeby tak wyglądała nasza serialowa relacja. To ona daje mi najwięcej rad, bo jest trzonem tego serialu i skarbnicą wiedzy na temat ekranowej rodziny. Jest naprawdę ogromnym wsparciem – podkreśla kolejny „wnuk babci Basi".

To będą jego pierwsze święta z Mostowiakami. Widzom życzy, by pokochali nowego Mateusza, tak jak kochali dawnego. Sobie – „by na byku, którego kiedyś chwycił za rogi, »byku aktorstwa«, dalej jechał, a nie spadał". A serialowi – przynajmniej drugiego takiego jubileuszu.

W pierwszy dzień świąt o 17.15 w TVP 2 wielu ekranowych bohaterów pojawi się w jubileuszowym programie poświęconym serialowi „M jak miłość".

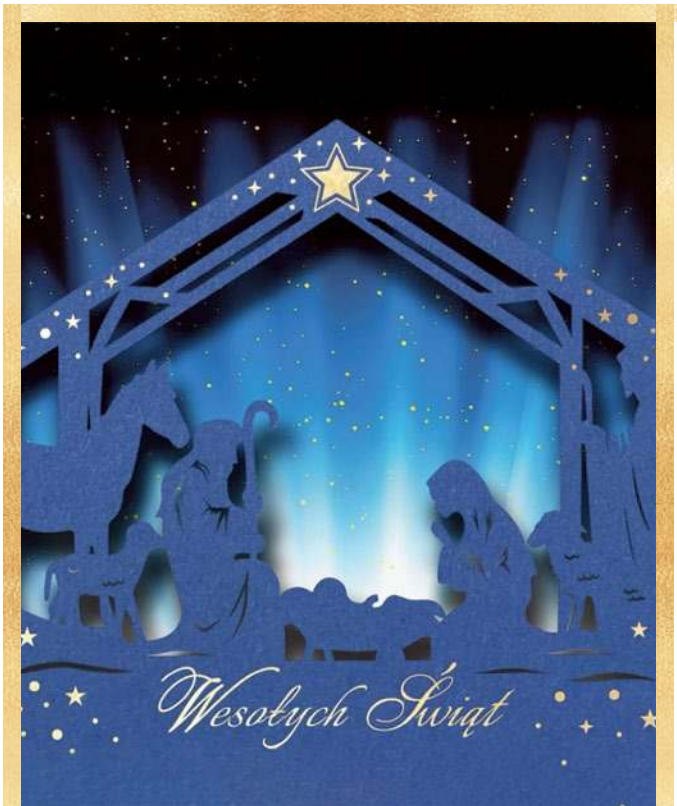

Niech magia Świąt rozświetli dni,
Niech w sercach spokój wreszcie lśni.
Zastańmy przy rodzinnym stole
radość, sens i ludzkich serc wolę.

A nowy Rok, gdy się zjawi,
Niech w dobroci nas postawi.

By było zdrowie, śmiech i czas –
I dużo dobra wokół nas!

Życzy

KASA KRAJOWA

Grudzień 2025

Reklama | 09/1225/F

eprasa.pl af616a2cad

Święta z telewizją wPolsce24

Doskonała atmosfera, specjalne wydania ulubionych przez widzów programów i świąteczne niespodzianki – takie będzie Boże Narodzenie i Nowy Rok w telewizji wPolsce24

Telewizja wPolsce24 jest najbardziej dynamicznie rozwijającą się stacją informacyjną w kraju. Według danych zajmującej się telemetrią firmy Nielsen średnia minutowa widownia wPolsce24 wynosiła w listopadzie blisko 86 tys. widzów, a udział w rynku sięgnął 1,53 proc. Są dni, jak 11 listopada, kiedy wPolsce24 nadawała m.in. ekskluzywny wywiad z prezydentem Karolem Nawrockim, ze średnią oglądalnością zbliżającą się do 150 tys. widzów (w szczycie było to ponad 580 tys. widzów) i udziałami w rynku przekraczającymi 2 proc.

OPINIOTWÓRCZA MOC

Stacja na stałe wpisała się w polski krajobraz medialny – bez wPolsce24 nie można już sobie wyobrazić codziennej debaty politycznej i społecznej. To miejsce, w którym ujawniane są niewygodne dla władzy informacje i kulisy wielkiej polityki. Z tygodnia na tydzień rośnie też prestiż i opiniotwórcza moc wPolsce24. Przykład? Przeprowadzony w miniony wtorek pierwszy w polskiej telewizji wywiad z Tomem Rose'em, nowym ambasadorem Stanów Zjednoczonych w naszym kraju.

„W Polsce doktryna America first oznacza stawianie Polski na pierwszym miejscu. Oznacza pracę nad wzmacnianiem waszych zdolności obronnych, które już są niezwykłe. [...] Niezwykły wzrost gospodarczy Polski jest absolutnie kluczowy dla utrzymania waszej pozycji lidera, najważniejszego i najbardziej wpływowego kraju w Europie. Wierzę w to i wierzę, że wielu Polakom trudno w to uwierzyć, trudno im słuchać, jak wy i wasz kraj jesteście opisywani jako najważniejsze i najbardziej wpływowe miejsce w Europie. Ale nim jesteście" – mówił Tom Rose w rozmowie z Jackiem Karnowskim i Stanisławem Jeglińskim. Wywiad był szeroko komentowany w kraju, a także cytowany w serwisie ambasady USA.

WIGILIJNY KONCERT KOLĘD

Jak słyszymy w stacji, okres świąteczny w telewizji wPolsce24 będzie oznaczał przede wszystkim skrupulatną pracę polegającą na dostarczaniu widzom rzetelnych informacji i prezentowaniu ciekawych, nieszablonowych opinii. Normalnie emitowane będą programy informacyjne z „Wiadomościami wPolsce24" o 19.30 na czele.

W większość świątecznych dni ramówka nie będzie znacznie odbiegała od tej „zwyczajnej". W Wigilię pierwszą zmianę mamy o 17.05, kiedy zasiadający do świątecznego stołu widzowie będą mogli obejrzeć niezwykły, trwający ponad godzinę koncert kolęd. To będzie prawdziwa muzyczna uczta. Tradycyjne, lecz pełne energii aranżacje kolęd zaprezentują młodzi artyści z Chóru Dziecięco-Młodzieżowego Opery Lubelskiej, którym będzie towarzyszyć pięcioro solistów i zespół instrumentalny. Usłyszymy m.in. „Oj, maluśki", „Gore gwiazda", „Gdy śliczna panna", „Wśród nocnej ciszy" i „Przybieżeli do Betlejem". Piękny koncert zostanie

Autopromocja

powtórzony o 20.45, a następnie 10 min po północy. Fragmenty występu będzie można obejrzeć także w Boże Narodzenie o 13.40 i 16.20.

WYWIAD Z KAPELANEM PREZYDENTA

Wróćmy jednak do Wigilii. O 18.30 prawdziwy hit – specjalne wydanie programu „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest", którego gościem będzie ks. Jarosław Wąsowicz, kapelan prezydenta Rzeczypospolitej Karola Nawrockiego. Dla tych, którzy nie zdążą obejrzeć wywiadu w Wigilię, stacja zaplanowała powtórki: w Boże Narodzenie i drugi dzień świąt o godz. 10.00. Po „Wiadomościach wPolsce24" (te rozpoczynają się tradycyjnie o godz. 19.30) wigilijne wydanie „Minęła 20.05" z Dorotą Łosiewicz i Markiem Pyzą (godz. 20.05). O godz. 22.00 widzowie wPolsce24 będą mogli – dzięki współpracy stacji z Vatican News – na żywo zobaczyć pierwszą pasterkę celebrowaną przez nowego papieża Leona XIV.

BOŻE NARODZENIE

Boże Narodzenie przyniesie premierowe wydania dynamicznych, publicystycznych „Piątek" Samuela Pereiry (godz. 13.00) i Olivera Pochwata (godz. 13.20). Jak zwykle będzie ostro, rzetelnie i ciekawie. O 14.05 miłośnicy talentu Krzysztofa Feusette'a będą mogli obejrzeć powtórkę jego niedzielnych „Hitów". O 16.45 niezwykłe, składające się z najlepszych fragmentów mijającego roku wydanie „Tele-Ekspresu wPolsce24". Wieczór to specjalne, wydłużone wydanie „Minęła 20.05" i zaplanowana tuż po tym programie na 21.40 „Polityka na deser". Tym razem bijące rekordy oglądalności lekkie podsumowanie dnia w wykonaniu czołowych konserwatywnych publicystów potrwa aż półtorej godziny, do 23.20.

> Okres świąteczny w telewizji wPolsce24 będzie oznaczał przede wszystkim skrupulatną pracę polegającą na dostarczaniu widzom rzetelnych informacji i prezentowaniu ciekawych, nieszablonowych opinii. Ale nie zabraknie niespodzianek

Premierowe „Piątki" o 13.00 i 13.20, powtórka „Hitów Feusette'a" o 14.05, „Tele-Ekspres na Święta" o godz. 16.45, a także wydłużone, specjalne wydania „Minęła 20.05" i „Polityki na deser" zostaną zaserwowane także w drugi dzień świąt.

SYLWESTER I NOWY ROK

Sylwester w wPolsce24 będzie dla tych, którzy także w taki dzień oczekują od telewizji przede wszystkim wiadomości. Ramówka będzie taka, jak co dzień – pełna programów informacyjnych i publicystycznych w najlepszym wydaniu. Po 20.00 zespół „Polityki na Deser" szykuje niespodziankę. Dziś możemy napisać jedno: będzie zupełnie inaczej niż w pozostałych telewizjach informacyjnych. Nowy Rok powitamy powtórką sylwestrowego wieczoru o godz. 10.00 i „Cogito... u Raczyńskiej" o godz. 11.00.

Aktualną ramówkę telewizji wPolsce24 można zawsze znaleźć na stronie wPolsce24.tv/ramowka. Programy stacji są dostępne także na kanale YouTube wPolsce24.

ŻYCZENIA DLA CZYTELNIKÓW TYGODNIKA „SIECI"

– Zapraszam wszystkich czytelników tygodnika „Sieci" przed telewizory, będzie ciekawie, dynamicznie, a jednocześnie w zgodzie z polską tradycją i wrażliwością – mówi nam dyrektor programowy telewizji wPolsce24 Mariusz Pilis. – Przede wszystkim jednak w imieniu całego zespołu naszej telewizji życzę państwu wszystkiego dobrego – spokojnych, rodzinnych świąt Narodzenia Pańskiego i wszelkiej pomyślności w nowym roku. Wierzę, że spędzimy go razem! – dodaje Pilis.

(ŁW)

wPolsce 24
Minęła 20:05
Rozliczamy polityków i piętnujemy absurdy
– od poniedziałku do soboty o 20:05

Marek Pyza
Dorota Łosiewicz
GDZIE NAS OGLĄDAĆ: 52 telewizja naziemna | 909 921, 196 polsat box | 62 CANAL+ | 192 netia | 32 orange | 825 vectra | 65 339, 121 PLAY | 459 inea | 631 TOYA | 43 evio

eprasa.pl af6 cad

Pogaduszki psychiatry ze zbrodniarzem

HITY i KITY ZAREMBY

Z internetu wylewa się fala narzekań Polaków na film „Norymberga". Portret Hermanna Göringa ma być zbyt sympatyczny, całość – nie na miarę zdarzeń. Mnie jednak film wydał się ciekawy

Nieporozumienie bierze się stąd, że wbrew tytułowi nie próbuje się tu odtwarzać całego, trwającego ponad rok procesu 21 nazistowskich dygnitarzy. Czymś takim był polski film „Epilog norymberski" Jerzego Antczaka z 1970 r. Mieliśmy też obsypany nagrodami film Stanleya Kramera „Sąd w Norymberdze" (1961), choć dotyczył on jednej z następnych rozpraw rozliczającej hitlerowskich prawników. W 2005 r. powstał najbliższy pełnej rekonstrukcji zdarzeń brytyjsko-amerykański serial „Proces norymberski".

James Vanderbilt, utalentowany scenarzysta, a wcześniej reżyser jednego filmu, opowiada o swoistej rozgrywce między Göringiem, który jako najwyższy rangą nazistowski dostojnik stał się twarzą pokonanego systemu, a psychiatrą Douglasem Kelleyem, który miał zapobiegać samobójczym pokusom uwięzionych nazistów. W rozmowach z nimi szukał odpowiedzi na pytanie o naturę zła, zarazem chciał pisać książkę o swoich rozmówcach.

Początkowo psychiatra próbuje zachować status niezależnego badacza. Potem godzi się wspomagać informacjami oskarżenie, wbrew tajemnicy lekarskiej. Czy ma moralną słuszność? Zarazem – choć kieruje się pragmatyczną chęcią grzebania w mózgach zbrodniarzy – na swój sposób zżywa się z ekspansywnym, inteligentnym Göringiem. Kiedy jego naiwny zapał zaczyna nas drażnić, pokazany na sali sądowej dokument o obozach koncentracyjnych burzy jego „flirt" z demonem. Przez chwilę psychiatra ma wpływ na przebieg procesu.

Procesu, który obserwujemy w stanie rodzenia się, z wątpliwościami prawnymi co do jego podstaw. Na ile jest to rozprawa zwycięzców ze zwyciężonymi, a na ile – punkt wyjścia do wprowadzenia karalności zbrodni wojennych na całym świecie? Jak wiadomo, to akurat się niespecjalnie udało, nadal decydowała jednak siła.

Poza Göringiem widzimy przelotnie tylko kilku oskarżonych, nie tych najważniejszych. Całe połacie rzeczywistości pozostaną przed nami ukryte. Nie ma tu udziału Rosjan w rozprawie, nie ma więc paradoksu sądzenia zbrodniarzy przez reprezentantów innych zbrodniarzy.

Dostajemy kilka efektownych scen, choćby starcie z Göringiem amerykańskiego oskarżyciela Roberta Jacksona, a potem Brytyjczyka Davida Maxwella-Fyfe'a. Przy czym jest to bardziej bój o wrażenie zapatrzonego w proces świata, bo przecież przyznanie marszałka Rzeszy, że nadal czci Hitlera, nie miało wielkiej mocy dowodowej. Dodam, że kiedy proces kończył się we wrześniu 1946 r., zainteresowanie nim nie było już wielkie, przynajmniej w USA.

Vanderbilt dba o tempo i wyrazistość postaci. Dla niektórych roztyty Russell Crowe, dawny „gladiator", jako Göring był zbyt ciepły. Ale może to wzmacniało paradoksalność całej rozgrywki – to w sumie sugestywna rola. Wielu nie spodobał się w roli Kelleya Rami Malek z jego afektowanym akcentem i jeszcze dziwniejszą mimiką. We mnie budził mieszane uczucia. Warto odnotować świetny drugi plan z charyzmatycznym Michaelem Shannonem jako Jacksonem czy młodym Leo Woodalem jako skrywającym tajemnicę swojego pochodzenia sierż. Triestem.

Ciekawe jest pytanie, czy Kelley miał rację, twierdząc, że naziści to tacy sami ludzie jak wszyscy, więc zbrodnie mogłyby się przytrafić wszędzie, także w USA. Głosząc ten pogląd podczas zimnej wojny, pogrzebał własną książkę. Dziś nadal nie znam odpowiedzi na to pytanie. W dodatku pobrzmiewają mi w tym lęki przed triumfującym trumpizmem. A może to tylko moje przeczulenie na aktualności?

Piotr Zaremba

EPITAFIUM DLA JACKA

Musiałem napisać o powieści Wojciecha Chmielewskiego „Księżyc ma zapach Warszawy”. To próba sportretowania studiów historycznych na Uniwersytecie Warszawskim na przełomie PRL i III RP. Tak się składa, że chodziłem na te studia kilka lat przed autorem

Zacząłem studia w Instytucie Historycznym UW w 1982 r., podczas stanu wojennego. Wojciech Chmielewski studiował później, w latach 1988–1993. Wtedy jeszcze tam zaglądałem. Klimat był do pewnego stopnia ten sam za moich i jego czasów: dużo polityki w antykomunistycznym duchu plus morze alkoholu. Tyle że my szukaliśmy wyjścia z pułapek Jaruzelskiego. Oni w powieści przeżywają niepełne odrzucenie PRL po 1989 r.

W 2009 r. wydałem w Świecie Książki powieść „Romans licealny”. Opowiadałem – naturalnie nie w skali 1:1 – o swoich doświadczeniach pracy w liceum na Pradze Południe w latach 1987–1991. Także Instytut Historyczny pojawiał się u mnie w tle. Recenzent podsumował mój utworek uwagą: „Zwykłe obrazki, nic z nich nie wynika”. Mnie się zdawało, że jednak wynikało. Chmielewskiemu można by postawić ten sam zarzut. Będę ostatni, który to zrobi, bo to jednak jest „o czymś”. No i rozpoznaję znajome miejsca, sytuacje.

Choć mam zastrzeżenia. Owszem, na naszych studiach piło się dużo. Ale chwilami owe biesiadne bilanse zmieniają się w zbyt monotonną wyliczankę kolejnych litrów. Z kolei polityczne dysputy brzmią miejscami zbyt publicystycznie. Oczywiście taki język historycy mieli przetrenowany. Ale czy aż do tego stopnia? Pełno tu zresztą żalu do wykładowców – o ich związki z PRL-owską władzą i zbiorowy konformizm wobec przemian po 1989 r. My odbieraliśmy ich chyba trochę inaczej. Ale może różnica kilku lat gra tu rolę?

Jest jeszcze jeden powód mojego przejęcia się tą powieścią. Chmielewski czyni jej głównym bohaterem swojego przyjaciela Jacka, człowieka niskorosłego, zmagającego się więc z masą fizycznych ograniczeń, zarazem wesołego, serdecznego kompana. Znałem Jacka. Uczyłem go w liceum, towarzyszyłem jego wędrówce na studia. To zasłużone epitafium, bo Jacek nie żyje.

Może szkoda, że autor nie znalazł metody, by w większym stopniu przybliżyć kilku jego kolegów. Pada dużo imion, ale trochę się w nich gubimy. Choć może Jacek zasłużył na tę rolę solisty wśród tłumu.

Powieść ma drugi, równoległy wątek – dziwny, tajemniczy. 300 lat później Polska jest częścią rosyjskiego imperium – jak połowa świata. W Warszawie żyje zruszczona Polka, która bada życie studentów IH UW z przełomu PRL i III RP tajemniczym urządzeniem do cofania się w przeszłość („chińskie okulary”). Dostajemy niejasną przestrogę, że wolność i nawet tożsamość nie są dane narodowi raz na zawsze. Smutek jest więc podwójny...

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL
AUTOPROMOCJA

Miłość i potwory

„Wrooklyn Zoo” to film pokazany przed dwoma laty na festiwalu w Gdyni. Teraz Canal + zapewnia mu drugie życie. Zaleta filmu: dzieje się gdzieś, czyli we Wrocławiu. Wada: nie chroni go to przed stereotypami

Nakręcił go Krzysztof Skonieczny, z pierwszego zawodu aktor. Zasłynął serialem o gangusach „Ślepnąć od świateł”, pełnym eksponowanej na zimno brutalności. Tu jest inaczej: ma to być przede wszystkim opowieść o wielkiej romantycznej miłości, wpisanej w krajobraz Wrocławia, a także przełamującej etniczno-środowiskowe podziały.

Nonszalancki skejter i raper z klasy maturalnej zakochuje się w Cygance, przepraszam – Romce. Na początku głównym problemem jest opór jej rodziny, która zgodnie z tradycją chce ją wydać za jednego ze swoich. Potem jednak trzeba się uporać z większym wyzwaniem: inwazją owładniętych nienawiścią skinów rasistów.

Film ma ujmujące momenty, nie tylko malownicze widoki miasta (zdjęcia Adam Pietkiewicz), lecz także specyficzne regionalizmy. Adam „Kosa” to niby niegrzeczny chłopiec, ale z dziadkiem, który go wychował, uroczo śpiewa lwowskie piosenki. Jednocześnie rozgrywka z naziolami to banał. Łatwo ich potępić, więc nie trzeba się zmagać z jakimkolwiek trudnym pytaniem, dylematem, rozterką. A końcowa erupcja przemocy prowadzi do zabaw infantylną metafizyką. Niby to bajka, ale jednak dla dorosłych.

Film ma mocny punkt: Jana Frycza w roli dziadka Stanisława. W „Ślepnąc od świateł” był megapsycholem. Tu jest dobrym dziwakiem, uosobieniem mądrości starszych pokoleń.

Niestety Skonieczny popełnił błąd, obsadzając w rolach Romea i Julii amatorów: Mateusza Okułę i Natalię Szmidt. Są piękni, sympatyczni, ale w miłosnych uniesieniach – drewniani.

Mistrzem drugiego planu jest Konrad Eleryk jako psychopatyczny herszt skinów „Hades”. To jedna z wielu ról tego aktora, jak nikt umiejącego grać potwory. Odczarowano go dopiero w serialu „Heweliusz”. Tu jest jeszcze „taki jak zwykle”, co oznacza – świetny w swoim gatunku.

3 MIŁOŚCI

Zachód, Chiny, Indie

ROBERT TEKIELI

Pierwsza Europa miała swego karola, króla Franków i Longobardów, nazwanego Wielkim, któremu w 800 r. cesarską koronę założył na głowę papież Leon III. Cesarzem rzymskim został mąż stanu, rycerz i prawodawca zdolny przekuć chrześcijański uniwersalizm w materialną, prawną i kulturową rzeczywistość nowego imperium. Powstał niedoścignionym przez wiele wieków nowy model nauki, szkolnictwa i administracji państwowej. Ów renesans karoliński został wywiedziony z objawienia przez zaplecze intelektualne władcy skupione wokół Alkuina z Yorku, naukowca i teologa, twórcy szacownej i słynnej w całym ówczesnym świecie Cesarskiej Szkoły Pałacowej. W taki sposób 1225 lat temu chrześcijański cesarz stworzył imperium od Ebro po Łabę – nie tylko na drodze podbojów militarnych i reform administracyjnych, lecz także, a może głównie, dzięki umocnieniu kultury.

To absolutnie wyjątkowy zamysł. Cywilizacja chrześcijańska. Jej głównymi autorami byli Ojcowie Kościoła, zakony mnisze i nasz Karol Wielki.

Feliks Koneczny tak opisywał cywilizacyjną wyższość oraz metodę chrześcijańskiego Zachodu:

„Orientalny mnich popisywał się umartwieniami ciała posuwanymi do dziwactw, zachowując się całkiem obojętnie i biernie wobec świata i ludności, wśród której przebywał, gdy tymczasem zachodni żył według zasady: *ora et labora*. Przysłowiową stała się pracowitość benedyktyńska, a celowali nią również cystersi, norbertanie i inni. Oni zamieniali pustkowia w ludne krainy rolnicze i trzebili drogi przez puszcze; oni byli najdawniejszymi rzemieślnikami w wielu stronach, a wszędzie pierwszymi bibliotekarzami; oni też zaczęli wznosić budowle z kamienia. Około klasztorów powstały setki osad wiejskich i niejedno miasto. Oni utrzymywali wzorowe folwarki, będące źródłem postępu rolniczego dla całej okolicy. Od nich otrzymano wszędzie nowe rodzaje zbóż i owoców, udoskonalone narzędzia. U nich była szkoła wszystkiego, wszelkie szkoły zawodowe i ogólnokształcące.

Nasza przewaga cywilizacyjna wynikała z płodnego poznawczo i twórczo uniwersalizmu chrześcijaństwa. Z apetytu na prawdę, z ciekawości świata, z potrzeby obiektywizacji, demitologizacji rzeczywistości, z przymusu kwestionowania każdej, wydawałoby się – oczywistej, tezy. Warto się zastanowić, dlaczego się to skończyło

Od nich pochodziły nowe pojęcia o stosunkach społecznych i państwowych".

I dziś nikt nie chce rozumieć, że ci mnisi mieli nadprzyrodzoną motywację. Tak – to Kościół niańczył Europę. A nowożytne odrzucenie religii, nakierowanej na bezinteresowne szukanie prawdy oraz bezinteresowną pomoc bliźniemu, doprowadziło do załamania Zachodu.

Te dwa elementy – prawda i miłość bliźniego – oraz energia, którą zachodni mnisi czerpali z świadomego kiełznania seksualności, doprowadziły do późniejszej wielowiekowej dominacji Zachodu, rozpoczętej wielkimi odkryciami geograficznymi. Dominacji, która właśnie się zakończyła.

Europejczycy mogą już tylko z sentymentem wspominać stare dobre czasy i swój udział w sztafecie globalnych hegemonów: Hiszpanii, Portugalii, Holandii, w jakiś sposób Francji, a na pewno Anglii i wreszcie Stanów Zjednoczonych.

Skąd te dawne przewagi Zachodu? Nasza cywilizacyjna przewaga płynęła z płodnego poznawczo i twórczo uniwersalizmu chrześcijaństwa. Z apetytu na prawdę, z ciekawości świata, z potrzeby obiektywizacji, demitologizacji rzeczywistości, z przymusu kwestionowania każdej, wydawałoby się – oczywistej, tezy.

Dziś zardzewiało wykuwane przez Kościół i nowożytną naukę krystaliczne lustro z symboli i pojęć. Potrzeba podważania dogmatów wyrodziła się w nihilizm, logiczne dowodzenie osunęło się w narrację, naukowcy czerpią wielkie struktury swych odkryć z niedojrzałych paradygmatów religii pogańskich, które – jakkolwiek byłyby wykwintne – zawsze prowadzą ku rozpaczy fatum, są zatem ufundowane na błędzie.

Spoganienie współczesnych paradygmatów akademickich jest efektem wzięcia na sztandary przez intelektualną kastę hierarchizującą kulturę od czasów „renesansu" hasła: „Wszystko, byle nie chrześcijaństwo".

Subiektywne Chiny w swej pragmatyce bazującej na zwulgaryzowanej hinduistycznej metodzie wglądu jeszcze sto kilkadziesiąt lat temu umieszczały nerki na wysokości łopatek.

Dla pokoleń wielkich twórców cywilizacji europejskiej, które napędziły rozwój Zachodu, poznawanie świata było poznawaniem Boga. On bowiem w swej łaskawości pozwala się dostrzec dzięki uważnej kontemplacji wszechświata – swego stworzenia. Tego nie było w cywilizacji chińskiej, nie było w hinduskiej.

Nie oznacza to – wbrew pozorom – że sytuuję się roli oskarżyciela pogaństwa czy patrzę na nie z góry. Przeciwnie. Wśród znanych współcześnie form politeizmu – dawnych i dzisiejszych – przytłaczająca większość to religie. Czyli systemy poszukiwania raczej dobra.

Kultów należących do tradycji Syndykatu cienia, Syndykatu śmierci było/jest stosunkowo niewiele. Od satanicznych kultów Molocha i Baala oraz demonicznych bóstw Egiptu po krwawe kulty Azteków i Majów czy obskurancki lamaizm.

A zaczarowane, mitologiczne pogaństwo – jak pisze Piotr Kaszczyszyn na portalu Klubu Jagiellońskiego, kreśląc duchową historię sekularyzacji – jest do obronienia. Wystarczy iść drogą św. Augustyna, zdolnego odkryć zapowiedź dogmatu o Trójcy Świętej u platoników, czy powtórzyć za św. Justynem Męczennikiem: „Cokolwiek zostało dobrze powiedziane przez wszystkich ludzi, należy do nas, chrześcijan". Tak. Każda prawda jest katolicka.

Kaszczyszyn uważa, że fauny i elfy też mogą oddać hołd Jezusowi: „Według Chestertona wraz z Melchiorem, Kacprem i Baltazarem »przybył do Betlejem cały świat wiedzy, obserwujący gwiazdy w Chaldei i słońce w Persji«. […] »Równie zagadkowe, co melodyjne imiona« trzech magoi mogłyby brzmieć równie dobrze »Konfucjusz, Pitagoras, Platon« […]. »Ci ludzie szukali prawdy o świecie. A skoro ich pragnienie prawdy było samo w sobie pragnieniem Boga, oni także otrzymali swoją nagrodę«". Chesterton: „Ozyrys, Demeter, Adonis byli ostatecznie bezsilni wobec »ciężaru niezmienności świata«". „Żadne z nich nie dokonało przewrotu we wszechświecie, co najwyżej strzegło obrotu planet". „Jezus narodził się bowiem z Dziewicy także po to, aby usunąć te elementy pogańskiego uniwersum, które więziły człowieka w mitycznym powtórzeniu i kosmobiologicznym determinizmie".

„Ostatecznie bowiem chodzi o uzyskanie pełni. Integralne połączenie mitu i filozofii, wyobraźni i rozumu, praktyki przygody i teoretycznych dociekań, opowieści i traktatu. Pasterze [wyobraźnia, mitologia] i magoi [poszukiwanie prawdy] muszą się zjednoczyć, aby człowiek był zdolny zobaczyć kompletny obraz". „Stało się to możliwe dopiero na progu betlejemskiej groty".

„Jezus nie przyszedł znieść zaczarowanego pogaństwa, ale je wypełnić. Zachować to, co stanowiło w nim okruchy, zapowiedź i przygotowanie właściwej Prawdy, która nadeszła w metafizycznym skandalu Wcielenia". Tyle Kaszczyszyn.

Dzisiejsze neopogaństwo w rodzaju satanicznego kultu Wicca (wiedźmy, czarostwo) czy równie satanicznej huny, będącej odarciem polinezyjskich wierzeń z *sacrum*, albo zwesternizowanej jogi i innych znieprawionych przez europejski okultyzm orientalnych technik religijnych poza zewnętrznym pozorem nie ma nic wspólnego z „zaczarowanym" pogaństwem szalonych mitologii.

Na walczące dziś z Zachodem o dominację nad światem cywilizacje chińską i hinduską należy więc patrzeć sprawiedliwie. Pamiętając również o tym, że to dechrystianizacja prowadząca do załamania kultury Zachodu jest głównym źródłem naszych dzisiejszych kłopotów, naszej europejskiej słabości. Na kampusach uniwersyteckich i w knajpach nihilistycznej bohemy Zachód wyhodował sobie wewnętrznego barbarzyńcę. Współczesne zachodnie areopagi – tak wrogie chrześcijaństwu – poprzez samobójczą politykę lewicowo-liberalnych elit (zabójcza dla społeczeństw migracja, zabójczy dla gospodarek Zielony Ład) prowadzą wojnę domową ze swymi społeczeństwami.

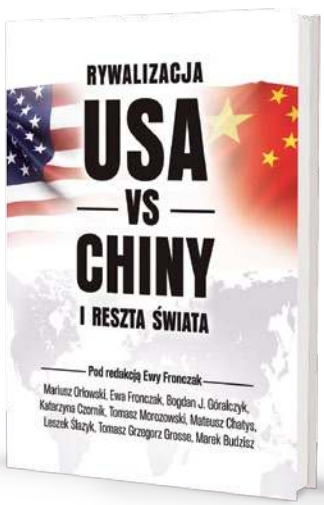

A Zachód musi się dziś mierzyć z Chinami, które trzy dekady temu zaczęły walczyć o globalny prymat. Z marksistowskim totalitarnym krajem, który jest od 1992 r. zasilany zachodnim kapitałem, który od 2001 r. z poręczenia USA wstąpił na gospodarcze salony, czyli do WTO – Światowej Organizacji Handlu, i który, jak pisze prof. Bogdan Góralczyk we wstępie do książki „Rywalizacja USA vs Chiny i reszta świata", „od 2015 roku stały się największym organizmem gospodarczym na globie, licząc po kursie siły nabywczej PPP".

Patrząc szerzej, Chiny i Indie – dwie liczące w sumie 3 mld ludzi cywilizacje „ubrane w szaty państwa" (Lucian W. Pye) – są obecnie w fazie renesansu czy też odrodzenia.

Nie wiadomo, jak skończą się zmagania USA z Chinami, bo dziś Stany robią za cały Zachód. Europa przestała się bowiem zupełnie liczyć gospodarczo, militarnie i w dziedzinach rozstrzygających rywalizację gigantów, czyli wyścigu na inteligentniejszą i szybszą AI z zastosowaniem wojskowym, w rywalizacji w kosmosie oraz wojnie na wysokie technologie.

To, jak będzie przebiegać globalna dynamika sił, zależy też od tego, jak rozstrzygną się dylematy imperium takiego jak Indie, które balansują pomiędzy ekspansją i rozpadem. Miękka siła Indii „tkana z nici kultury, jogi, Bollywood i starożytnego dziedzictwa" buduje – obok programu eksploracji Księżyca – kapitał zaufania na Globalnym Południu, o które konkurują giganci.

Joga elementem soft power. Kto by pomyślał? Hinduskie elity prowadzą zorganizowaną politykę promocji jogi od przełomu XIX i XX w. Jej historię wyznaczają nazwiska mistrzów kolejnych pokoleń, takich jak Paramahansa Yogananda, Yogi Bhajan, B.K.S. Iyengar czy w czasach nam współczesnych Sadhguru. Jak ma się do tego ciągłość polskiej polityki budowania siły i prestiżu?

www.wojciechreszczynski.pl

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Polskie Wigilie

Ilekroć w wieczór wigilijny śpiewamy: „Bóg się rodzi, moc truchleje” (te piękne, pełne nadziei słowa napisał w 1792 r. Franciszek Karpiński), tylekroć niezmiennie towarzyszy nam poczucie, że oto w tym momencie, w dniu narodzenia Pana, triumfują sprawiedliwość, dobro, piękno, a truchlejąca moc szatana zostaje pokonana raz na zawsze. Ta wiara nie opuszcza nas także wtedy, gdy wracamy pamięcią do polskich dramatów, które miały miejsce w tę wielką noc.

W czasie powstań listopadowego i styczniowego wraz z pojawieniem się pierwszej gwiazdki rosyjski zaborca napadał na polskie dwory i chaty w poszukiwaniu powstańców szukających pociechy w rodzinnych domach. W noc wigilijną 1914 r. pod Łowczówkiem niedaleko Tarnowa I Brygada Legionów Józefa Piłsudskiego starła się z Rosjanami. Jak wspominał lekarz brygady Sławoj Felicjan Składkowski: „Nasi chłopcy w okopach zaczęli śpiewać »Bóg się rodzi« i oto z okopów rosyjskich Polacy, których dużo było w dywizjach syberyjskich, podchwycili słowa pieśni i poszła w niebo z dwóch wrogich okopów”.

Na zajętych przez Sowiety polskich Kresach właśnie w te świąteczne dni organizowano akcje wyłapywania polskich patriotów, a potem żołnierzy wyklętych. Oprawcy wiedzieli, że najłatwiej można ich dopaść i zabić, gdy choć na chwilę pojawią się w rodzinnym domu w Boże Narodzenie. Identycznie postępowali niemieccy okupanci, też znali tę polską „słabość”. W noc wigilijną 1939 r. z obozu w Kozielsku Sowieci wywieźli w nieznanym kierunku wszystkich kapłanów. Tylko jeden z nich, ks. Kamil Kantak, ocalał, bo był obywatelem niemieckiego Gdańska. W wigilię 1946 r. wyprowadzono z celi na śmierć gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka”, wcześniej podstępnie aresztowanego wraz z 15 innymi przywódcami Państwa Podziemnego, których osadzono na Łubiance w Moskwie. O jego śmierci „wskutek zakażenia i paraliżu serca” Sowieci poinformowali dopiero w 1955 r.

Sowieckie metody przejęli „polscy” komuniści zatrudnieni w Urzędzie Bezpieczeństwa, zbrodniczej instytucji powołanej do kontynuowania eksterminacji narodu polskiego. W wigilijny wieczór 1948 r. na polecenie płk Julii Brystygierowej, dyrektor departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, ubecy wtargnęli do mieszkania Jana Rodowicza „Anody”, bohatera akcji pod Arsenałem, kawalera Virtuti Militari i dwukrotnie Krzyża Walecznych. Kiedy rodzinie udało się odzyskać jego zwłoki (wyrzucili go przez okno), w jego marynarce znaleziono jeszcze pokruszony opłatek, który otrzymał w Wigilię z rąk swojej matki.

Komuniści nieprzypadkowo grudniowy czas adwentu zamienili w czas pacyfikacji robotników Wybrzeża w 1970 r. i całego narodu w 1981 r., bezprawnie ogłaszając stan wojenny. Towarzysze uznali świąteczny okres za właściwy do rozprawienia się z narodem, gdyż – jak mówili między sobą – Polacy nie będą się buntować, bo będą zajęci przygotowaniami do świąt Bożego Narodzenia.

A jaka jest polska, historyczna i społeczna wrażliwość obecnej władzy, koalicji 13 grudnia?

19 października 1984 r. agenci bezpieki zamordowali śp. ks. Jerzego Popiełuszkę. Ciało wrzucili w nurty Wisły tuż przy tamie we Włocławku. Ten dzień jest uroczyście obchodzony w kościołach całej Polski. W 41. rocznicę śmierci kapłana Włodzimierz Czarzasty wraz z Nową Lewicą właśnie przy tej włocławskiej tamie organizuje konferencję prasową na temat... mieszkaniowego programu partii. Dla polskiej lewicy to jedna z wielu dat – jak powiedział marszałek Czarzasty.

Obecny minister sprawiedliwości i prokurator generalny Waldemar Żurek też nie widzi niczego niestosownego w zapowiedzi dopadnięcia Zbigniewa Ziobry i możliwości przywiezienia go do Polski nawet w bagażniku samochodu (w taki sposób wieziono na śmierć ks. Jerzego). Poprzednik Żurka, minister Adam Bodnar, nadzorujący prokuraturę, zapewne też nie dostrzegł niczego antypolskiego, aresztując ks. Michała Olszewskiego z Fundacji Profeto dokładnie w Wielki Czwartek – w święto kapłanów.

Jego następca ciągnie antykatolicką fobię i o 6.00 rano aresztuje Jana, ojca ks. Olszewskiego, aby przewieźć go na przesłuchanie do Nowego Sącza. Jan Olszewski dostaje kolejnego zawału.

Ten sam „wrażliwy społecznie” Żurek ogłasza decyzję o umorzeniu śledztwa w sprawie śmierci Barbary Skrzypek akurat 4 grudnia, w dniu św. Barbary. Oczywiście prokuratura nie dopatrzyła się „działań osób trzecich”. Prokurator Ewa Wrzosek może spać spokojnie.

Po wejściu CBA do fundacji Lux Veritatis o. Tadeusz Rydzyk dostaje od prokuratury zawiadomienie o przesłuchaniu na drugim końcu Polski 8 grudnia, w 34. rocznicę powstania Radia Maryja. Do tych szykan wobec katolików dodajmy jeszcze listę proskrypcyjną ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bartłomieja Sienkiewicza. A na niej ponad 150 stowarzyszeń i fundacji (wszystkie o charakterze narodowym, chrześcijańskim, konserwatywnym, w tym Ordo Iuris i Caritas), dziś szykanowanych i nękanych kontrolami. Taka jest dziś Polska.

eprasa.pl af616a2cad

Tymczasem na froncie

Andrzej Rafał Potocki

Moskalom udało się podpełznąć kolejne metry w zachodniej części Wołczańska, który obecnie jest jedną wielką ruiną. Na północ od Kupiańska wbili się klinem na południe w ukraińskie pozycje. Teraz próbują wykorzystać istniejący tam nawis i prą na południe, by odciąć miasto od pozycji Tryzubów i je okrążyć. Tyle że teraz posuwają się wzdłuż pasm górskich, a za chwilę dojdą do linii wzgórz, która biegnie w poprzek ich kierunku marszu. Jeśli dowództwo ukraińskie myśli, to przygotowało już tam obronę, która powinna zatrzymać to natarcie. W samym Kupiańsku stabilnie.

Na południe od Kupiańska aż do Torskiego bez zmian. Natarcia rosyjskie utknęły. Za to dalej „strefa śmierci", czyli rejon operowania dronów i grup szturmowych obu stron, dochodzi do Łymania i Siewierska. W rejonie Konstantynówki bez istotnych zmian. Stabilizacja. W Pokrowsku i okolicy sytuacja dynamiczna. Obie strony prowadzą działania, które można nazwać krwawymi podchodami.

Na odcinku zaporoskim Moskale zbliżają się – zgodnie z przewidywaniami – do rzeki Hajczul, na której prawdopodobnie oparta będzie ukraińska obrona. Jej istotnym elementem będzie Hulajpole, które jest jednak fatalnie położone, bo poniżej prawdopodobnych rosyjskich pozycji wyjściowych. Dlatego podstawą zasadniczej obrony będą prawdopodobnie wsie Zielone, Świętopietrówka, Staroukrainka i Żelazne.

Fot. Andrzej Wiktor

Punkty oporu służą głównie kontroli terytorium. Przed nimi znajdują się natomiast różne sztuczne i naturalne przeszkody terenowe, które uniemożliwiają Moskalom działanie w rozproszeniu i zmuszają do gromadzenia się w rejonach stanowiących jedyne możliwe przejścia przez fortyfikacje. Kiedy zgromadzi się większa grupa, uderzają ukraińskie drony. Do moskiewskich bojców coraz bardziej dociera, że obiecywane ostateczne zwycięstwo nie jest „na wyciągnięcie ręki". W wojnie jest zaś tak, że napastnik przegrywa, kiedy nie wygrywa, a napadnięty wygrywa, kiedy nie przegrywa. Wszystkim gadającym o przegrywającej Ukrainie mówię, że chciałbym, żeby Polska tak przegrała w 1939 r.

Postępy Moskali w kończącym się roku. Przez niecałe 12 miesięcy zajęli 3 tys. km² obwodu donieckiego. Do zajęcia mają jeszcze ponad dwa razy tyle. Czyli przy tym tempie całość opanują może za dwa lata – o ile ich gospodarka się nie zawali. Ruski w imię zwycięstwa może jeść trawę, ale już do wytworzenia broni potrzebne są konkretne pieniądze. W 2025 r. w ukraińskich okopach zginęło ponad 2 tys. żołnierzy i funkcjonariuszy elitarnych sił specjalnych zwanych Specnaz. Wywiad wojskowy Kremla – GRU – stracił ponad 20 proc. stanu osobowego swojego specnazu. Zaskakujące są straty w kadrze oficerskiej: poległo 98 poruczników, 27 kapitanów, 14 majorów i 5 podpułkowników lub pułkowników. Nazwa Specnaz, która już zdążyła przeniknąć do popkultury, spowodowała, że w postkomunistycznej Moskwie swoimi specnazami dysponują inne służby wywiadowcze (FSB oraz SWR), bo tak potocznie określa się oddziały specjalne. Przy czym omawiana lista dotyczy wojskowych. Jeżeli dodamy do tego także nieznane straty Federalnej Służby Bezpieczeństwa oraz innych formacji w walkach na Ukrainie, faktycznie okaże się, że specnaz wyginął nad Dnieprem.

Ruski nie byłby sobą, gdyby czegoś nie popsuł, nie rozwalił – czyli nie spieprzył przez swoją durnotę. I tak kacapski bloger Ilja Tumanow, powiązany z siłami powietrznymi, często będąc źródłem unikalnych informacji pochodzących z lotnictwa Kremla, który szerzej znany jest pod pseudonimem Fighterbomber, opisał, jak to w hangarze bazy pułku bombowców Su-24 i Su-34 sama z siebie odpaliła katapulta. Dwóch członków załogi, pilota-dowódcę i nawigatora, wystrzeliło w powietrze na kilkadziesiąt metrów. Ponieważ po drodze na przeszkodzie stanął dach i kratownica hangaru, lotnicy wyrżnęli głowami w stalowe pręty, ginąc na miejscu. To już drugi podobny wypadek samoczynnego odpalenia katapulty w hangarze. Ruski nie może zdobyć Wołczańska, w związku z tym wysyła pojedynczych żołnierzy kamikadze z zadaniem zatknięcia flagi Federacji Moskiewskiej na określonych budynkach. Propagandówkę filmują drony, ale wiele z tych nagrań nie trafia do sieci, bo Tryzuby likwidują szaleńców z flagami swoimi dronami. Do internetu trafia natomiast coraz więcej zdjęć ruskich trupów leżących obok flagi. Tak się kończy samurajowanie w moskiewskim wydaniu.

Współpraca: „Skipper"

eprasa.pl af616a2cad

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Czuję się sztucznie

Aleksander Nalaskowski

Na blogu prof. Śliwerskiego znalazłem taki oto cytat: „Najbardziej boję się ludzi małych, niezdolnych, nieutalentowanych. Sądzę, że każdy może mieć swoje miejsce, że może się spełnić w swoim życiu. Otóż ja najbardziej się boję tych, którzy nie mając predestynacji, zajmują stanowiska, do których nie są powołani. Bo w tych ludziach małych rodzi się właśnie nikczemność. Jak mówi Gombrowicz: »Czuję się sztucznie, bo sytuacja jest sztuczna«. Otóż, tego boję się najbardziej – niekompetencji...". Autorem tych słów jest Gustaw Holoubek, wielki aktor i intelektualista.

Cytat pasuje jak ulał do ogromnej części naszej klasy politycznej, a właściwie najbardziej do naszego rządu. Bo w rzeczy samej mamy w gabinecie i całej politycznej wierchuszce (nie zapominając o parlamencie) mnóstwo ludzi, których słowa Holoubka charakteryzują. Nie brakuje nam beztalenci, ludzi intelektualnie i moralnie małych oraz nikczemnych. Czasami mam wrażenie, że pochodzą z selekcji negatywnej: im nikczemniejszy, tym bardziej nadaje się do władzy. Barbara Nowacka czy Witold Zembaczyński pasują do słów wielkiego aktora jak jeden do jednego. Są zarówno niekompetentni, jak i nikczemni. A to wszak tylko przykłady pierwsze z brzegu.

Zadziwiająco niekompetencja skleja się z ludzką małością, przerostem ego, narcyzmem czy nieuzasadnionymi ambicjami, ale nade wszystko często z nieograniczoną wręcz głupotą i podłością. Prastarą, prapotężną podłością. Owa podłość każe wchodzić w szemrane układy, korupcję i chciwość. Ta podłość nierzadko motywuje do zajmowania miejsca przynależnego innym. W ten sposób Nowacka została ministrem edukacji, a Zembaczyński – posłem i członkiem komisji ds. Pegasusa. Oboje znają się na powierzonej im materii w stopniu zerowym. Są przeszacowani, a przez to niekompetentni i nikczemni. Uwierzyli w swoje kompetencje i przekroczyli granice każdej głupoty. Na to Polska zupełnie nie zasłużyła.

Wyjątkową nikczemnością wykazał się swego czasu Andrzej Domański, okradając PiS ze słusznie należącej się partii dotacji. Nikczemnie zachował się Biedroń, wciągając do Parlamentu Europejskiego swojego kochanka, aby im obu zafundować wycieczki po świecie i dolce vita. Przy czym tej nikczemności towarzyszy poselska bezczynność, będąca nieuchronnym skutkiem niekompetencji. Nikczemnie wobec pełnionej misji prawniczej zachowuje się Andrzej Zoll. To po prostu nie uchodzi ani prawnikowi, ani tym bardziej profesorowi. Wszelkie normy nikczemności przekracza Stefan Niesiołowski – w tym zakresie nie ma sobie równych. Jest emanacją tego, co na co dzień lekko przypudrowane i uładzone jest udziałem strony liberalno-lewicowej.

Niekompetentny, ze sporą dozą nikczemności, jest Radosław Sikorski. Nie dość, że nie obrał żadnej konkretnej linii w polityce zagranicznej Polski, to na dodatek jest wyraźnie niedojrzały. Chłopaczek w krótkich spodenkach, który politykę zagraniczną zinfantylizował do cna. Zdaje się, że najbardziej realizuje się w mediach społecznościowych – jest tam aktywniejszy niż na polu dyplomacji i polityki. I jak większość takich pajaców pozostaje przekonany, że jest na swoim miejscu. Szkodzi Polsce i kiedyś za to odpowie.

Na końcu tej alei niekompetencji i nikczemności stoi ojciec chrzestny wszystkich politycznych drani, człowiek bez tożsamości i kręgosłupa, zapiewajło ośmiu gwiazdek, cynik i kłamca – Donald Tusk. Pokazał, że potrafi być bezbrzeżnie nikczemnym zaprzańcem, że Polska jest dla niego jednym z landów „nowej Europy", w której prym wiodą Niemcy – naród, który stworzył narodowy socjalizm, Holokaust, obozy koncentracyjne i uśmiercił miliony ludzkich istnień. To naród przeklęty, nikczemny i morderczy. Dokonał zbrodni, które nigdy się nie przedawnią.

Temu narodowi Tusk co dzień składa hołd lenny, przywódcom Niemiec kłania się w pas i uważnie ich słucha. Jest gotów do tego, aby ofiary faszyzmu same sobie płaciły odszkodowania. Mam więc wrażenie, że Tusk już jest znudzony swoją władzą, swoimi nikczemnościami i świadomy, że zamiast kompetencji zostały mu tylko pozory kompetencji. Co rusz wypuszcza harcowników jak złośliwe małpki z klatki, by zaśmiewać się do łez. Stąd wzięli się Sienkiewicz, Domański, Kierwiński, Siemoniak czy Żurek. Prześcigają się we własnych nikczemnościach, nie prezentując za grosz pracowitości, skuteczności czy kompetencji. Miał rację Holoubek, że takich się bał najbardziej. To oni są akuszerami takich „osobowości", jak Kurdej-Szatan, Zelt czy Janda. Wyjątek stanowi Czarzasty, bo jego ukształtowała partia komunistyczna i szacunek dla Jaruzelskiego za stan wojenny.

„Czuję się sztucznie, bo sytuacja jest sztuczna". To prawda. Mamy sztuczny rząd, sztuczny w dużej mierze parlament, sztuczną – bo walczącą – demokrację, sztuczne prawo „jak my je rozumiemy"... Żyjemy w świecie marnych podróbek. Prawdziwy jest tylko prezydent i o jego zdrowie musimy się gorąco modlić. Żeby wytrzymał.

eprasa.pl af616a2cad

Michał Korsun prezentuje:

Wycinki z przeszłości

Skoro niedawno wspominaliśmy o wiatrówkach dawanych dzieciom pod choinkę, warto przypomnieć, że później także nie brakowało kontrowersji. W 1967 r. „Dziennik Bałtycki" pisał o brutalnych zabawkach, wśród których „szczytem wydaje się być miniaturowa gilotyna, która znalazła się na rynku francuskim [...] wyposażona nie tylko w spadający nóż, ale i w »skazańca«, którego głowa po egzekucji spada do kosza, brocząc krwią".

(sp)

Gilotyna pod choinką

Mimo częstych alarmów w prasie nie zmniejsza się wcale produkcja zabawek dla dzieci jak pistolety, sztylety, miecze itp. rozbudzająca w nich okrucieństwo. Szczytem jednak wydaje się być miniaturowa gilotyna, która znalazła się na rynku francuskim importowana ze Stanów Zjednoczonych. Wyposażona jest nie tylko w spadający nóż, ale i w „skazańca", którego głowa po egzekucji spada do kosza brocząc krwią. Jak informuje z oburzeniem „Le Monde" „zabawka" cieszy się tak wielkim powodzeniem nastolatków, że jej zapasy zostały szybko wyczerpane. Trudno się później dziwić takim tragediom, jak porwanie i mord w Westalu...

Papież Paweł VI ponownie apeluje do Stanów Zjednoczonych o zaprzestanie nalotów na DRW

U Thant popiera apel

Dziennik Bałtycki

Posiedzenie Rady Państwa

Komunikat o naradzie ministrów spraw zagranicznych

Już 2672 strąconych samolotów

Już do Bydgoszczy i Maksymilianowa docierają pociągi elektryczne

Rosnącej zamożności musi towarzyszyć kultura życia

Johnson przybył do Dajonu

Świąteczny toast: Za tych co na morzu

Z WOLEJA

6:4 z Ruskimi, czyli kartki z dziejów polskiego hokeja

Ryszard Czarnecki

Nasi hokeiści na lodzie U-20 świetnie spisywali się w mistrzostwach świata, pokonując m.in. gospodarzy – Włochów oraz Japonię. Patrzę na to z sympatią i sentymentem, bo pamiętam moje szkolne lata, gdy Polska regularnie występowała w Grupie A na mistrzostwach globu. Pamiętam heroiczne, także zwycięskie boje z Amerykanami, a przede wszystkim wręcz niewiarygodny i jedyny w historii triumf nad 14-krotnymi mistrzami świata i 5-krotnymi mistrzami olimpijskimi – Sowietami. Stało się to na MŚ w Katowicach prawie pół wieku temu (1976). Wygrana 6:4 i trzy bramki chłopaka z Siedlec Wiesława Jobczyka są szczególnie pamiętane przez kibiców hokeja, a dla młodszych fanów to żywa legenda. Jednak od triumfu do klęski jeden krok: rozbicie „kacapów" nie zagwarantowało nam utrzymania się w Grupie A, bo w decydującym o pozostaniu w elicie meczu przegraliśmy z Niemcami Zachodnimi.

Jednak ta wiktoria nad Sowietami smakowała szczególnie, bo układała się w cały cykl łomotu spuszczanego im przez Biało-Czerwonych. Oto bowiem w półfinale turnieju piłkarskiego igrzysk olimpijskich w Monachium cztery lata wcześniej pokonaliśmy ZSRR 2:1, po kolejnych dwóch latach wygraliśmy z nimi i pierwszy raz w historii zdobyliśmy tytuł mistrza świata w siatkówce mężczyzn, by w końcu parę miesięcy po Katowicach uczynić to samo w finale igrzysk olimpijskich w Montrealu. Tłuczenie na sportowych arenach okupantów ze Wschodu było wyjątkowym świętem dla polskich kibiców w kraju i za granicą.

To historyczne zwycięstwo 6:4 ze Związkiem Radzieckim, czyli „czerwoną Rosją" – jak pisał o nim polski historyk Jan Kucharzewski – było jakże słodką zemstą za najwyższą porażkę w historii doznaną przez Biało-Czerwonych na tafli lodowej: miała ona miejsce raptem trzy lata wcześniej w Moskwie i też na mistrzostwach globu. Przegraliśmy wtedy z ZSRR aż 0:20. Jako fan statystyki sportowej dodam, że najwyższe zwycięstwo w dziejach polskiego hokeja na lodzie było równie okazałe: na mistrzostwach świata Grupy B w Holandii w 1993 r. wygraliśmy z Chinami aż 21:1.

Już za niespełna miesiąc, bo 10 stycznia 2026 r., upłynie 100. rocznica od pierwszego występu naszej reprezentacji narodowej na tafli lodowej. Dostaliśmy wtedy tęgie baty z Austrią, ale jeszcze w tym samym roku zdobyliśmy szóste miejsce na mistrzostwach Europy. Po kolejnych pięciu latach na pierwszych z dwóch hokejowych „mundiali" zorganizowanych w naszym kraju zdobyliśmy najwyższe w historii – bo czwarte – miejsce. Czy wiedzą o tym zawodnicy z kadry U-20, którzy gromią rywali na MŚ w Italii?

eprasa.pl af616a2cad

OD A DO ZYBERTOWICZ

Historia choinką pisana

Spróbujmy przygotować dekoracje na bożonarodzeniowe drzewko własnoręcznie, najlepiej wspólnie z dziećmi lub wnukami

Kiedy ostatni raz własnoręcznie robiłam ozdoby na choinkę? Pewnie w czasach szkolnych mojego syna – tak bardzo lubiliśmy wspólnie stroić bożonarodzeniowe drzewko, a zwłaszcza wymyślać nietypowe dekoracje. Do dziś zachował się papierowy Mikołaj inspirowany kanciastym ludzikiem z kultowej gry Minecraft, w której buduje się i eksploruje świat złożony z bloków, tworząc z nich wszystko, co tylko podpowie wyobraźnia. Wciąż gra w nią wiele dzieci.

Mam też coś z własnego dzieciństwa – oryginalny łańcuch zrobiony z kolorowych plastikowych rurek do izolacji kabli. Gdy byłyśmy małe, podebrałyśmy z siostrą takie rurki tacie, pocięłyśmy je na kółka, a potem nawlekłyśmy na nitkę. Powstał ładny, równiutki i, co więcej, zadziwiająco trwały łańcuch – w przeciwieństwie do papierowych, które zwykle przeżywały tylko jeden sezon.

Takich ozdób, których nie da się kupić w żadnym sklepie, mam więcej.

POLSKIE OZDOBY

Wszystko to przypomniało mi się za sprawą książki Anny Myczkowskiej-Szczerskiej zatytułowanej „W polskim tylko stroju. Projektowanie ozdób choinkowych i koncepcja choinki polskiej 1909–1939" (Wydawnictwo ASP im. Jana Matejki w Krakowie, 2025). A właściwie księgi, bo tom liczy ponad 600 stron!

Choć głównymi bohaterami opracowania są oczywiście choinka oraz artyści ze słynnych Warsztatów Krakowskich, które w latach 1913-1926 tworzyły nowoczesne wzornictwo użytkowe, łącząc sztukę z rzemiosłem, przy okazji otrzymujemy opowieść o Polsce, patriotyzmie, odpowiedzialności za trwanie wspólnoty i o tym, że tradycja jest dla tożsamości bezcenna.

Autorka wyjaśnia, że pomysł na tytuł zaczerpnęła z artykułu opublikowanego blisko 100 lat temu „Polska choinka w polskim tylko stroju". Jego autor, Jan Sobolewski (1884–1935), nauczyciel robót ręcznych i poznański działacz społeczny, w grudniu 1930 r. apelował do pedagogów: „Czas zatem pomyśleć o choince, i to takiej, która by była piękna, niedroga i – polska. Trudno wyobrazić sobie wieczór wigilijny bez choinki. Niestety, dajemy drzewku wigilijnemu dość często wystrój cudzoziemski, obwieszamy bowiem je różnemi błyszczydłami szklanemi, tandetą zagraniczną. Nauczycielstwo polskie dążyć powinno do tego, aby jak najprędzej usunąć owe błyskotki i zastąpić je ozdobami polskiego wyrobu, aby niejako unarodowić drzewko gwiazdkowe, aby stworzyć choinkę polską. Nie jest to rzecz tak bardzo trudna" (wytłuszczenia w oryginale).

Wyobrażacie sobie taki apel do nauczycieli dzisiaj? Prawie 100 lat temu Polska po odzyskaniu niepodległości wreszcie oddychała pełną piersią – gospodarka ruszyła z impetem, a szkoły nadrabiały poważne zaległości. Promocja polskości była nie tyle obowiązkiem, ile naturalnym odruchem tych, którzy czuli odpowiedzialność przed historią. Nic dziwnego, że polskość manifestowano nawet w twórczości dekoracyjnej. Kto wie, czy gdyby nie tamte trendy, nasze dzisiejsze polskie szklane bombki – ręcznie malowane – byłyby dziś tak rozpoznawalne na świecie. W 2023 r. Polska była piątym światowym eksporterem tego luksusowego towaru.

SNUJMY OPOWIEŚĆ

Dzisiejszy świat nadmiaru i obowiązkowej hiperkonsumpcji zdaje się nie tylko zdejmować z nas ciężar odpowiedzialności, lecz także rozmywa i spłyca odświętny nastrój. Błyskotki, skrzaty, renifery, girlandy i światełka osaczają nas na długo przed świętami, tworząc iluzję wyjątkowej atmosfery, która w gruncie rzeczy bywa powierzchowna.

A jednak to choinka pozostaje najpogodniejszym symbolem świąt. Może warto spojrzeć na nią inaczej – nie jak na kolejny gadżet, lecz jak na kanwę opowieści o Bożym Narodzeniu. Opowieści o nas, naszych wartościach, o tym, co chcemy przekazać dzieciom i przyjaciołom.

Spróbujmy przygotować dekoracje własnoręcznie, najlepiej wspólnie z dziećmi lub wnukami. Może okaże się to ważniejsze niż upieczenie kolejnego ciasta. Proponuję zacząć nietypowo – od wizyty w bibliotece miejskiej (pewnie dawno nie byliście), gdzie zapewne będzie dostępna książka Anny Myczkowskiej-Szczerskiej. Znajdziecie w niej mnóstwo pomysłów na ozdoby choinkowe wraz z instrukcjami, jak je wykonać.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl af616a2cad

Mocne tematy.
Najważniejsze wydarzenia.
Rzetelne informacje.

wPolsce24.tv

Do czytania:

- to, co **naprawdę ważne** z Polski i ze świata
- **mocna publicystyka** – bez tematów tabu
- teksty o gospodarce i zdrowiu – przydatne dla każdego
- **dobra rozrywka** i **sport**

Do oglądania:

- telewizja wPolsce24 – oglądaj **LIVE**
- odcinki ulubionych programów:
  bez spiny, bez cenzury*, POLITYKA NA DESER i wiele innych
- **program telewizji wPolsce24** – zaplanuj, co chcesz oglądać

wPolsce24.tv

PORTAL DO CZYTANIA I OGLĄDANIA

eprasa.pl af616a2cad

Stawiamy na rozwój telewizji wPolsce24

Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl af616a2cad